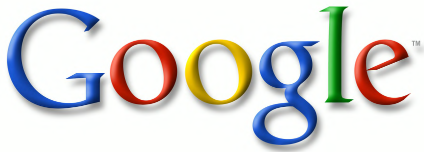


Z podróży po Bośni i Hercegowinie

X. MARCIN CZERMIŃSKI T. J.

Z podróży po Bośni i Hercegowinie



Tekst objaśniony 95 rycinami i mapą

KRAKÓW
1899

NAKŁADEM REDAKCYI «MISSYJ KATOLICKICH»
W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego



PRZEDMOWA.



Gdy przed kilku laty pisałem o *Albanii*, a następnie o *Dalmacyi i Czarnogórze*, otrzymywałem z rozmaitych stron listy zachęcające, abym szersze warstwy czytelników zapoznał z krajami, tamtym sąsiednimi, a nam pobratymczymi: Bośnią i Hercegowiną. Wcale mnie nie dziwiły pragnienia wielu. Tysiące rodzin polskich i ruskich ma w krajach „okupacyjnych“ swych krewnych, zajmujących nieraz wysokie stanowiska w urzędach lub wojsku. Niejeden chciał bliżej poznać stosunki, ludzi i kraj, w jakim przebywają drodzy jego sercu.

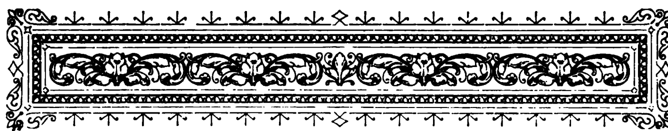
Ponieważ nikt z Polaków dotychczas nie podjął się obszerniejszej pracy w tym kierunku, przeto wybrałem się do Bośni i Hercegowiny w podróż, w latach 1895 i 1898, a co zebrałem materyału, ogłosiłem w XVII Roczniku „*Missyi katolickich*,“ obecnie zaś z niektóremi uzupełnieniami w niniejszej książce podaję do wiadomości czytelników.

W ciągu opowiadania kładę pewien nacisk na tamtejsze stosunki religijne, nietylko dlatego, że jestem kapłanem, i że uważam religię jako najważniejszy czynnik cywilizacyjny. Sprawa wyznaniowa na półwyspie bałkańskim wogóle, a przedewszystkiem w krajach „okupacyjnych“ była od najdawniejszych czasów osią, około której obracała się ich polityka zarówno wewnętrzna jak zagraniczna.

Przy własnych spostrzeżeniach i badaniach starałem się uwzględniać prace innych autorów, pozostające dotychczas w rękopisach lub już ogłoszone drukiem. Uważam jednak za zbyteczne przytaczać na tem miejscu długi szereg źródeł, jakiemi się posługiwałem, gdyż czytelnik ważniejsze z nich łatwo znajdzie w ciągu tekstu lub dopiskach.

[illegible]

X. Marcin Czermiński.



ROZDZIAŁ I.

Przeszłość Bośni i Hercegowiny.

Przez Lublanę — Kraljewicę — Zagrzeb do Bośni i Hercegowiny. Ogólny pogląd na te kraje. Cztery epoki przeszłości dziejowej: rzymska — wędrówek ludów — banów i królów bośniackich — panowania muzułmanów do okupacyi przez Austro-Węgry w r. 1878. Obecna organizacya Bośni.

W połowie maja 1895 r., korzystając z bytności w Wiedniu, dokąd dla interesów musiałem wyjechać, już nie utartemi szlakami przez Węgry, lecz przez kraje południowo-słowiańskie, wybrałem się w podróż do Bośni i Hercegowiny. Zaledwie parę godzin zatrzymałem się w Lublanie, gdzie właśnie najstraszniejsze katastrofy jedna za drugą następowały, wskutek długiego i gwałtownego trzęsienia ziemi, i dalej ruszyłem w drogę nad wybrzeża Adryatyku, tam, gdzie cudowna znajduje się słowiańska *riviera* ze swoją Abbazyą, Voloską, Lowraną, stara rzymska kolonia: dziś Fiume-Rjeka i ów sławny zamek istryjskich królików: margrabiów Frangipani

u samego wstępu do dawnego portu miasteczka Kraljewicy (Portoré). Za czasów cesarza Leopolda I, w tym zamku, w sali zwanej *sub rosa*, w roku 1667 magnaci węgierscy Rakoczy i Zrynyi razem z Krzysztofem Frangipani'm konspirowali przeciw cesarstwu, skutkiem czego na śmierć zostali skazani, a dobra możnego rodu Frangipanich, którego ostatni przedstawiciel w spisku brał udział, przeszły na rzecz skarbu. W ostatnich czasach ten monument przeszłości groził ruiną, jak wiele innych w okolicy; rząd go sprzedał za bezcen Siostrom Miłosierdzia. Od nich odkupili go OO. Jezuici, a odrestaurowawszy, założyli w nim kolegium dla swojej uczącej się młodzieży zakonnej. Miałem tam wielu znajomych, niektórzy z nich pracowali jako missyonarze w Bośni, więc wstąpiłem do zamku, aby zasięgnąć informacyj, których nigdy zanadto, jeśli korzystnie chce się podróżować. Nie łatwo mogłem wyrwać się z grona zakonnych mych Braci. Prawie znaglony zatrzymałem się dni parę, aby zwiedzić cudną okolicę i przypatrzyć się zbliska życiu naszych Słowian. Prawie samo pióro rwie się i prosi, aby choć słowem opisać co się widziało i czuło wśród tej okolicy. Lecz że ona nie należy do przedmiotu naszego opowiadania, spieszmy do Bośni na Zagrzeb, zkąd najsilniejszy prąd odrodzenia płynie na bratni naród bośniacki.

Wstąpiłem do stolicy kroackiej głównie, aby zapoznać się z ks. opatem Hoeppergerem, generalnym przełożonym Sióstr Miłosierdzia kongregacyi Zagrzebskiej, pod którego zarządem pozostają liczne szkoły i zakłady wychowawcze w Bośni i Hercegowinie. Starzec 74-letni, rześki jak młodzieniec, zatrzymał mnie u siebie, a informując o stosunkach bośniackich, oprowadzał po licznych zakładach wychowawczych i miłosiernych w Zagrzebiu, których sam był twórcą. To



Dawny zamek Frangipanich, dziś kollegium OO. Jezuitów w Kraljewicy (Portoré). (Zob. str. 2).

drugi Don Bosco na Słowiańskiej ziemi. Chociaż Tyrolczyk z pochodzenia, przez 40 lat pobytu w Zagrzebiu, tak się zrósł z tem miastem i ziemią Słowiańską, że niezawodnie Kroacya nie wielu ma takich, jak on, synów. Internat dla 350 panien seminaryum nauczycielskiego, szkoła 8-klasowa dla 1000 dzieci, szpital najlepiej urządzony w Kroacyi na 400 łóżek, zakład dla sierót, gdzie chłopcy uczą się najrozmaitszych rzemiosł — wszystko pod kierunkiem Sióstr Miłosierdzia — to jego dzieło [1]). Ks. opat nie ograniczył działalności swojej na Kroacyę. Wysłał on Siostry Miłosierdzia do Bośni i Hercegowiny, pobudował im klasztory i szkoły, zasilał w fundusze, aby dzieło Boże wśród Słowian wzrastało. On też udzielił piszącemu cennych wskazówek do niniejszej pracy. Toż bezpiecznie możemy teraz puścić się w drogę do »Słowiańskiej Szwajcaryi«, jak Bośnię i Hercegowinę nazywają francuzcy i angielscy turyści.

Lecz zanim czytelnika oprowadzę po nieznanych tych krajach, przypatrzmy się ich położeniu geograficznemu i rzućmy okiem w przeszłość dziejową, bez czego wiele rzeczy widzianych nie łatwo przyszłoby nam zrozumieć.

Otwierając kartę geograficzną Austro-Węgier, spostrzegamy, że Bośnię odgranicza z północy sławna rzeka Sawa od Węgier; od strony wschodniej przytyka ona do Serbii, od zachodniej do Kroacyi i Dalmacyi, na południu łącząc się z Hercegowiną przytyka do Nowego Bazaru i Czarnogóry, a nawet i do morza Adryatyckiego. Przestrzeń jaką zajmuje (51.028 km. □), nie wiele jest mniejszą od król. czeskiego (51.697 km. □),

---

[1]) W pół roku po wyjeździe moim z Zagrzebia, otrzymałem ztamtąd wiadomość o śmierci ś. p. ks. Hoeppergera.

lecz ludność nie jest wielka, gdyż wynosi zaledwie 1,568.092. Prócz wielu mniejszych, cztery wspaniałe rzeki: Una, Vrbas, Bosna i Drina przecinają prawie całą Bośnię, i zasilają wody Sawy, łączącej się z Dunajem. Na południu znowu Neretwa czyli Narenta, hercegowińska rzeka, nader szerokiem korytem wpada do Adryatyku. Zarówno Bośnia jak Hercegowina są krajem górzystym i lesistym, około kilkaset metrów nad poziom morza wzniesionym; w Hercegowinie lasów mniej, najczęściej skały wapienne, porosłe krzakami. Wśród skał i lasów rozpościerają się dość często płaskowzgórza bogate, a na nich rozrzucone wsie i miasteczka. Ludność co do wyznania jest bardzo mieszaną. Podług statystyki z roku 1895, zamieszkuje Bośnię i Hercegowinę: 333.306 katolików, 673.861 wschodniego wyznania, 548.818 mahometan, 8.208 żydów i około 4.000 osób innych wyznań. W Bośni wyznanie mięsza ludność z narodowością: więc katolik nazywa się Bośniakiem lub Hrwatem, wschodniego wyznania Serbem, Muzułmanin zaś nazywa się czasem Bośniakiem, nigdy Serbem, lecz najczęściej Muzułmaninem, jak żydzi tamtejsi Spaniolami — ponieważ rzeczywiście z Hiszpanii pochodzą i między sobą mówią hiszpańskim żargonem. Zresztą wszyscy tak Chrześcianie jak Muzułmanie używają wyłącznie kroacko-serbskiego języka, nie różniącego się prawie w niczem od mowy Dalmatyńców, Czarnogórców, lub Serbów.

Przeszłość dziejowa Bośni i Hercegowiny jest nader interesującą. Widzimy w niej bowiem ciągłe walki świata cywilizowanego z barbarzyństwem od zamierzchłych czasów aż po dnie dzisiejsze. Cztery główne epoki dadzą się w niej zaznaczyć, z których każda wy-

bitne piętno na tym narodzie pozostawiła. Do pierwszej należą czasy przedhistoryczne i rzymskie, aż do napadu Gotów i Awarów; do drugiej: przybycie i osiedlenie się Słowian, aż do założenia bośniackiego królestwa; do trzeciej: panowanie królów bośniackich, aż do upadku państwa i zajęcia go przez Turków; wreszcie czwartą epokę stanowi panowanie Muzułmanów aż do kongresu Berlińskiego r. 1878, w którym Bośnię i Hercegowinę oddano w zarząd Austro-Węgrom.

Podług najstarszej tradycyi, już w IV wieku przed Chr. zamieszkiwał Bośnię lud »illyryjski,« i został wyparty przez Celtów przybyłych ze Wschodu. Nie długo jednak mieli Celtowie zostać panami kraju. W II-gim wieku przed Chr., zwycięzkie orły Rzymian dotarły do Narenty (Neretwy). Zwyciężeni połączyli się z ludami osiadłymi pomiędzy rzekami Narentą a Kerką (położoną w północnej Albanii), które od stolicy swej Delminium, otrzymały nazwę Delmatów, i zawarli z nimi przymierze przeciw Rzymowi. Pierwsze powstanie zostało poskromione przez Korneliusza Scipiona Nasikę, poczem Delminium zamieniono w gruzy. Po kilkakrotnych walkach Cajus Cosconius zadał zbuntowanym ludom w r. 70 przed Chr. stanowczą klęskę, a kraj ich wcielił do rzymskiej prowincyi zwanej Illiryą. I teraz wszakże podbite plemiona usiłowały zrzucić jarzmo Rzymian. Potrzeba było dopiero tak wielkich wodzów jak Tyberiusz i Germanik, którzy w 6-tym roku po Chr. zdołali wreszcie stłumić całkowicie najniebezpieczniejsze powstania, lecz zarazem cały kraj zamienili w pustynię.

Teraz dopiero Rzymianie wcielili do prowincyi Panonii całą część Bośni, leżącą dziś na północ od linii kolei żelaznej łączącej Nowi, Banialukę, Doboj,

Srebrenik i Zwornik, resztę zaś kraju przyłączyli do prowincyi znanej pod nazwą Dalmacyi.

Jak wszędzie tak i tutaj umieli Rzymianie nadać tubylczej ludności piętno swej oświaty i cywilizacyi.



Typy muzułmanów.

Świadczą o tem znajdywane w tym kraju szczątki dróg, kopalń, grobowców, budynków, rzeźb, mozaik, również napisy i monety. Ze szczególną gorliwością zwycięscy zajęli się górnictwem, a Pliniusz powiada, że jeszcze

za czasów Nerona znajdowało się tam złoto na powierzchni ziemi.

Cały okres czasu aż do zajęcia Bośni przez Gotów pod dowództwem Teodoryka, niknie znowu w mroku, gdyż nader szczupłe dotychczas mamy wiarogodne historyczne materyały z długiej tej epoki.

Z końcem VI wieku Awarowie pustoszą Bośnię, i dopiero zostają wyparci przez Słowiańskie narody Chorwatów (Kroatów) i Serbów, wezwanych przez cesarza Herakliusza. Jakie są dzieje tego narodu aż do X wieku, dotychczas bardzo niewiele da się powiedzieć, ponieważ nie mamy prawie żadnych pomników współczesnych. Cokolwiek o Słowianach osiadłych w Bośni dowiadujemy się od bizantyńskiego pisarza Konstantyna Porphyrogenita. Podług tego źródła historycznego Kroaci i Serbowie tworzyli tak zwane żupy, czyli okręgi, które miały samorząd pod przewodnictwem banów. Dopiero od czasu przybycia apostołów słowiańskich ŚŚ. Cyryla i Methodego z końcem IX wieku, mamy więcej pomników rzucających jaśniejsze światło na przeszłość Bośni. Z nich dowiadujemy się, że ten kraj znajdował się raz pod panowaniem królów kroackich Tomisławem i Kreszimirem, to znowu pod narodowymi banami, lub cesarzami bizantyńskimi Bazylim II i Emanuelem Komnenem.

Już począwszy od X wieku, stosunki religijne w Bośni były bardzo zawikłane. Byli tam Słowianie obrządku łacińskiego, zostający w jedności z Rzymem, i obrządku wschodniego, zależni od patryarchy konstantynopolitańskiego przez swego biskupa mieszkającego w Raša, w Serbii. Bośnia była tym punktem środkowym, gdzie ścierały się ze sobą wpływy religijne Wschodu z Zachodem; lecz nietylko wpływy religijne. Ci Słowianie różnili się między sobą także plemiennie:

wschodniego obrządku — Serbowie zwracali się zawsze ku Serbii i Bizancyum, — łacińskiego obrządku, ku Kroacyi, Dalmacyi i Rzeczypospolitej Raguzkiej. Na całą Bośnię istniało wówczas tylko jedno biskupstwo i jednym kościołem katedralnym Św. Piotra w żupie Vrhbosna. Biskupstwo bośniackie (*Boseniensis ecclesia*) wskutek rozporządzenia Papieża Aleksandra II, pozostawało od r. 1067 pod zwierzchnictwem Arcybiskupa ze Spalato, metropolity z Dyoklei-Antiwari, następnie obejmuje nad nim zwierzchnictwo Arcybiskup Raguzy, a w roku 1191 Klemens III znowu wciela je jako suffraganię Arcyb. ze Spalato. Spór Spalata z Raguzą tem się kończy, że dyecezya Bośniacka w r. 1247 zostaje suffraganią Arcybiskupstwa w Kaloczy na Węgrzech, chociaż tytularnie należała do Spalato.


Bośniacki Turek.

Wzajemny antagonizm narodowościowo-religijny w Bośni, brak duchowieństwa i ustalonych stosunków

hierarchicznych, a wskutek tego chwiejność wiary, słabo ugruntowanej w narodzie, przyczyniły się do rozkrzewienia sekty Bogomiłów czyli Paterenów, która doniosły wpływ wywarła na losy tego kraju, a nawet przygotowała jego upadek [1]). Brak jedności religijnej w Bośni uważamy za główny powód, dlaczego nawet

[1]) Nie zrodziła się ta sekta na słowiańskim gruncie. Początek jej był następujący: Już w połowie VIII wieku władzcy bizantyńscy dla zabezpieczenia swego państwa od strony północnej, sprowadzili do Europy odważnych armeńskich żołnierzy, którzy byli zarażeni sektą syryjskich Manichejczyków z III-go stulecia. Na Wschodzie ta sekta nazywała się Paulicyanami, na Zachodzie Kataro-Paterenami, na półwyspie Bałkańskim Bogomiłami. Jak zwykle heretycy, tak i oni w swych dogmatach i zasadach moralnych różnili się ze sobą — w jednem się zgadzali: w odszczepieństwie od Kościoła tak Katolickiego jak Wschodniego i w walce przeciw ustrojowi państwowemu. Stowarzyszenie to, mające charakter religijny, wprowadził do Bośni Jeremiasz, zwany przez lud Bogo-mil, głosząc najwyraźniej dualistyczną herezyę Manichejczyków.

Prócz licznych błędów odnoszących się do Osób Trójcy Przenajświętszej i upadku aniołów, Bogomiłowie uważali cały świat widzialny za dzieło Satanaela, początku wszelkiego złego; odrzucali wszelką władzę świecką i duchowną, kapłańską, Sakramentów albo wcale nie uznawali, albo jakieś dziwaczne, pełne zabobonów ceremonie na ich miejsce ustanawiali, potępiali małżeństwo, nie używali mięsnych pokarmów, zakazywali wojny, często się modlili, gardzili bogactwami, lecz zarazem gardzili ludźmi nie należącymi do ich sekty, zwłaszcza oddającymi się naukom. Bogomiłowie nazywali siebie *„dobri Bosniaki“* (dobrymi Bośniakami) albo *„swrziteli“* (wybranymi). Do tych »wybranych« nie każdy chciał i mógł należeć. Ludzie żonaci, chociaż wszystkie dogmata sekty przyjmowali, nie mogli być przyjęci do najwyższej klasy, dopokąd przynajmniej przed śmiercią nie pozbyli się związków małżeńskich. Pozorna asceza przewodników sekty, otaczała ich aureolą świętości wobec niewykształconego religijnie ludu; to też w połowie XII-go stulecia liczyła tysiące swoich zwolenników, a między nimi nawet możnowładzców i niektórych duchownych wschodniego wyznania. Wobec znanych zresztą zasad tych słowiańskich sekciarzy, co najmniej, zadziwić może zdanie angielskiego podróżnika Mr. Evans'a,

i w późniejszych wiekach to państwo nie zajęło stanowiska, jakie mogłoby zająć na półwyspie Bałkańskim. Z jednej strony Bogomiłowie, jako heretycy dawali powód królom węgierskim, jako opiekunom katolicyzmu, do mięszania się w sprawy wewnętrzne bośniackie, z drugiej strony korzystali banowie miejscowi, aby za pośrednictwem Węgrów lub Bogomiłów zapanować nad całym krajem.

Po zgonie bizantyńskiego cesarza Emanuela Komnena r. 1180, Bośnia znowu odzyskała niepodległość. Na czele jej stanął ban Kulin, blisko skoligacony ze Stefanem Nemanią Wielkim Żupanem Serbii, przez swą siostrę, która wyszła za jego brata Mirosława, oddanego sekcie Bogomiłów. Po śmierci męża, wdowa przybyła na dwór swego brata Kulina, wniosła w dom jego swoje dziedzictwo: ziemię Zahum, i utwierdziła go w przekonaniu, że dla odrębnego państwa Bośniackiego, najlepszaby była odrębna religia Bogomiłów. Kulin chcąc się uchronić od wpływów króla węgierskiego, skłonił się do rad siostry i przystał do sekty wraz z 10.000 swego ludu. Król Emeryk poczuwając się do obowiązku czuwania nad interesami katolicyzmu w Bośni, zamierzał wtargnąć do niej na czele wojska i rozpocząć krucyatę przeciw Bogomiłom. Upoważnił go do tego kroku Papież Innocenty III. Lecz ban Kulin dowiedziawszy się o zamiarach króla, uprzedził wtargnięcie do Bośni wojsk węgierskich i prosił Papieża o przysłanie legata, któryby zbadał jego wiarę i uporządkował sprawy kościelne w Bośni. W tym celu przybył tam r. 1203 Jan de Casamaris w imieniu Arcy-

który w nich upatruje protoplastów reformacyi i chce uważać już wówczas Bośnię za państwo protestanckie! (Evans. »Trough Bosnia and the Herzegovina on Foot during the insurrection.« London. 1877.

biskupa Spalateńskiego, papieskiego legata, i nie tylko bana, ale i wielu wodzów Bogomilskich nawrócił do jedności z katolickim Kościołem [1]). Od tego czasu spokój zawitał do miotanego wojnami kraju i wzrósł dobrobyt wśród ludu. Pisarz raguzki, Orbini, opowiada, że za jego czasu t. j. jeszcze w XVII wieku, Bośniacy mieli zwyczaj mówić, gdy im się powodziło: »Powracają czasy bana Kulina.«

Niestety, Kulin przed śmiercią znowu przeszedł do herezyi Paterenów i sekta poczęła bardzo szerzyć się w Bośni. Dopiero po jego śmierci około r. 1204, gdy król Węgier Andrzej jako opiekun interesów katolickich w Bośni, oddał rządy nad nią banowi Zibisławowi, dzielnemu katolickiemu księciu, walka z Bogomiłami na dobre się rozpoczęła. Aby go wesprzeć w krucyacie, Papież Honoryusz III wezwał swego legata na Węgrzech, aby zachęcił króla do walki z heretykami »*qui in partibus Bosnae... velut lamie nudatis mammis catulos suos lactent dogmatizando palam suae pravitatis errores...*« [2]).

Wśród zepsucia, jakie wówczas ogarnęło prawie całą Bośnię, zwłaszcza gdy Biskup Daniel stał się apostatą i pociągnął za sobą wielu katolików do odstępstwa, pięknie się wyszczególnia silna wiara bana bośniackiego Zibisława, który niczego nie pominął, aby lud swej pieczy poruczony poddać Bogu i Jego Ko-

---

[1]) *Acta Bosnae* potissimum ecclesiastica cum insertis editorum documentorum regestis ab anno 925 usque ad annum 1752. Collegit et digessit P. Eusebius Fermendžin Ord. S. Fr. Academiae Scientiarum Socius. Edidit Academia Scientiarum et artium Slavorum meridionalium. Zagrabie 1892.

Wissenschaftliche Mittheilungen aus Bosnien und der Herzegowina herausgegeben vom Bosnisch-Herz. Landesmuseum in Sarajewo. Bd. V. Wien. 1897, str. 320 i nast.

[2]) Theiner. Monum. Hung. tom. I. p. 31.



Widok z zamku na dzielnicę Sarajewa położoną nad rzeką Miljaczką, zamieszkałą prawie wyłącznie przez muzułmanów.

ściołowi. To też spotkał go zaszczyt wielki: sam Papież Grzegorz IX w liście doń pisanym, przyznaje mu zasługi położone około kraju i bierze go wraz z poddanymi w opiekę Stolicy św. [1]).

Lecz Bogomiłowie nie dali się nastraszyć groźbą Andrzeja II króla Węgier, i owszem wybrali swym banem Macieja Ninosława, zupełnie oddanego sekcie. Spowodowało to wkroczenie wojsk węgierskich Andrzeja II i kroackich pod wodzą jego syna Kolomana, następnie i Beli IV do Bośni, która straciłaby zupełnie przytem swą niepodległość, gdyby najazdy Mongołów w r. 1241 na wschodnio-południowe prowincye, nie zadały samym Węgrom strasznej klęski. Jednakowoż przybycie wojsk węgierskich pod Kolomanem do Bośni, wielkiem było dobrodziejstwem dla kraju, ponieważ dopiero przy takiej pomocy mógł Zibisław ukrócić potęgę herezyarchów, rozszerzyć wiarę katolicką, a następnie założyć stolicę Biskupią w pobliżu miejscowości, gdzie w latach późniejszych (1415) Izaak, wódz wojsk sułtana Muhameda I założył stolicę Bośni: Sarajewo. Po śmierci Zibisława (r. 1238), objął rządy nad Bośnią ban Ninosław ze sekty Bogomiłów, co spowodowało wkroczenie wojsk Beli IV do tego kraju, i zajęcie północnej jego części. W r. 1250 nie znajdujemy już

[1]) Między innemi znajdujemy i te słowa w liście z r. 1236 Grzegorza IX: »Te sicut laetantes accepimus, inter principes Bosnensis dioecesis infectos macula haereticae pravitatis ex istis quasi lilium inter spinas, prosequendo sollicite bene coepta, per quem valeat augmentum Christiani nominis auctore Domino provenire, sincere charitatis brachiis amplexantes, personam tuam et terram tuam, cum bonis omnibus, quae in praesentia rationabiliter possides, sub B. Petri protectionem recipimus etc.« Dat. Reatae VI. Id. Aug.

Podobnież napisał Ojciec św. do matki Zibisława, niewiasty silnej wiary i niepospolitej cnoty. Cf. *Illirici Sacri T. IV.* auctore Daniele Farlati S. J. pag. 48. Venetiis 1769.



Kmieć z pod Banialuki z żoną.

wzmianki o Ninosławie. Bośnią rządzili odtąd miejscowi banowie, z których najznakomitszym był Stefan Kotromancić (1338—1353). Nawróciwszy się do wiary katolickiej razem z wielu magnatami, stał się założycielem sławnej dynastyi Kotromancić'ów, która przez długi czas dawała Bośni banów lub królów. Nas Polaków może więcej interesować ten ban bośniacki, gdyż poślubił Elżbietę córkę księcia kujawskiego Kazimierza, z któregoto małżeństwa jedyna córka, również imieniem Elżbieta, została w r. 1353 małżonką Ludwika króla Węgier i Polski, a matką królowej Jadwigi.

Dzielny ban szczęśliwie walczył idąc z pomocą królowi węgierskiemu, i umiał się oprzeć napaści nawet tej miary mocarzowi, jakim był Stefan Dušan car Serbii, Grecyi i Bulgaryi. Ponieważ nie pozostawił męskiego potomka, rządy po nim objął jego synowiec Twrtko I (1353—1391). Był to pierwszy władzca bośniacki, który kazał się koronować królewską koroną. Rozszerzył on tak dalece granice swego państwa, że przy koronacyi w Milešewie r. 1376, mógł się ogłosić królem nietylko Bośni, lecz i Serbii, a w rok przed śmiercią (r. 1390) przybrał jeszcze tytuł króla Kroacyi i Dalmacyi. Za jego rządów podniósł się handel i przemysł w kraju, lud doszedł do niebywałego dawniej dobrobytu. Było jego marzeniem zdobyć Raguzę i Kotar (Cattaro), aby mieć dowstęp do morza Adryatyckiego. Gdy mu Raguza opór stawiła, przynajmniej założył w Novi (Castelnuovo) port na Adryatyku, a po długich układach wymógł na Maryi królowej węgierskiej całą zatokę Kotarską. Byłby może już teraz Spalato »przyłączył« do swego królestwa, gdyby nie groziło mu niebezpieczeństwo od Wschodu. Oto Turcy w zwycięskim pochodzie wkroczyli do Serbii (1387).

Twrtko I wyruszył w pomoc księciu serbskiemu Łazarzowi i pobił nieprzyjaciela. Lecz w dwa lata później, w d. 15 czerwca Turcy zadali na *polu Kossowem* straszną klęskę sprzymierzonym serbsko-bośniackim wojskom, której następstwem był upadek królestwa serbskiego [1]).

Na razie dla Bośni niebezpieczeństwo było zażegnanem. To też Twrtko I zwrócił się znowu ku Dalmacyi i zajął miasta: Spalato, Trau i Sebeniko. Śmierć prawie nagła w roku 1392, nie dozwoliła mu utrwalić zjednoczenia zdobytych miast i prowincyi, nawet nie zdołał zabezpieczyć następstwa tronu swemu synowi Twrtkowi II. Królem Bośni został brat Twrtka I, Stefan Dabiša. Od czasu Twrtka I poczyna się wprawdzie szereg *królów* bośniackich [2]), ale zarazem wskutek rozmaitych pretendentów do tronu, na który możnowładzcy bośniaccy chcieli wynieść swoich stronników, powstają wojny domowe, z których korzystają Węgrzy i Turcy. Król Zygmunt chciał uczynić z Bośni lenne królestwo, więc wspierał tych kandydatów do tronu, którzyby się zgodzili na lennictwo. Z drugiej strony nie jeden z królów bośniackich zbliżał się ku Węgrom widząc w zjednoczeniu obydwu katolickich królestw większe bezpieczeństwo przeciw groźnemu pochodowi Osmanów.

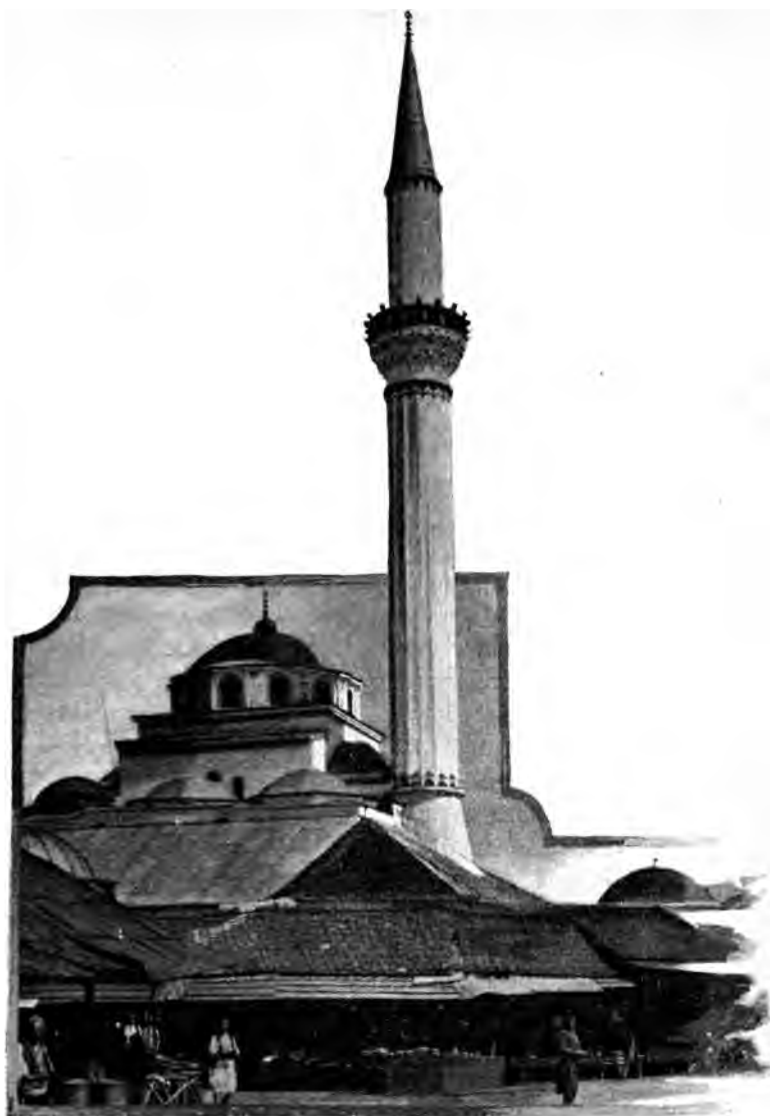
---

[1]) Zob. Wissenschaftliche Mittheilungen aus Bosnien und der Herzegowina, herausgegeben vom Bosn.-Herz. Landesmuseum in Serajewo. II Band. Wien, 1894. str. 173—178. i IV Band. Wien, 1896. str. 324—342.

[2]) Królowie bośniaccy: Twrtko I 1353—1392; — Stefan Dabiša 1392—1396; — Helena Gruba, wdowa po Dabišy 1396—1398; — Stefan Ostoja Christicz 1398—1404; — Stefan Twrtko II Twrtkowić 1404—1408; — Stefan Ostoja (po raz drugi) 1408—1418; — Stefan Ostojić 1418—1421; — Twrtko II Twrtkowić (po raz drugi) 1421—1443; — Stefan Tomasz Ostojić 1444—1461; — Stefan Tomaszewić 1461—1463.

Gdy Turcy zajęli Serbię po bitwie na polu Kossowem, a zwłaszcza od czasu gdy stali się panami Konstantynopola r. 1453 i znikło z widowni bizantyńskie cesarstwo, nic już nie miało skutecznie powstrzymać Osmanów od zajęcia Bośni.

Królowie bośniaccy z rozmaitem powodzeniem walczyli przeciw Turkom, lecz już nie mogli wyprzeć ich z kraju. Ostatni z nich Stefan Tomaszewicz (1460—1463) widząc niebezpieczeństwa grożące Bośni z północnej strony od króla węgierskiego Macieja Korwina, ze Wschodu od Turków, z Zachodu od bana Kroacyi, prosił Papieża o radę i pomoc. Pius II rozkazał swemu legatowi ogłosić krucyatę na korzyść Bośni, i zbierać fundusze i wojskową dla niej pomoc, a zarazem zezwolił na koronacyę Tomaszewicza na króla Bośni. Odbyła się ona nie w Sutjisce lub w Bobowacu, gdzie zwykle przebywali królowie, lecz w Jajcach r. 1461. Nieprzyjaciele coraz bardziej ścieśniali granice jego królestwa, a tu znikąd pomoc nie nadchodziła. Mohamed II w r. 1463 wyruszył do Bośni z krociową armią. Tomaszewicz prosił o 15-letnie zawieszenie broni. Sułtan pozornie zgodził się na to. Lecz niebawem wyruszył dalej w pole i zajmował prawie bez oporu wsie i miasteczka. W ciągu dni ośmiu 70 miast i zamków wpadło w ręce tureckie, a między nimi stolica królewska Bobowacz. Król Tomaszewicz zgromadził trochę wojska do Jajec i zamknął się w zamku. Lecz gdy już prawie cały kraj był w rękach tureckich, nie pozostawało nic innego jak ucieczka z ojczyzny. Niestety, zdradzono go, wydano w ręce tureckie, a pomimo że miał firman sułtański nadający mu wolność, został skazany na śmierć przez ścięcie.



Dżiamia Ferhadija. (Zob. str. 44).

Ze śmiercią króla upadło królestwo bośniackie. Sto tysięcy mieszkańców dostało się w niewolę, 30 000 młodzieży wciągnięto w szeregi janczarów. Wielu chrześcian wyemigrowało, sekta Bogomiłów i znaczna część właścicieli ziemskich przyjęła islam, wielu znalazło śmierć męczeńską w obronie wiary i cnoty.

Na wieść o upadku Bośni pospieszył w październiku tegoż roku 1463 Maciej Korwin, aby kraj Turkom odebrać. Rzeczywiście udało mu się północne prowincye Bośni (Dolnji Kraj i Usorę) zdobyć, a w grudniu następnego roku twierdzę Jajce. Utworzył z nich dwa banaty: Jajce i Srebrenik, które przez lat 64 pozostały przy koronie węgierskiej. Lecz gdy sułtan Soliman na nowo rozpoczął zaborczą politykę, wojska tureckie wkroczyły do tych banatów i zdobyły je w latach 1520 i 1528. Odtąd cała Bośnia pozostała w ich ręku. Własność ziemską podzielono na 3 części: dla sułtana, dla meczetów (vakuf) i dla spahów. Jako zastępca sułtana przebywał w Bośni wezyr; temu byli podlegli sandżak-begowie, a tym znowu kapetani. Sandżak-begowie byli wodzami szlachty obowiązanej do służby wojennej, kapetanowie sprawowali sądownictwo z władzą życia i śmierci nad rajami, t. j. poddanymi. Kapetanowie i spahisi byli dziedziczną szlachtą obowiązaną do służby wojskowej (do jazdy tureckiej) i nie płacili podatku. Najczęściej utrzymywali się oni z dziesięcin, podczas gdy begowie i agowie, posiadali dobra ziemskie. Oprócz tej szlachty wielką rolę odgrywali także bośniaccy janczarowie [1]), t. j. piesza gwardya sułtańska.

[1]) Janczary (jeniczeri = nowi żołnierze) była to milicya turecka ustanowiona 1334 r. przez sułtana Orkhana, z młodych jeńców chrześciańskich, zmuszonych do przyjęcia islamu. Lepiej

Od chwili zdobycia Bośni, Turcy swoim zwyczajem zapuszczali się po za granice sąsiednich krain, niszcząc je ogniem i mieczem, uprowadzając w niewolę niewiasty i dzieci, aby je zaprządz później do pługa razem z bydłem, lub wydać na pastwę hańby, o czem na innem miejscu mieliśmy sposobność obszerniej mówić [1]). Gdy jednak Turcy zostali odparci r. 1683 z pod

---

uorganizowaną została w r. 1360 przez Amurata I, który nadał jej różne przywileje i podniósł do 12.000 ludzi. Sułtan ten nakazał, ażeby każdy 5-ty jeniec chrześciański, odznaczający się odpowiednią powierzchownością, wpisany był w poczet tej gwardyi. Z czasem liczba janczarów znacznie wzrosła, zaciągano bowiem do janczarów każde 10-te dziecko chrześciańskie z Turcyi europejskiej. Liczne przywileje nadane tej gwardyi skłaniały i młodych Turków do zaciągnięcia się w jej szeregi, dla tego z końcem XV wieku zarzucono pobór z dziesięciny chrześciańskiej. Wytworzyły się następnie dwa rodzaje janczarów: rzeczywista gwardya sułtańska, pozostająca w czynnej służbie w Konstantynopolu i znaczniejszych miastach, i niejako tytularna, zwana też *dżamak* rozproszona po całym państwie w liczbie 3 do 400.000. Ci dzielili się na o r d y (hordy) każda miała swe koszary, a było ich w całej Turcyi 196, i zbierali się tylko wtedy, gdy znak dano na wojnę.

Gdy w r. 1826 janczarowie zbuntowali się przeciw sułtanowi Mahmudowi, ten wielu z nich kazał wymordować, a ocalałą garstkę rozwiązał, rzucając przekleństwa na imię janczara.

(Porównaj *Encyklop. pow.* Tom XIII, str. 21 i nast. Warszawa, 1863).

A g a albo aglia tytuł turecki nadawany wyższym dowódzcom wojskowym i dostojnikom seraju sułtańskiego.

B e g = bej = (pan po turecku) tytuł udzielany w Turcyi wyższym wojskowym kapitanom okrętu i znakomitszym cudzoziemcom; oznacza też gubernatora mniejszego okręgu.

S p a h i czyli sipahi tak nazywano niegdyś jeźdźców w armii tureckiej. Byli to posiadacze lenności wojskowych. Pierwszą organizacyę nadał im sułtan Orkhan r. 1334.

[1]) Porównaj „*W Dalmacyi i Czarnogórze,*“ Kraków 1896. str. 130 i następne.

Wiednia przez Jana III Sobieskiego, następnie utracili Buda-Peszt i opuścić musieli Węgry, Kroacyę i Slawonię, wówczas wojska chrześciańskie zaczęły do Bośni się przedzierać, zdobywać pograniczne wsie i miasteczka. Korzystała z tych wypraw uciśniona ludność chrześciańska i pod osłoną żołnierzy cesarskich emigrowała z Bośni do sąsiednich słowiańskich ludów. Prawdziwie bohaterską i najśmielszą ze wszystkich była wyprawa księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Po bitwie pod Zentą, dzielny wódz odprawił swe wojsko na zimowe leże, sam zaś na czele 4000 jazdy i 2000 piechoty przebył pod Brodem rzekę Sawę, poczem zdobywszy kolejno Doboj, Maglaj, Żepce i Vranaduk — miasta położone dziś wzdłuż linii kolejowej — stanął w późnej jesieni 1697 roku pod murami Serajewa. Ponieważ cała wyprawa miała na celu tylko podniesienie sławy wojska cesarskiego, wreszcie rozsianie postrachu między Turkami, cel więc ten całkowicie został osiągnięty, i malutki oddział austryacki szczęśliwie powrócił do kraju, zabrawszy ze sobą kilka zdobytych dział i przeszło 40.000 chrześcian wyzwolonych z niewoli tureckiej, których osiedlono w wojskowym okręgu około Brodu.

W dziejach Bośni ważnym jest traktat Karlowicki zawarty r. 1699 między Turcyą a Austryą, gdyż nie tylko w nim uregulowano granice (rzekami Uną i Sawą) między obu państwami, ale nadto Turcya musiała przyznać protektorat cesarza austryackiego nad chrześcianami w państwie ottomańskiem. Była chwila, kiedy zdawało się, że cała Bośnia na zawsze pozostanie w rękach Austryi. Książę Eugeniusz Sabaudzki w r. 1718 zdobył cały ten kraj i zmusił Turcyę traktatem Passarowickim do oddania go katolickiemu casarstwu. Niestety, w 21 lat później Austrya utraciła kraj zdo-

byty; traktatem zawartym w Belgradzie r. 1739, ponownie Bośnia przeszła w ręce tureckie. W późniejszych czasach zamknięcie granicy przez kordon wojskowy, wypędzenie muzułmanów z okolic zajętych przez Austryę, oburzyło begów i spahisów bośniackich, przywykłych do wypraw zaborczych na własną rękę. Wskutek tego okazywali w dwójnasób swoje zuchwalstwo wobec własnych poddanych czyli *raji,* a gdy wojska padyszacha traciły swe znaczenie, zwracali się nawet przeciw własnemu wezyrowi. Raz nawet przyszło do groźnego powstania, a to z tego powodu, że sułtan Mahmud II po wojnie rossyjsko-tureckiej (1828—1829) wydał rozporządzenia, mające złamać potęgę bośniackiej szlachty. Ona wypędziła wezyra, a na czele zbuntowanych stanął Hussein-Berberli-aga, młody, piękny, bogaty i dzielny — jednem słowem szczodrze uposażony przez naturę »*zmaj bosanski*« (smok bośniacki), jak go żarto-



X. Maryan Markowicz, Biskup Banialuki.

bliwie nazwano. Hussein wywiesił chorągiew proroka, i wypowiedział wojnę sułtanowi. Po wypędzeniu wszystkich ottomańskich urzędników, wszedł on tryumfalnie do Serajewa, ztamtąd zaś na czele 40.000 Bośniaków podążył na Kossowe pole, gdzie połączył się z albańskiemi wojskami Mustafa-baszy i bułgarskiemi Karafejżii-baszy z Zofii. W krótkim przeciągu czasu, północna Albania, część Serbii i cała Bułgarya dostała się w ich ręce. Lecz wzajemna zawiść rozdzieliła sprzymierzone armie. Wielki wezyr Reszyd-basza nawiązał z Mustafą-baszą negocyacye, wskutek czego zerwał się sojusz zawarty z Bośnią. Po daremnych układach Reszyda-baszy z Husseinem, który w Bośni rządził samowładnie, nowomianowany przez sułtana wezyr bośniacki Kara-Mahmud wkroczył do kraju i zwyciężył powstańców. Hussein schronił się do Essegg, otrzymał amnestyę i umarł w drodze na wygnanie do Trebizondy.

Prześladowanie chrześcian w Bośni i napady begów na pogranicza austryackie wywołały między r. 1831 a 1836 kilkakrotne wkroczenie wojsk cesarskich dla ukarania winnych. Wskutek tego w r. 1839, sułtan Abdul-Medżyd był zmuszony przyznać chrześcianom niektóre należące się im prawa i przywileje. Wywołało to wielkie oburzenie wśród muzułmańskiej ludności, a następnie do rewolucyi, której uśmierzenie powierzono roku 1850 renegatowi i zbiegłemu oficerowi austryackiemu nazwiskiem Latas. Ten pod przybranem nazwiskiem Omer-baszy wszedł do Bośni, wielu agów i begów wytępił, innym odebrał dotychczasowe przywileje i utrwalił władzę sułtana.

Pomimo że edykt sułtański *Hatt-i-Humajum* z d. 9 stycznia 1856 r. zabezpieczył prawa rajów, położenie



Mieszczanki z Banialuki.

chrześcian bardzo było godnem politowania. Przychodziło nieraz do buntów i krwawych starć między muzułmanami a chrześcianami, wreszcie w czerwcu r. 1873, wielu z bośniackich wiernych poczęło uciekać do Austryi, skoro ich skargi Konstantynopol ze wzgardą odrzucał. W r. 1875 wybuchło w Hercegowinie otwarte powstanie i żadne środki nie mogły go powstrzymać. Gdy podczas wojny rossyjsko-tureckiej w roku 1877 Turcy wezwali do wojska chrześciańską ludność Bośni, wówczas emigracya do Austro-Węgier jeszcze szersze niż dawniej przybrała rozmiary.

Wiadomo, że na kongresie berlińskim d. 13 lipca 1878 r. powierzono Austryi okupacyę i zarząd Bośni i Hercegowiny. Wypadki zbyt są świeże, abyśmy mogli na tem miejscu o wszystkich okolicznościach towarzyszących tej okupacyi swobodnie pisać. To pewna, że wskutek sztucznie i silnie rozwiniętej agitacyi w Bośni przeciw Austryi, potrzeba było dwóch armij pod wodzą generałów Filipowicza i Jowanowicza dla operacyi wojennych w Bośni i Hercegowinie. Gdy rozruchy przybrały szersze rozmiary, dopiero 200.000 armia austryacka zdołała spokój zabezpieczyć w październiku 1878 r.

Po przywróceniu porządku zabrano się do wewnętrznej organizacyi kraju. Z początku musiano złożyć w jedne ręce całą władzę cywilną i wojskową, tak, że nawet sądownictwem i administracyą trudnili się pierwotnie oficerowie armii austro-węgierskiej. Organa wojskowe ściągały podatki, dostarczając zarazem miastom i wioskom policyantów, szkołom zaś sił naukowych. Budowano także drogi, zakładano poczty i telegrafy, organizowano administracyę. Niebawem zbiegowie powrócili do kraju, i cała ludność żwawo zabrała się do pracy.

W miarę uregulowania miejscowych stosunków, władze wojskowe ustępowały miejsca cywilnym, i administracya cywilna została wprowadzoną do kraju. Gdy w r. 1881 zaczęto zastosowywać w południowej Dalmacyi, mianowicie w Kriwoszy, prawo obrony krajowej, mieszkańcy tamtejsi energiczny stawili temu opór, a pokrewna im ludność Hercegowiny pospieszyła z pomocą, tworząc całe bandy, zajmujące się rabunkiem i utarczkami z przedstawicielami rządu. Dowódzca buntowników, Stojan Kovačević, skupił dokoła siebie liczne grono młodzieży, czyli tak zwaną četa. Wkrótce ruch powstańczy, popierany z zewnątrz, przybrał znaczne rozmiary, obejmując kolejno południowo-wschodnią Bośnię, następnie i dalsze północne jej części. Atoli po kilku potyczkach powstańców z regularnemi wojskami, znowu wrócił spokój i porządek, który dotychczas niczem nie został zakłócony.



Dziecko bośniackie w narodowym stroju.

Obecnie wszystkie interesa i sprawy odnoszące się do zajętych krajów, pozostają pod zarządem ministra wspólnych finansów Austro-Węgier, którym jest od czasów okupacyi br. Kallay z rezydencyą w Wiedniu. Namiestnikiem zaś Bośni i Hercegowiny jest główno-

dowodzący komendant korpusu przebywającego w tych krajach generał kawaleryi br. Appel i mieszka stale w Sarajewie. Pod nim stoją starostowie okręgowi, a pod każdym z nich paru starostów powiatowych. Starosta w powiecie nietylko czuwa nad sprawami politycznemi, ale także nad sądownictwem, skarbem i władzą techniczną.

Poznawszy przeszłość historyczną w głównych zarysach, przypatrzmy się teraz zbliska Bośni i jej rozmaitym mieszkańcom.





ROZDZIAŁ II.

Banialuka i jej okolica.

Pierwsze wrażenie na ziemi bośniackiej. Wizyty u proboszcza banialuckiego i X. Biskupa Markowicza. Zebranie polskiej kolonii u PP. nadprokuratorstwa Wajdowiczów. Zakłady wychowawcze w Banialuce. Przechadzka po mieście. Wycieczka do OO. Trapistów w Mariastern — do zakonnic w Nazarecie i OO. Minorytów w Petricevaču.

Wśród pięknej wiosennej pogody wyjechałem z Zagrzebia południową węgierską koleją ku *Kostajnicy*. Małe tureckie domki i z pośród zieleni ogrodów wystające minarety, zwiastują blizkość granicy bośniackiej. Jedziemy tuż nad brzegiem rzeki Uny, dawnej granicy między dwoma mocarstwami, którą tylekrotnie przekraczały tureckie bandy, aby łupić i uprowadzać w niewolę ludność chrześciańską. Z okien wagonu widzę malownicze stroje Bośniaków w czerwonych, brązowych, lub złocisto-białych turbanach na głowie. Na jakiejś małej stacyi spostrzegam woźnicę w szkarłatnym płaszczu z wysokim kapturem na głowie, a na

lekkim wózku siedzącego brodatego muzułmanina w bogatym stroju tureckim, bardzo podobnym do dawnych polskich, dziś już najczęściej znanych tylko z obrazów. Przebywamy okolice lesiste, dłuższy czas jedziemy borem dębowym, który zapewne pamięta jeszcze czasy bośniackiego królestwa. W okolicach stacyi *Priedor* rozpościera się równina, obfitująca w najlepsze ogrody owocowe, których wywóz za granicę nie mały dochód przynosi właścicielom ziemskim. W samym Priedorze obecny rząd założył na przestrzeni kilku morgów hodowlę drobiu: kur, gęsi, kaczek, indyków etc., które się gnieżdżą w 34 obszernych kurnikach. Zakład ten dostarcza wieśniakom poprawnych ras drobiu, a zarazem uczy jak mają wyzyskać w tym kierunku gospodarstwo domowe. Opowiadano mi, że export tego przemysłu z Priedoru za granicę odbywa się na znaczną skalę.

Tyle zupełnie nowych i ciekawych obrazów przesunęło się przed oczyma, iż wcale nie czułem znużenia, gdy po całodziennej podróży wieczorem stanąłem w Banialuce w rządowym hotelu. Zauważyłem wygodne urządzenie w Bośni. Zaraz po okupacyi zajęto się przedewszystkiem budową kolei, dróg i hoteli. Dotychczawe *hany* tureckie, rodzaje oberży, może wystarczające były dla włóczących się cyganów, lecz nie mogły zaspokoić potrzeb ludzi nie koczujących. To też rząd pobudował w każdem większem miasteczku hotele własnym kosztem; tam się najczęściej znajdują woży pocztowe i czytelnia z europejskiemi dziennikami. Wszystkie podobne budynki stoją pod zarządem inspektora, obowiązanego czuwać nietylko nad dobrym ich stanem, ale też doglądać, czy dzierżawcy hotelowi trzymają się taryfy wyznaczonej za noclegi i czy w porządku znajduje się kuchnia.



Widok na północną część Banialuki.

Nazajutrz rano pierwsze kroki skierowałem do kościoła katedralnego, gdyż Banialuka jest rezydencyą biskupa. Niestety, już o godzinie 7 była zamknięta. Ktoś na drodze mówi mi, że jest jeszcze drugi kościół parafialny. Niebawem odszukałem go i ku wielkiej mojej uciesze, znalazłem drzwi otwarte. Lecz znowu z kolei przychodzi rozczarowanie, gdyż prócz jednej Bośniaczki, nikogo nie widzę w kościele. Chodzę po kątach, po zakrystyi, zaułkach — żywej duszy nie ma, a to przecież dziś święto Wniebowstąpienia Pańskiego. Idę na dziedziniec plebanii. Jakaś kobiecina wskazuje mi mieszkanie proboszcza. Wchodzę do obszernej sieni, w niej zastaję dwie Bośniaczki, szczelnie zatykające sobie uszy. Spieszę do drugiej izby, gdzie przy drzwiach otwartych siedział X. proboszcz: wąsaty O. Franciszkanin, typ Bośniaka, a przed nim klęczała kobieta i na głos wypowiadała swe grzechy. Zrozumiałem, dlaczego Bośniaczki, czekające swej kolei, tak silnie zatykały uszy.

Niebawem otrzymałem audyencyę u X. proboszcza. Przyjął mnie nie wstając z krzesła, widocznie miejscowa etykieta tak nakazywała. Zaczął mię indagować dość subtelnie, a że dokumenta od mej władzy zakonnej, krakowskiego Księcia-Biskupa i wiedeńskiego Nuncyusza były w języku łacińskim pisane, więc łatwo zrozumiał kim jestem i pozwolił na odprawienie Mszy św. Co do służącego, powiedział, że mogę sam sobie wyszukać. Lecz gdzie? Naturalnie na ulicy. Na szczęście szły dzieciaki. Łapię pierwszego lepszego chłopca i pytam, czy umie służyć do Mszy św. Odpowiedź brzmiała twierdząco. Wziął sobie jeszcze innego rówieśnika do pomocy, i wkrótce mogłem odprawić Najświętszą Ofiarę, pierwszą na ziemi bośniackiej. Po zwykłych modlitwach, pragnąłem bliżej zapoznać się z cha-

rakterystycznym proboszczem i przekonałem się po dłuższej rozmowie, że w tej grubej skorupie poczciwe znajduje się serce. OO. Franciszkanie już od XIII wieku założyli swe klasztory w Bośni i Hercegowinie, a po upadku królestwa i zajęcia go przez Turków, prawie wyłącznie tylko oni zajmowali się parafiami, podtrzymując prześladowanych chrześcian na duchu, i niejednokrotnie zlewając rodzinną swą ziemię krwią męczeńską za wiarę. Zasługi, jakie położyli około dobra tej słowiańskiej ziemi, dobrze są znane Stolicy św., to też nadawała im rozmaite przywileje. Również rząd cesarski ocenił zasługi OO. Franciszkanów i po okupacyi hojnie wspiera ich kościoły i konwenty, w czem dom Habsburski nowy dał dowód jak umie wiekowe tradycye przywiązania do tego zakonu zachowywać i w czasach dzisiejszych. Z wyjątkiem kilku parafij obsługiwanych przez świeckich księży, wychowanych w Sarajewskiem seminaryum, wszystkie parafie pozostają pod zarządem OO. Minorytów [1].

Za powrotem do mego mieszkania napisałem kilka listów, i wybrałem się z wizytą do miejscowego X. Biskupa. Po drodze chciałem listy oddać na pocztę, lecz, że była dosyć daleko — i jak wszystkie w kraju okupowanym — pozostają pod zarządem wojskowym, więc oddałem całą mą korespondencyę pierwszemu

[1]) Ponieważ Stolica św. w dniu 4 października 1897 roku połączyła rozmaite gałęzie reguły św. Franciszka w jeden zakon, przeto nie będziemy ich nazywali jak dotychczas bywało OO. Bernardynami, Reformatami, Alkantarynami, Rekollektami, lecz Minorytami »Fratres Minores« jak ich Stolica św. nazywa. W Bośni pracowali ci OO. Franciszkanie, którzy u nas powszechnie nazywali się Bernardynami.

żołnierzowi jakiego spotkałem. Gdy go zagadnąłem po niemiecku, nic nie rozumiał, odzywam się po bośniacku, lecz i tego nie znał języka i z pewnym wstydem począł mówić, że jest Polakiem, nie dawno przybyłym do Bośni. Jakżeż ucieszył się, gdy doń przemówiłem po polsku i dałem w tymże języku modlitewki z obrazkiem. Ze surowego syna Marsa stał się potulnym, poczciwym Maćkiem z Galicyi. Było to pierwsze spotkanie z Polakiem w Bośni — i nie ostatnie.

X. Biskup banialucki Markowicz, również z potężnym wąsem, przyjął mnie bardzo uprzejmie, dał mi wiele cennych informacyj i udzielił jurysdykcyę w całej pełni swej władzy na swą dyecezyę. Dowiedziałem się od niego, że w Banialuce wiele jest rodzin polskich, urzędników lubianych i szanowanych przez władzę i ludność tubylczą, a także w okolicy, w Čelinovac'u, Bakinci i Milovackiej Kozarze, przebywa paręset emigrantów z Galicyi obydwu obrządków. Na Rusinów skarżył się X. Biskup, że nie mając żadnej duchownej nad sobą opieki, prawie wszyscy przeszli do kościoła serbskiego.

Z Banialuki do tych miejscowości 6 mil drogi, więc za daleko wówczas było mi na odwiedziny polskich kolonistów; natomiast postanowiłem poznać zamieszkałych w mieście, a mianowicie rodzinę W., którą X. Biskup bardzo mi zalecał. Państwo W. nietylko łaskawie przyjęli niespodziewanego i nieznanego gościa, lecz, chcąc ułatwić poznanie polskiej urzędniczej kolonii, zaprosili na herbatę w dniu następnym, na którą przybyło około 15 osób obojej płci. Przy lukullusowej wieczerzy, w której elegancya dań rywalizowała z uprzedzającą gościnnością i uprzejmością państwa prokuratorstwa W., bardzo interesująca wywiązała się rozmowa o tutejszych stounkach.



Włościanin bośniacki z górskich okolic.

Opowiadano, że sam rząd, widząc gorączkę emigracyjną naszego ludu do Ameryki, zachęcił do osiedlania się w Bośni. Jednym bezpłatnie wydzielił grunta, ci zaś którzy przyszli z jakimś kapitałem, mogli sobie wybierać role żyźniejsze, płacąc po 12 złr. od morgi. Pan mecenas J. chciał bezpłatnie zająć się niektóremi interesami przy sprzedaży lub kupnie gruntów, lecz skarżył się, że nasz lud jeszcze zawsze nie ufa »surdutowi« i wpada w pułapkę ajentów, umiejących go bardzo wyzyskać. Tak np. są pewne grunta obdłużone hipoteką lub innemi serwitutami miejscowemi, bardzo skomplikowanemi, które rząd nie był jeszcze w stanie dla braku czasu uregulować. Niektórzy nasi wieśniacy niepomni na przestrogi, zakupili takie posiadłości i nie mogą sobie teraz dać rady, jak pozbyć się długów. Inni nieprzyzwyczajeni do tutejszego klimatu i ziemi, nie umieją jeszcze tak jej wyzyskać, jak potrzeba, lub można i tracą włożony kapitał. Najgorzej — wszyscy przyznawali — jest pod względem religijnym.

Brak odpowiedniego duchowieństwa bardzo dotkliwie daje się uczuwać: jedni emigranci dziczeją — inni tracą wiarę. Może i w te strony dotrą missyonarze Salezyańscy, których setki polskiej narodowości kształci się obecnie we Włoszech, skoro bardzo wzięli sobie do serca potrzeby duchowe naszych emigrantów, rozprószonych w różnych częściach świata [1]). Oprócz polskich rolników i rzemieślników, znajduje się potężna cyfra naszej inteligencyi na najrozmaitszych urzędach bośniackich. Gdy po okupacyi usunięto wojsko od sądownictwa i administracyi państwowej, okazała się po-

[1]) Zob. Wiadomości Salezyańskie z marca r. 1897 w dopisku do referatu przedrukowanego z książki pamiątkowej I-go wiecu katolickiego w Krakowie, jaki miałem w r. 1893.

trzeba wielu urzędników do zajęcia posad. Dla słowiańskiej tubylczej ludności sprowadzać samych Niemców, byłoby rzeczą w dzisiejszych stosunkach anormalną. Zwrócono oczy na Kroatów i Polaków, a przedewszystkiem na naszych urzędników, nie obawiając się, że będzie »polnische Wirtschaft.« Na propozycyę rządu bardzo wielu urzędników zwłaszcza młodych a energicznych, nieco ryzykując, czy stosunki w Bośni ustalą się lub nie, udało się na obczyznę i otrzymało pasady, na które w kraju musieliby czekać bardzo długo. Najwięcej zgłosiło się Polaków do sądownictwa, tak, że w Tuzli i Banialuce przez dłuższy czas narady lub konferencye trybunałów odbywały się w języku polskim, ponieważ nie było między urzędnikami ani jednego innej narodowości. Jeszcze obecnie liczą w Bośni na 100 urzędników sądowych, co najmniej 70 Polaków. A nietylko w sądownictwie jest ich wielu. Do jakiegokolwiek miasta lub miasteczka przyjechałem (zwiedziłem w czasie mej podróży co najmniej 56 większych miejscowości), wszędzie znajdywałem Polaków, nieraz na bardzo wybitnych stanowiskach. Jeżeli więc zważymy stronę materyalną inteligencyi polskiej, można powiedzieć, że stosunkowo znacznie lepiej się jej powodzi, niż w kraju rodzinnym.

Lecz jest także i strona odwrotna medalu: brak odpowiedniego towarzystwa i duchowej opieki. Ci, którzy zawczasu założyli ognisko rodzinne, lub z rodziną przybyli, jeszcze wyszli najlepiej. Lecz niestety, bardzo jest wielu młodych ludzi, którym dziś nie łatwo przychodzi nawiązać znajomości odpowiednie w Bośni dla braku inteligencyi — w kraju zaś, dla odległości, i żyją bez rodzin jako malkontenci, albo bardzo dziko. Co do opieki duchowej, — to jakkolwiek dziś prawie

w każdem miasteczku znajduje się proboszcz Minoryta, to jednak ponieważ najczęściej tylko bośniacki język rozumie, dla wielu urzędników i ich żon lub służby polskiej, sprawia trudność w otwieraniu duszy przy Sakramencie spowiedzi. Dla znającego swoje obowiązki chrześcianina, przy dobrej woli, trudność powyższa łatwo może być przezwyciężoną, lecz właśnie zachodzi kwestya, czy zawsze znajduje się dobra wola. Czasami spotykałem się ze zdaniem, że OO. Minoryci mają wykształcenie wystarczające dla ludu, lecz do inteligencyi nie umieją przemawiać, gdyż pozostali na tym poziomie nauk, jaki był odpowiedni czasom średnich wieków i tureckiego prześladowania. Niejednokrotnie musiałem w ciągu dalszej podróży kopije kruszyć w obronie bośniackich Minorytów i tłómaczyć, że do rozpoznania co grzech, a co nie jest grzechem, w co należy wierzyć, a co jest zabobonem, posiadają odpowiednie wiadomości, skoro są kapłanami, i że zasady wiary i moralności dla ludu i inteligencyi są jedne i te same i równą mają moc obowiązującą.

Na zapytanie, jakie jest w Bośni życie towarzyskie, otrzymałem odpowiedź, że po większej części klasy urzędnicze przybyłe z Austryi, o ile mogą, żyją wyłącznie tylko ze sobą, gdyż pojęcia towarzyskie tubylców są nieco odrębne, chociaż wszyscy są bardzo gościnni. Inteligencyi katolickiej bośniackiej jest bardzo niewiele. Są wprawdzie rody dawne szlacheckie i magnackie, lecz te tak zubożały za czasów prześladowań tureckich, że dziś prawie w niczem nie różnią się od zwykłych kmieciów (kmet). Sam poznałem w Sarajewie osobę ubogą, chociaż nie bez wrodzonej inteligencyi, o której mi mówiono, że ród swój wywodziła od bośniackiej rodziny królewskiej. Z Serbami życie ma



Banialuka. — Zabudowania wojskowe, w dali kościół katolicki.

Cyfry wyżej przytoczone najwymowniej świadczą, jaka szkoła: wyznaniowa Sióstr Miłosierdzia — czy bezwyznaniowa rządowa więcej budzi zaufania wśród ludności bośniackiej. Siostry Miłosierdzia mają także szkółkę dla najdrobniejszej dziatwy, gdzie około 50 maleńkich istot uczy się z pamięci rozmaitych zabaw. Są jeszcze tutaj inne zakonnice z kongregacyi »Najświętszej krwi« (Pretiosissimi Sanguinis), założonej w Rzymie w bieżącem stuleciu. Klasztorek ich i szkoła po europejsku są urządzone i bardzo malowniczo wśród ogrodu wygląda — a ma i tę wygodę, że bardzo blisko do katedralnego kościoła. Utrzymują wyższą szkołę dla 40 dziewcząt rodzin urzędniczych i wojskowych. Wszystkie wykłady odbywają się podług programów rządowych w języku niemieckim, a uczęszczają na nie katoliczki, żydówki i dwie protestantki. Nawet znajdują się tu dwa pianina do nauki muzyki. Prócz zakładów wyżej przytoczonych, istnieje tu jeszcze rządowa szkoła handlowa, która w praktyce okazała się bardzo potrzebną dla tutejszych mieszkańców.

Obydwa kościołki: katedralny i parafialny — najnowszych są czasów i nowoczesnej konstrukcyi. Trudno więc szukać w nich pięknej architektury i bogactw sztuki, w jakie obfitują nasze świątynie Pańskie. Jednak na chlubę polskiej kolonii mogę powiedzieć, że aparata kościelne, dzięki staraniom i wspaniałomyślności pań, odpowiadają koniecznym potrzebom.

W tej części miasta znajduje się pięknie urządzony szpital, dzieło obecnego rządu, jakiem jest także wielkich rozmiarów i w zdrowem miejscu położona fabryka tytoniu, gdzie 300 dziewcząt bośniackich, chrześcianek, znajduje dobry zarobek. Spotkałem pracownice, gdy wracały z fabryki. Zachowanie się ich po-



Wieśniaczka bośniacka.

ważne, strój staranny i malowniczy, dobre robią wrażenie. Większość z nich, zamiast zwykłej spódnicy, miała bardzo szerokie fałdziste z jedwabnej pstrej materyi szarawary spięte powyżej stopy, szły w sandałach drewnianych, których podeszwy wspierały się na dwu kilka cali wysokich drewnianych kostkach, co robiło wrażenie obówia niewiast chińskich; przykryciem głowy najczęściej był fez czerwony, lub brunatny, ozdobiony złocistemi i srebrnemi blaszkami.

Tak jak część nowsza przypominała większe prowincyonalne nasze miasta, a więc Europę, tak znowu dzielnica stara, to obraz miast azyatyckich. Na pograniczu dwu dzielnic wznosi się stary zamek, którego mury i wały spadają wprost do rwącej rzeki Vrbaš'a. Nowym mostem przedostajemy się w dzielnicę zamieszkałą przez muzułmanów, wśród której wznosi się aż 32 meczetów. Najpiękniejszym i największym z nich jest *Ferhadija* (zob. rycinę na str. 19) i tworzy jakby centrum miasta. Smutne z nim łączą się dla Austryi wspomnienia. W r. 1579 (r. 993 muzułmańskiej rachuby), wielkorządca Bośni Ferhad-Basza pobił wojska niemieckie stojące na granicy Kroacyi pod wodzą hr. Eberharda Auersperga. Generał padł w bitwie, a jego syn Engelbert dostał się jako niewolnik w ręce Paszy, który zażądał od rodziny młodego Auersperga takiego okupu, ile wynosiła budowa wspaniałego meczetu. Odtąd nazwano go Ferhadija.

Jak w każdem większem mieście bośniacko-tureckiem, tak i w Banialuce znajduje się Čaršija, t. j. dzielnica kupiecka, z bardzo charakterystycznemi szeroko otwartemi na zewnątrz sklepami, a jeszcze ciekawszymi zadumanymi kupcami. Będziemy mieli sposobność bliżej się im przypatrzyć w innem miejscu.

Chciałbym zwrócić uwagę czytelnika na jeden tylko szczegół, nie wiem czy lokalny, w każdym razie dostrzegłem go w Banialuce, a tym są publiczne piece piekarskie. Od rana do wieczora piekarz-kupiec podnieca drzewem ogień pod kilku blaszanemi rurami wmurowanemi w sklep, pod którym się pali. Rury na zewnątrz mają żelazne drzwiczki. Rozmaite niewiasty, a najczęście Turczynki, przynoszą mięso, zarobione ciasto, jarzyny i inne wiktuały do upieczenia w owych rurach, chwilę czekają i wynoszą już gotowe potrawy do swoich mieszkań. Rzecz to wygodna dla gospodyń domu, może jest w tem pewna ekonomia, lecz nie wiem, czy dobrze świadczy o doświadczeniu i wprawie Turczynek w kulinarnej sztuce.

Kilka godzin odbywałem wędrówkę po ulicach i zaułkach tureckich; odurzony rozmaitego rodzaju wyziewami, najmuję powozik i jadę za miasto. Dzielnica chrześciańska teraz jeszcze piękniejszą się wydała, zwłaszcza jedna z ulic prosto jak strzała idąca na przestrzeni dwu kilometrów. Kończą się ogrody i wille mieszczan, rozpościera się przed nami w prawo i lewo szeroka równina pełna świeżości, pola uprawne i łąki. Na widnokręgu trzy punkta bieleją, tworząc olbrzymi trójkąt na północno-zachodniej stronie Banialuki. To trzy klasztory: Trapistów w Mariastern, Zakonnic »Najświętszej krwi« w Nazarecie, i Minorytów w Petricevač'u. Po półgodzinnej jeździe stajemy nad brzegiem Vrbač'a. Na przeciwległej stronie rzeki, oparty o skały wznosi się klasztor z kościołem i gospodarskiemi zabudowaniami OO. Trapistów. Wszystko wysokim murem otoczone, bramy zamknięte; nie widać żadnej żyjącej istoty. Woźnica muzułmanin silnym głosem raz

i drugi raz zawołał, zanim się otwarły szerokie bramy i wysunęła się postać rosłego Bośniaka, który jak mitologiczny Cerber przez Styx do Hadesu, tak on zbliżył się do nas na promie i przewiózł przez rwące nurty Vrbašu. Za murami klasztoru dostaję się do furty, gdzie Brat chórowy uprzejmie wita i zapytuje, czy zaraz chcę widzieć Opata, który razem z innymi zakonnikami znajdował się w kościele. Wolałem zaczekać, aż się zakończy nabożeństwo wieczorne, a tymczasem miałem sposobność oglądać w domu Bożym wszystkich Trapistów zebranych na modlitwie. W czterech rzędach długich ławek amfiteatralnie ustawionych po obydwu stronach kościoła, stało około 200 mnichów. Jedni mieli brunatne habity rzemiennym pasem spięte: to są »Bracia«, tych najwięcej; inni w białych habitach z czarnemi szkaplerzami, podobni do Cystersów: to są »Religiosi«, którzy w chórze odmawiają kapłańskie pacierze. Między tymi ostatnimi tylko część otrzymuje święcenia kapłańskie. Nieszpory kończyły się; wyszedł Opat ubrany pontyfikalnie w białej infule, potem dał trzykrotne błogosławieństwo jak Biskup, i powrócił do zakrystyi z całym orszakiem asysty. Po chwili zaprosił gościa do siebie. Strój jego w tem tylko różnił się od innych zakonników, że miał pierścień na ręku i drewniany krzyż na piersiach zawieszony na zielonym sznurku. Jak wszyscy zakonnicy nosi długą brodę, co przy poważnem obliczu jeszcze dodaje pewnego męstwa wyrazowi twarzy. Wiele mówiliśmy o O. Dąbrowskim, znanym w Galicyi missyonarzu, który wystąpiwszy z zakonu apostolskiego, w tym właśnie klasztorze na stare lata przywdział habit Trapisty. Wesołego usposobienia, był przytem zbyt rozmownym; na starość trudno mu było tę ułomność ludzką przezwyciężyć. Lecz cóż cnota



Gornji Šeher. (Zob. str. 55).

z energią nie zrobi! Wesoły rozmownik stał się wiecznie milczącym zakonnikiem, a chociaż nie obeszło się bez wielkiej walki, ostatecznie odniósł nad sobą zwycięstwo, spokojnie i wesoło umierał, otrzymawszy przed śmiercią professyę zakonną, którą nie wszyscy otrzymują. Opat, który był kierownikiem jego duszy i świadkiem ostatnich chwil życia O. Dąbrowskiego, gdyż na jego ręku skonał, opowiadał mi, iż tak piękną miał śmierć, że sam podobnej życzyłby sobie.

Nie będę powtarzał tego o OO. Trapistach, co o nich na innem miejscu mówiłem, opisując ich zakłady missyjne w Natalu — w południowej Afryce [1]). Ten sam duch pokutniczy, umartwienia i modlitwy ożywiają wszystkie klasztory OO. Trapistów: we Francyi, czy pod Rzymem w »Tre fontane«, w Afryce, Australii lub Azyi. Jest to bezprzecznie najsurowszy zakon co do zewnętrznego umartwienia: wieczne milczenie tylko na rozkaz Opata może być przerwane, wieczne wstrzymanie się od mięsa.

Dzięki uprzejmości Opata oglądamy klasztor i jego zabudowania gospodarcze. Sypialnia jest wspólną dla wszystkich. W jednej ogromnej izbie stoi kilka rzędów małych klatek, oddzielonych od siebie murem grubości $^1/_4$ cegły, a wysokości trochę więcej nad zwykły wzrost dorosłego mężczyzny. Klatki są tak ciasne, że prócz łóżka tylko $^1/_2$ metra pozostaje miejsca wolnego do przejścia. Łóżka są drewniane, na nich tapczan, twardo słomą nabity, przykryty kocem własnego wyrobu, jedno krzesło i nic więcej tam niema. Celka Opata w niczem

---

[1]) Zob. »Missye katol.« r. 1889, str. 235—348 i *Szkice cywilizacyi w Afryce południowej.* Kraków, 1890. str. 67—158 OO. Trapiści w Natalu.

się nie różni od innych Braci — tylko u wejścia na tabliczce z imieniem zakonnem zamiast P. N. N. jak jest u innych, na celi Opata wypisano R. P. Abbas (Wielebny Ojciec Opat). Tutaj śpią zakonnicy od godziny 8 do 2 po północy, w dnie świąteczne tylko do 1, poczem idą do kościoła, aby w chórze odmawiać pacierze, wysłuchać lub odprawić Mszę św., a ze świtem rozpocząć takie prace, najczęściej ręczne, jakie posłuszeństwo zakonne każdemu wskazuje. Ubóstwa większego nie widziałem w żadnych innych zakonach, ani nawet u Kartuzów w Rzymie i Trisulti, ani u Kamedułów na Bielanach lub Mondragone. Wchodzimy do refektarza, czyli sali jadalnej; rzędem stoją stoły, a na nich zastawiona wieczerza. Dla każdego z osobna przygotowano w małym kubku piwo, wodę, kromkę chleba, sałatę, $^1/_4$ surowej cebuli i kawałeczek sera. Ser dostają tylko w lecie, gdy w polu są cięższe roboty. W innej porze roku sera nie dostają nigdy. Na obiad podają mleczną potrawę, bardzo rzadką i drugą gęstszą z jarzyn lub mąki, zresztą prócz chleba nic więcej. To jest całodzienne pożywienie Trapisty.

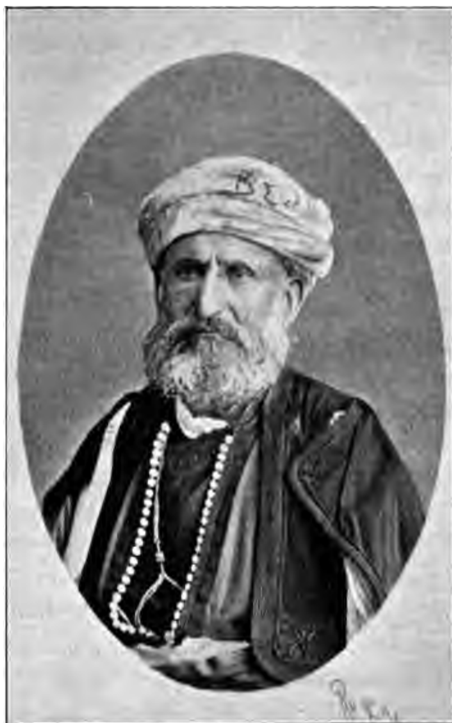
W kuchni, zwanej *Culina Religiosorum,* widząc cztery nagie ściany, pytam gdzie naczynia kuchenne? »Tych nie potrzeba« brzmiała odpowiedź — oto są trzy kotły w piec wmurowane, w nich się wszystko przyrządza. Jeden kocioł służy do gotowania mlecznej zupy, drugi do przyrządzania jarzyny lub mącznej potrawy, w trzecim grzeje się woda do umywania naczyń stołowych. Obok urządzono w osobnej izbie małą kuchenkę, zwaną »kuchnią chorych« *(Culina infirmorum),* tam trochę naczyń, aby w miarę koniecznej potrzeby coś lepszego dla chorego przyrządzić, lecz nawet ci mięsnych potraw nigdy nie używają.

Z kolei oglądaliśmy oborę, a w niej 100 krów rasy szwajcarskiej. Ta krowiarnia może rywalizować z najsławniejszemi hodowlami bydła. Bracia sami doją krowy i sery wyrabiają, poczem o ile im go zbywa, wywożą na sprzedaż, a ma ustaloną sławę w całej okolicy i bardzo jest poszukiwanym. Obok obory znajduje się browar dla potrzeb domowych, zakłady stolarskie, bednarskie, kowalskie, ślusarskie, szewskie, przędzalnie, szwalnie, wszystko obsługiwane przez Braci zakonnych.

Chociaż zwyczajnie OO. Trapiści nie oddają się nauczaniu, to jednak dla braku sił nauczycielskich w kraju, a także dla świadczenia miłosiernego uczynku, mają u siebie ochronę dla 150 chłopców, sierot, w wieku od 3 lat do 18. Sieroty te podzielone na 3 klasy, uczą się elementarnych przedmiotów, poczem jedni kształcą się przy zakładach rzemieślniczych pod kierunkiem Braci, a najzdolniejsi wysełani są do Trawnika, gdzie OO. Jezuici założyli pierwsze gimnazyum bośniackie. Niektórzy z ich wychowanków po ukończeniu gimnazyum, odbyli nauki teologiczne w Sarajewie również pod kierunkiem OO. Jezuitów, a wyświęceni na kapłanów są zajęci w duszpasterstwie, a jeden jest dziś proboszczem. X. Opat opowiadał, że tych chłopców poszukują z rozmaitych stron gospodarze i rozbierają do siebie, zanim zdołają ukończyć nauki i wykształcić na dobrego rzemieślnika. Wzrastający przemysł w kraju poszukuje ludzi fachowych, a krótki czas okupacyi nie dozwolił jeszcze na ich wyrobienie.

OO. Trapiści w znacznej liczbie są Niemcami, wypędzonymi z nad Renu. Gdy żaden rząd nie chciał ich przyjąć w granice swego państwa, pozwolił sułtan.

Zakupili więc grunta około wioski *Delivasinoselo* niedaleko Banialuki, a w r. 1870 założyli swój klasztor, dając mu nazwę *Mariastern*.



Beg bośniacki.

Uprzejmy Opat, Niemiec rodem, odprowadził mnie aż do furty klasztornej, poczem ten sam Cerber bośniacki łodzią przewiózł na drugą stronę rzeki, gdzie Turek czekał z powozem. Każę się wieźć do Nazaretu. Konie jak wiatr w pustyni gnały polnemi dro-

gami, tumany kurzu pozostawiając za sobą. Wkrótce stanęliśmy pod klasztorem Sióstr »Pretiosissimi Sanguinis.« Położeniem swojem bardzo mi przypominał stary Staniątecki klasztor Panien Benedyktynek, tylko mniej około niego wiejskich zagród i nie jest jak tamten otoczony murem, a nadto kościołek jest w stylu gotyckim. Jest to bardzo urocze i spokojne miejsce. Powstało zaledwie przed kilkoma laty, a zakonnice obrały je sobie za dom nowicyatu i zakład wychowawczy dla dziewcząt. Wszystkich Sióstr jest tu 30, z tych 12 nowicyuszek, a są między niemi także Bośniaczki i Szlązaczki. Około 60 dziewcząt sierot otrzymuje w tym zakładzie bezpłatne utrzymanie i naukę. Tylko 6 wychowanek jest płatnych. Szkoła jest trzyklasowa, zakonnice przyjmują do swej ochrony sierotki nawet pięcioletnie; wszystkie uczą się po bośniacku z zachowaniem rządowego systemu szkolnego.

Już słońce miało się ku zachodowi, gdy opuszczałem Nazaret, więc odłożyłem do następnego dnia zwiedzenie Petricewaču, rezydencyi OO. Minorytów (Bernardynów). Udałem się do niej pieszo, gdyż zaledwie parę kilometrów jest oddaloną od Banialuki. Klasztor z kościołem jest położony na wzgórzu dominującem nad całą okolicą. Zakonnicy zbudowali go jeszcze w r. 1873, a więc za czasów tureckich, lecz wtedy, kiedy Turcya czuła, że kończy się jej panowanie w Bośni. W owym czasie nie było ani jednego jeszcze kościoła w Banialuce, więc tutaj założono dla miasta parafię, tu kształcono młodzież zakonną. Klasztor jest wielki, o murach silnych, może pomieścić kilkadziesiąt osób. Dziś pozostało tylko czterech zakonników, klerycy uczą się w innych klasztorach bośniackich. Ojca gwardyana zastałem siedzącego w altance, fez turecki



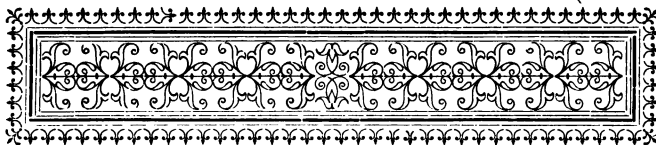
Handlarz drzewem.

miał na głowie, zresztą był ubrany w habit zakonny. Przed rokiem 1878, żaden z zakonników nie mógł się pokazać po za obrębem kościoła w sukni duchownej; wszyscy przebierali się w strój narodowy bośniacki i nosili broń palną za pasem. Znajomość z przełożonym łatwo się nawiązała; wprowadził gościa do honorowej sali, urządzonej na sposób turecki: owalny stół pośrodku izby, dokoła ścian obiegały niskie kanapy, dywanem zwane, obite czerwoną materyą. Na ścianach wisiały, jak w każdym pokoju gościnnym, rozmownicy lub szkole, portrety Ich Cesarskich Mości domu Habsburskiego.

»Gdy Austryacy weszli do Bośni — opowiadał O. gwardyan — Turcy zajęli nasz klasztor i zrobili zeń fortecę. Musieliśmy uciekać zawczasu, gdyż mieli zamiar nas wymordować. Schroniliśmy się do klasztoru OO. Trapistów, gdzie za wysokiemi murami, odcięci od świata rzeką bystrą, byliśmy spokojni. Austryacy ustawili swe działa naprzeciw naszego klasztoru i tak zniszczyli nam dach armatniemi kulami, że trzeba było nowy stawiać, lecz Turków wyparli i odtąd spokojnie w tym klasztorze mieszkamy.«

Była to w tym roku ostatnia moja wycieczka w okolicach Banialuki, nazajutrz w dalszą puściłem się drogę ku stolicy królewskiej ostatniego z królów bośniackich.





ROZDZIAŁ III.

Nad brzegami Vrbašu.

Kąpiele w Gornji-Šeher. Widoki wśród wąwozu. Rozmowa z begiem. Muzułmańska liturgia. Ruiny zamku. Trzy siostry bośniackie Filipowiczówne umęczone za wiarę i cnotę. Kościołek w Podmilaczu. Dzień Św. Jana. Sceny z opętanymi i exorcyzmy kościelne. Rozmowa z lekarzem. Przyjazd do Jajec. Polacy urzędnicy.

W sobotę 25 maja po Mszy św., na którą przybyło parę osób z polskiej kolonii, wyjechałem z Banialuki w towarzystwie tureckiego bega, muzułmanina. Powóz był otwarty, nowy, ozdobiony herbem bośniackim: w złotem polu stalowe ramię rycerza trzymającego miecz, a nad tarczą hełm stalowy ze złotą królewską koroną z trzech lilij bourbońskich. Dwa złotogniade rumaki, wysokiej miary, szlachetnej krwi, wiozły nas ku Jajcom, powiatowemu miastu, gdzie się koronował ostatni z królów bośniackich. Po raz ostatni przejechaliśmy przez muzułmańską dzielnicę Banialuki i tuż za nią położony Gornji-Šeher. Znajduje się tu źródło gorącej wody (+ 30° C.) ujęte w basen, pochodzący jeszcze z czasów rzymskich. Jak ongi Rzy-

mianie, tak dziś Turcy rozkoszują się w tych naturalnych termach, i bardzo często nawiedzają swe rodzime miejsce kąpielowe. (Zob. str. 47).

Już sam Gornji-Šeher ma bardzo piękne położenie: nad rzeką u podnóża gór. Powoli dwa pasma górskie coraz bardziej zbliżają się do siebie i tworzą wąwóz, przez który przepływa rwisty Vrbaš. Przed kilku laty nie było tu nawet koziej ścieżki, dziś jedziemy gościńcem tak równym, że na przestrzeni 72 kilometrów, w drodze niema wzniesienia większego nad 2 metry i to tylko w niektórych miejscach. Zato po obydwu stronach wąwozu wznoszą się niebotyczne góry, porosłe lasem. Gdzieniegdzie ukazują się jak dwa mury prostopadłe skały, czasem wiszą nad drogą, która je podcina, a nie mogąc znaleźć dla siebie wyjścia, przebija tunelem, wije się wśród góry i lekkim mostkiem przechodzi na drugi brzeg rzeki. Co krok mamy nowe widoki, nowe cuda natury, gdyż Vrbaš wężowato wśród wąwozów płynie. Raz skały zaciemnią widnokrąg i tak ścieśniają, że ledwie płat nieba mamy nad sobą, to znowu otwierają się boczne wąwozy pełne świeżej zieleni, a z nich spadają w kaskadach górskie strumyki i zasilają wody Vrbašu. Chociaż słońce rzuca snopy promieni w ten tajemniczy labirynt i olśniewa złotym blaskiem szczyty i wąwozy, powietrze jest chłodne, lecz chłodem wiosennym, który nie przejmuje, lecz orzeźwia organizm.

Długi czas jechałem w milczeniu. Dusza pełna zachwytu nie była zdolną do innej rozmowy, do przyjęcia innego głosu, jak tego, którym przemawiała cudowna natura, głosząc piękność, wszechmoc i dobroć swojego Stwórcy. Gdy minęły pierwsze wrażenia, zwróciłem uwagę na mego towarzysza podróży, z którym



Droga wśród gór wąwozem Vrbašu.

koniecznie wypadało choć słów parę zamienić. Był to typ Turka. Stary, barczysty olbrzym o rudej brodzie, na fez czerwony zawdział biały, czarno-nakrapiany turban. Ubrany był w materyę niebieską, ferman (serdak) futrem podbity, szerokie szarawary, od kolan zamiast pończoch miał cienką czerwoną skórę na nogach, a dopiero na nią przywdział czerwone, safianowe, głębokie pantofle. Cała postawa owego Turka, bardzo niesympatyczna, wzrok mglisty i podejrzliwy, raz poraz na mnie się zatrzymywał. W sercu może on tęsknił za owemi czasy, kiedy muzułmaninowi chrześcianin musiał ustępować z drogi, jak się to praktykuje dziś jeszcze w Albanii i mogłem tam doświadczyć przed kilku laty na własnej osobie. W Banialuce pokazywano mi ganek tureckiego mieszkania, z którego jakiś beg bezpośrednio przed okupacyą Bośni strzelał do przechodzących ulicą chrześcian — dla zabawki — i kładł ich trupem, za co najmniejsza nie spotkała go kara. Mówić więc o przeszłości, było rzeczą drażliwą, o teraźniejszości — dla muzułmanina nie miłą. Wielką miałem ochotę wziąść za temat rozmowy religię i pytać Turczyna o Mahomeda, o jego ucieczkę (16 lipca 622 r. po Chr.) z Mekki do Medyny, od której muzułmanie liczą swą erę, Hedźra nazwaną, o Koranie i jego 114 Surach (rozdziałach). Czytelnik przyzna, że to najodpowiedniejsza byłaby rozmowa kapłana z niewiernym, budząca nadzieję przekonania przeciwnika o jednej prawdziwej objawionej prawdzie, o błędzie islamu. Nie łudźmy się. Z Turkiem mówić o religii, to najwyższa obraza, za którą gotów pchnąć nożem. Zapytałem więc mego towarzysza, czy stale w Banialuce mieszka, czy tylko za interesami w te strony zawitał. Uprzejmie oświadczył, że w mieście odwiedzał

swych synów uczęszczających do szkoły handlowej, sam zaś na wsi przebywa. Korzystając z dobrego usposobienia, pytam dalej czy liczną ma rodzinę. Lecz na moje słowa krótką dał odpowiedź, oczy mu gniewem zabłysły; widocznie poruszyłem strunę delikatną.



Bośniacka rodzina cygańska.

Opowiadał mi później O. Pancić T. J., Rektor trawnickiego konwiktu, że o stosunkach rodzinnych może z Turkiem mówić tylko najbliższy członek rodziny, lub przyjaciel domu. A nawet i tacy przy

spotkaniu się, mają zwyczaj pierwsze zadawać pytanie »*kako jes*« (jak się masz) i otrzymują odpowiedź »dobrze«, drugie zaś »*kako još*« odnosi się do całej rodziny, t. j. zarówno mężczyzn jak niewiast: żony i córek. Innych pytań w tym względzie nikt nie zadaje. Pytać o żonę muzułmanina jest dlań zniewagą zarówno wielką, jak chcieć rozprawiać o religii. Otóż O. Pancić nie znając tureckich zwyczajów, w jakimś domu, gdzie także byli muzułmanie, zapytał jednego z nich, jak się miewa jego żona. Turek tak się tem rozgniewał, iż dobył noża i chciał nim przebić kapłana. Dopiero obecni rozbroili obrażonego, tłumacząc, że pytanie nie pochodziło ze złej woli, tylko z nieznajomości miejscowych zwyczajów.

Mój towarzysz nie był tak srogim; niebawem nawiązała się znowu rozmowa, gdy zgraja Cyganów opadła nasz powóz i prosiła o jałmużnę. Półnagie lub zupełnie bez ubrania dzieciaki biegły za nami dotrzymując kroku szybkonogim rumakom, i dopiero centy rzucone w daninie, powstrzymały wyścigi, na które aż przykro było spoglądać.

Tymczasem droga staje się jeszcze piękniejszą, bardziej imponującą murami skał dochodzących wysokości 1300 metrów. Nie są to martwe, nagie skały wapienne Karsu lub Dynar od strony Dalmacyi, lecz pełne świeżości i życia, gdyż las gęsty nieruszony ręką ludzką, nie dozwolił na spłukanie cienkiej warstwy ziemi. Tylko gdzieniegdzie wygląda siny kamień z pośród bujnej zieleni i kwiatów. Szmer wodospadów i kaskad, łączy się ze szczebiotem licznego ptactwa i miarowym szumem bystrego Vrbasu, dodając życia bezludnej okolicy. Gdzieniegdzie na szczytach pozostałe zwaliska dawnych zamków świadczą, że dawniej



Ruiny zamku Krupa w drodze z Banialuki do Jajec.

możnowładcy bośniaccy czuwali nad tem ciasnem przejściem. Jeden z nich *Krupa* w prześlicznem leży położeniu, gdzie szerszy widnokrąg można objąć okiem. Tam pierwszy był nasz przystanek; zmieniono konie, był czas nieco się wyprostować i orzeźwić u źródła bijącego ze skały. Ujęto je w piękną fontannę i dano nazwę *Wielo-Wilma* — jak świadczy napis wyryty na tablicy r. 1894. Tu po raz pierwszy byłem świadkiem religijnych ćwiczeń pobożnego bega. Polegało ono na tem, że bez żadnej żenady porozpinał się i począł obmywać wodą głowę, ręce, ramiona, nogi... W liturgii muzułmańskiej nazywa się ten rodzaj praktyki religijnej *Gassel* i *Vuzu*. Jest jeszcze trzeci, na który begowi czasu już nie stało: *Gussel* — który polega na kąpieli całego ciała. Po takich operacyach Turek począł machinalnie odmawiać jakieś modlitwy. Wkrótce je skończył, konie były już zaprzężone, więc znowu ruszyślimy w drogę. Ruiny zamku Krupa dały nam nowy temat do rozmowy. Turek opowiadał, że w Bośni istnieją jeszcze zamki tureckie, a jeden niedaleko za górami, znajduje się w Sitnicy, własność rodziny Filipowiczów (Filipović). W tej właśnie okolicy w czasach zajęcia Bośni przez Turków, rozegrał się straszny dramat w tej rodzinie, jeden z wielu, jakie wówczas zaszły.

Na zamku sitnickim było trzech braci tego rodu: jeden z nich został wzięty w niewolę, drugi uciekł do Węgier i stał się założycielem dalmatyńsko-kroackiej gałęzi rodu Filipowiczów, trzeci stał się renegatem, przyjął islam, za co został mężem zaufania wezyra bośniackiego z Trawnika i był założycielem zbisurmanionego rodu Filipowiczów, dzisiejszych panów na Sitnicy.

Kronikarz współczesny opowiada [1]), że to odstępstwo od wiary nader boleśnie dotknęło całą rodzinę, sławną z bogactwa i cnót chrześciańskich. Więcej nad innych opłakiwały hańbę swego rodu trzy siostry Filipowiczówne: Ludwika, Anna i Łucya, bratanice apostaty, i głośno potępiały postępowanie tyranów bośniackich. Gdy wieść o tych dziewczętach, rzadkiej piękności, rozeszła się w okolicy, porwano je z domu i zaprowadzono do Liwna w darze dowódzcy wojsk tamtejszych Mustafowi Afiz. Ucieszył się Turek z niewolnic, i hojnie obdarzył siepaczy. Przy pierwszem spotkaniu z Filipowiczównemi, powitał je z wyszukaną uprzejmością i począł wychwalać wzniosłość zasad religii Mohameda, rozkosze w tem życiu i szczęście po śmierci, sławę w rozkrzewianiu, wielkość i bogactwa, jakie przygotowuje swoim wyznawcom. Złudnemi obietnicami chciał wkraść się do ich serca i otrzymać zezwolenie na tureckie śluby. Skromne dziewczęta spuściły oczy i nic nie odpowiedziały na dalsze pytania. Milczenie stanowcze wymowniejszem było nad słowa.

Rozgniewany Afiz kazał je uwiązać do ogona zdziczałego konia. Lecz ten sam Bóg, który czuwał nad Danielem, gdy go wrzucono do jaskini lwów, miał w swej opiece świątobliwe dziewice. Koń, pomimo że go straszono i bito, stał się łagodnem stworzeniem, niczem niewzruszony, ani kroku naprzód nie postąpił. Wówczas użyto innego rodzaju katuszy. Odwiązano dziewczęta od konia i wrzucono je do głębokiego,

---

[1]) Zob. Storia dei frati minori... in Dalmazia e Bossina... scritta dal P. Donato Fabianich M. O. P. I. Vol. I. Zara, 1863, str. 211—216.

P. Pietro Bakula. I Martiri dell'Erzegovina, który cytuje ten fakt za Santowskim.

Na ten widok głos zdumienia i podziwu wyrwał się z piersi obecnych. Dziewczęta nic nie straciły na świeżości oblicza, i owszem, jaśniały jeszcze idealniejszą, niebiańską pięknością. Skromność i powaga ruchów pełna godności, wywołały uszanowanie i cześć jakby dla istot nadziemskich. Każda z Filipowiczówien trzymała w ręku różaniec z medalikiem przedstawiającym Matkę Bożą; oczy spuszczone ku ziemi zwracały się ku wizerunkowi Najświętszej Panny. Żołnierze tureccy przybyli ze stron dalekich, patrząc na ten widok, myśleli, że różańce są czarodziejskim talizmanem, a dziewczęta to cienie lub larwy. Dopiero renegaci obecni dali im odpowiednie objaśnienia.

Może w pół godziny po tem zdarzeniu, gdy wszyscy już nieco ochłonęli z pierwszego wrażenia, Mustafa Afiz dał rozkaz żołnierzom prowadzić męczennice do cytadeli, gdzie raz jeszcze chciał przedstawić swoje żądania, a gdyby nie chciały pozostać w jego haremie, miały zginąć wśród strasznych katuszy. Skazanym towarzyszył stryj panien. Wśród rozmowy dowiedział się od bratanic swoich, że nie 16 ale 21 dni są bez żadnego pokarmu, a w dniu porwania były na Mszy św. i przyjęły z rąk O. Grzegorza Minoryty komunię św. razem z Bratem Łukaszem, którego muzułmanie w parę godzin później w kawałki posiekali. Pomimo tego, niegodziwy beg Filipowicz namawiał dziewczęta, aby zgodziły się na oddanie ręki Mustafowi i przedstawiał życie pełne rozkoszy w domu możnego pana. Filipowiczówne ze wzgardą odrzucały wszelkie namowy i oświadczyły, że dla obrony swej niewinności i na stwierdzenie stałości we wierze, gotowe są cierpieć chociażby największe katusze.

Cały orszak znajdował się już w cytadeli. Afiz po raz ostatni dał do wyboru dziewicom: mieszkanie w haremie, lub śmierć przez spalenie na stosie. Wszystkie wybrały radośnie męczeństwo. Rozgniewany Afiz rozkazał wprowadzić je do Mlinicine, miejscowości odległej o godzinę pieszej drogi od Liwna, i tam żywcem spalić! Dla większej okazałości i rzucenia postrachu na okoliczną ludność chrześciańską, polecił tyran spalić razem z dziewicami wdowę Žarkicz, poprzednio skazaną na śmierć głodową w turmie, oraz jakiegoś starca, chrześcianina, o którego imieniu i nazwisku kronikarz współczesny nie mógł się wywiedzieć. Ów starzec złamany wiekiem i cierpieniem, opadł na siłach w pół drogi i tak się odezwał do towarzyszek śmierci, zalewając się łzami: »Szczęśliwszemi odemnie jesteście; wyście młode, możecie wpierw zdążyć do ognia, a z ognia do nieba — do naszego Jezusa i Jego Najświętszej Matki, aby spocząć wśród grona Świętych.« Na te wzruszające słowa, Anna i Ludwika Filipowiczówne podniosły starca i podtrzymując rękoma, pół wlokły, pół niosły ze sobą, aż doszły na miejsce stracenia.

Stos drzewa był już przygotowany. Zaraz wrzucono nań skrępowanych męczenników; wdowa Žarkicz związana razem z dzieckiem, skonała zanim pod drzewo podłożono ogień. Tłumy ludu muzułmanów, odstępców i chrześcian były świadkiem tej zbrodni, a zarazem całopalnej ofiary chrześciańskich dziewic. Prześliczna towarzyszyła pogoda w chwili, gdy słowiańscy męczennicy zdobywali palmę zwycięstwa. Lecz ledwie ogień ogarnął Filipowiczówne i trudno je było rozpoznać od palących się głowni, tak silny zerwał się wicher i trwał przez całych trzy dni i trzy noce, że

ze skał spadały na pola kamienie i wiele domów mieszkalnych zniszczyły. Lud uważał to za znak gniewu Bożego, ponieważ burza szalała tylko w Liwnie i jego okolicy.

Przytoczyłem fakt powyższy prawie dosłownie z kroniki Santowskiego, który, jak tradycya podaje, zaczerpnął powyższą wiadomość z rękopisu samego bega Filipowicza. Podobno ów renegat przed śmiercią się nawrócił, chociaż jego potomkowie podziśdzień wyznają islam.

Czy nie jest to nemezis dziejowa, iż właśnie z tego samego rodu, z linii dalmatyńsko-kroackiej, Józef Filipowicz generał głównodowodzący armią austro-węgierską podczas okupacyi r. 1878 ostateczny cios zadał panowaniu Turków w Bośni i Hercegowinie?

Lecz wróćmy do mego towarzysza podróży. Gdy przejeżdżaliśmy około wioski, zwanej Podmilacze, beg zwrócił moją uwagę na kościołek św. Jana u samego podnóża góry, tuż nad Vrbašem. Mówił mi, że w dniu tego Świętego, 24 czerwca dzieją się cuda, i dlatego nawet muzułmanie na to święto przychodzą. Cuda te, zdaniem muzułmanina, polegają na tem, że katoliccy kapłani wypędzają złe duchy z opętanych. Bardzo zadziwiła mnie i zainteresowała uwaga poganina, dlatego postanowiłem zasięgnąć bliższych w tym względzie informacyj. Otóż zarówno księża jak i świeccy ludzie, urzędnicy i wojskowi, opowiadali, że rzeczywiście w dniu św. Jana z dalekich okolic Bośni i Hercegowiny, z Dalmacyi, Kroacyi, a nawet z Turcyi przywożą na to miejsce opętanych przez złego ducha, a Franciszkanie bez różnicy kto nim jest, katolik, Serb, lub muzułmanin, odbywają exorcyzmy, nieraz z wielkim skutkiem.



Proboszcz Minoryta ze swymi parafianami w Jajcach.

Jeden z muzułmanów opowiadał mi, że są trzy rodzaje szatanów: »jeden rodzaj takich, których może wypędzić hodżia lub mufti (duchowni muzułmańscy), innym ci nie mogą dać rady, lecz wypędzi go duchowny serbski; najczęściej jednak nikt inny nie jest w stanie wypędzić go z człowieka, tylko waszej religii kapłan.«

Spotkałem się także z ujemnem zdaniem naocznych świadków exorcyzmów, o których mowa. Mówiono, że OO. Minoryci w barbarzyński sposób odbywają ten akt, obrażając delikatniejsze uczucia widzów. Ponieważ nikt nie przeczył rzeczom nadzwyczajnym jakie się tam dzieją — raz do roku w dniu św. Jana Chrzciciela, tylko krytykowano sposób postępowania i rozmaicie tłómaczono sobie owe zjawiska, postanowiłem na ten dzień zjechać do Podmilacza. To co widziałem i słyszałem, podaję z ówczesnych notatek, jakie zaraz na miejscu spisałem.

W dniu 22 czerwca 1895 roku, z dalekich stron Hercegowiny przybyłem do Jajec, zkąd 5 kilometrów drogi do sławnego odpustowego miejsca. Hotelista, wcześnie zawiadomiony o mem przybyciu, zachował dla mnie pokój gościnny. Dobrze się stało, że wcześnie go zawiadomiłem, gdyż napływ ludzi był ogromny. Nietylko wszystkie pokoje, ale wszelkie zakątki, nawet korytarze hotelowe, prywatne pomieszkania były pozajmowane pielgrzymami spieszącymi do Podmilacza. W mieście ruch nadzwyczajny; wozy i wózki bośniackie pełne podróżnych wiozą wszelkie przybory do spania i gotowania jadła, formalne tabory snują się ku cudownemu miejscu. Wieczorem miałem sposobność rozmawiać o tem co się dzieje z wyższymi wojskowymi i lekarzem rasy semickiej. Ten mówił, że jest bezwyznaniowym, i drwił sobie z opowiadań o wypędzaniu

złych duchów. Namówiłem go, aby przybył na miejsce, na co się zgodził z kilku oficerami. Przewidując ścisk wielki i możliwe przygody, skorzystałem z listu polecającego J. E. Ministra Br. Kallaya [1]) i zażądałem od komendy żandarmskiej w Jajcach jednego żołnierza dla własnego bezpieczeństwa, któryby czekał na mnie w Podmilaczu.

W uroczystość Św. Jana Chrzciciela rano, zajechał Turczyn, wsiadłem do bryczki i ruszyłem w drogę. Spotykamy wozy i woziki pełne pobożnych chrześcian i muzułmanów. Dostrzegam niewiasty zupełnie odrębnego typu o długich kruczych lśniących warkoczach, siedzące na koniach po męsku z ostrogą u nogi, którą konia naglą do biegu. Błoto ogromne, lecz na nie nikt nie zważa. Brną po niem ludzie rozmaitego wieku i płci w przepysznych strojach złocistych: katolicy, Serbowie, muzułmanie, hiszpańscy żydzi i cyganie. Najwięcej jedzie konno mężczyzn w turbanach czerwonych; Turczynki również konno w szkarłatnych po-

---

[1]) List, który mi nie jedną oddał przysługę, był następującej osnowy:

6481/B. H. An alle bosnisch-herzegowinische Behörden und Dienstesorgane einschliesslich der Gendarmerie.

Offene Ordre.

Alle bosnisch-herzegowinische Behörden und Dienstesorgane einschliesslich der Gendarmerie werden angewiesen, dem Hernn Pater Martin Czermiński, welcher eine Studienreise nach Bosnien und der Herzegowina unternimmt, erforderlichen Falls jede thunliche Unterstützung zu gewähren. Wien am 8 Junii 1895. Vom gemeinsamen Ministerium für den gemeinsamen Finanz-Minister

Jansekowitsch.

L. S.

Gemeinsames Ministerium
in Angelegenheiten Bosniens und der Herzegowina.

włoczystych bundach z kapturem na głowie, z pod którego bardzo oryginalnie i malowniczo wygląda twarz zakwefiona białą zasłoną. Przy drodze leżą chorzy i kalecy, wyciągając ręce po jałmużnę. Straszną twarz spostrzegłem: ciało odpadło od kości, prawie trupia głowa bez ciała, bez warg, same zęby ze szczęki wystają — i ta istota się rusza, idzie drogą, istna śmierć, brak tylko kosy! Robi się coraz większy ścisk. Część pątników spieszy w nurty Vrbašu i nogi z błota omywa, aby czysto wejść do kościółka, a chociażby tylko na plac przed nim, zapełniony tysiącem powózek, koni, namiotów i kramów, lub pod barakami kawanny [1]). Żandarmi i służba wojskowa uwija się i utrzymuje porządek, a trzeba przyznać, że się dzielnie wywiązuje ze swego zadania. Żandarm oddany mi do usługi zaraz się zjawił, i bardzo się ucieszył, bo mógł mówić po polsku; pochodził z pod Limanowy w Galicyi.

Idziemy do kościoła. Ścisk taki, że wejść trudno, lecz na widok żandarma rozstępują się ludzie i łatwo mogę za nim dostać się do wnętrza. Po lewej stronie kościółka widzę grupę muzułmanów i muzułmanek, wśród nich niewiasty opętane od złego ducha, niektóre skrępowane powrozami i łańcuchami. Po prawej stronie Serbowie i Serbki leżą jak snopy na ziemi, lub siedzą w smętnej zadumie. Ledwie wszedłem do kościoła, muzułmanie i muzułmanki, Serbowie i Serbki, a było ich około 30 przywiezionych jako opętanych, zaczęli szczekać i wyć. Miałem wrażenie, jakbym się znalazł wśród sfory psów rozmaitych ras, tak odrębne były te zwierzęce — nie ludzkie głosy. Jedna przedewszystkiem wyje przeraźliwie, to wpada jakby w letarg,

---

[1]) Rodzaj kawiarni.



Katoliccy małżonkowie z okolicy Jajec.

to znowu w konwulsyjne podrygi. Była to Serbka Floryana Šurić, dziewka około 20 lat. Począłem nad nią się modlić, lecz gdy widziałem, jak strasznie się rzuca i wyje, tak mię serce zabolało i taki dreszcz przerażenia przejął całego, iż czułem, że nie wytrzymam i zemdleję. Wyszedłem na pole, czekając rozpoczęcia exorcyzmów.

Niebawem nadszedł proboszcz z okolicy, do którego należy także podmilacki kościołek. Przybył również młody Minoryta, wikaryusz z miasta Jajec. Obydwaj dowiedzieli się o moich zamiarach, więc bez długich witań, mówi stary proboszcz:

»Dobrze ksiądz robi, że naocznie chce się przekonać o tem, co wiele ludzi nierozumiejąc wyśmiewa. Zaraz exorcyzmy rozpoczniemy, spodziewam się, że ksiądz zechce brać w nich udział. Modlitwy i exorcyzmy będzie odmawiał wedle rytuału rzymskiego ten oto Ojciec świeżo na kapłana wyświęcony: jest młody, silny, to wytrzyma chociażby kilka godzin; ja już jestem za stary, dawniej sam exorcyzmowałem, lecz teraz już brak mi sił fizycznych do tej pracy.«

Na widok trzech kapłanów rozstąpiły się rzesze, swobodnie weszliśmy do kościoła przed wielki ołtarz. Szczekania i wycia powtórzyły się chórem, a tak straszliwie przeraźliwe, iż zdawało się jakoby piekło zstąpiło na ziemię. Dziwnie tęskno odbijała od tajemniczego głosu opętanych gorąca modlitwa wszystkich innych obecnych, przeplatana płaczem i łkaniem.

Na ołtarzu zapalono kilka świec woskowych. Exorcysta ubrał się w komżę i stułę fioletową, proboszcz ze mną klęknął obok celebransa i rozpoczęliśmy litanię do Wszystkich Świętych, a po jej odmówieniu, przy mensie ołtarza stanęliśmy twarzą do ludu. Pier-

wszą do exorcyzmu wzięto ową Floryannę Šurić. Ojciec i brat przynieśli ją jak martwą kłodę i położyli na stopniach ołtarza.

U moich stóp usiadła jakaś stara kobieta Serbka, i ze łzami w oczach poczęła mnie prosić całując po nogach, aby mogła być drugą z kolei pod exorcyzmy. Żaliła się, że od lat kilku na to miejsce przybywa, i nie może się doczekać wypędzenia ze siebie złego ducha, gdyż ją inni uprzedzą. Co chwila: to szczeknie jak pies, to zacznie się modlić, żegnać lub wzywać »Bohorodycy« Maryi. Przyznam się szczerze, że aczkolwiek żal mi było nieszczęśliwej Serbki, bardzo robiło mi się nie swojsko, gdy co chwila szczekała, lub warczała jak pies na łańcuchu.

Tłumy muzułmanów i żydówek cisną się także do stopni ołtarza. Dwie żydóweczki hiszpańskie zalewają się łzami, lecz ciekawość przemaga i patrzą na rzeczy przechodzące ich pojęcie. Wśród ludu dostrzegam owego lekarza semitę, który się stawił na wezwanie z oficerami. Skinąłem na nich, aby się zbliżyli i lepiej mogli zobaczyć to, z czego przedtem drwili. Stanęli zaraz przy mnie. Twarze ich pobladły, spoważnieli, i nie śmieli słowa powiedzieć.

Tymczasem kapłan odmawia modlitwy po łacinie podług rytuału rzymskiego, i w tymże języku zadaje pytania. Dziewka nie umiejąca nawet czytać, na każde łacińskie pytanie odpowiada po bośniacku do rzeczy, zupełnie jasno, głosem jakimś grobowym, dzikim, śpiewając melancholijnie. Chociaż ma oczy zamknięte jakby we śnie, gniewa się, że są kapłani — ona nie chce kapłanów. Exorcysta pyta ją po łacinie, ile ma w sobie szatanów; odpowiada »pięć,« »a ile lat w tobie siedzą« — odpowiada »sześć.« Poczem krzyknęła:

»nie wypędzaj mnie, to moja kuczia« (to mój dom) i kilka razy to samo w śpiewie powtarza. Gdy kapłan zaklina i rozkazuje w imię Chrystusa, aby zły duch ciało dziewczyny opuścił, odpowiada: »gdzież ja pójdę?«

Kapłan: »do piekła.«

Duch: »nie pójdę, tutaj zostanę, to mój dom.«

Piękne kościelne modlitwy i pełne siły zaklęcia, aby szatan opuścił tego, którego Duch Św. za mieszkanie sobie obrał, i to w imię Chrystusa »Niepokalanego Baranka, przed którym drżą piekła, a moce niebieskie są Mu posłuszne,« nie podobały się złemu duchowi, gdyż począł rzucać opętaną Floryaną, bić głową o ziemię. Lecz jedno pokropienie wodą święconą, zaraz uspokojało słabą i wpadała jakby w letarg.

Gdy się wszystkie modlitwy skończyły, a szatan pomimo szamotań wyjść nie chciał, poczęto szukać na dziewce amuletów. Tutaj zaszły sceny dziwne: najpierw zaczęła krzyczeć: że żadnych amuletów nie ma. Nie dano jej wiary, lecz ojciec jej i brat poczęli poszukiwania. Wkońcu znaleziono gdzieś pod koszulą schowane zabobonne przedmioty: woreczek pełen niewiem czego, bo był zaszyty, muszelki najzwyczajniejsze, kosteczki, kilka patyczków i blaszek. Jako trofea położono to wszystko na ołtarzu. Floryana poczęła wyć przeraźliwie i krzywić twarz. Lecz znowu pokropiono ją wodą święconą i zaraz się uspokoiła. Na rozkaz exorcysty, aby zły duch opuścił dziewczynę, zawołał kilkakrotnie »wyjdę.« Począł ją nadymać tak, że w pasie objętość jej równała się beczce; to znowu silne tchnienia wydawała ze siebie i język tak z niej wychodził, iż się zdawało, że wnętrzności wyjdą jej gardłem. Powtórzono rozkaz — znowu duch odpowiadał, że wyjdzie, lecz nie usłuchał: rzucał nią kon-

wulsyjnie i wył. Wówczas rozkazano (po łacinie) pocałować krzyż ze św. Relikwiami. Floryana zaraz czyniła to, lecz ze wstrętem, wpierw dmuchając zanim pocałowała. Kapłan kilkakrotnie rozkazał krucyfix całować — była posłuszną dziewczyna. Wreszcie po konwulsyjnych drganiach, gdy kapłan ponownie silnym głosem zawołał: »wyjdź! — wyjdź zaraz!« wpadła nieszczęśliwa jakby w konanie, następnie w letarg — stała się jakby martwą — silnie odetchnęła, otworzyła oczy i odrazu powstała z twarzą wesołą, poczciwą, niedopoznania zmienioną. Przedtem miała wyraz twarzy szkaradny, dziki, jakby zwierzęcy; teraz wyglądała jak najskromniejsza — najwstydliwsza wiejska dziewczyna. Równocześnie odezwały się znowu silne szczekania i wycia opętanych, lecz silniej wydobył się głos z tysiąca piersi: »chwała Bogu« i łzy radości zabłysły w oczach obecnych.

Myśleliśmy, że to jeszcze nie koniec, że szatan się ukrył, aby go nie dręczyć. Kazaliśmy Floryanie odmówić cały pacierz, co uczyniła z wielkiem nabożeństwem, ucałowała nas w ręce i do nóg się rzuciła, dziękując za łaskę. Rodzina jej niebawem przyniosła wielkie świece woskowe dla kościoła, gdyż ofiarowanych pieniędzy, naturalnie kapłani przyjąć nie chcieli. Cała ceremonia trwała $1\frac{1}{2}$ godziny, z tego $\frac{1}{2}$ godziny upłynęło od chwili zdjęcia amuletów z opętanej.

Po chwili przyniesiono drugą wiejską dziewczynę, imieniem Maryę, mogącą mieć najwięcej lat 18. Przynieśli ją bracia na rękach jak kawałek kłody i położyli u stóp ołtarza. Powtórzyły się sceny już opisane, lecz z nią sprawa była trudniejsza. Z wielkim wstrętem krzyż całowała, lecz gdy ostatecznie musiała to zrobić, wpierw nań pluła, a po pocałowaniu rzucało nią o zie-

mię tak silnie, że o mało nie rozbiło jej głowy. Czasami kapłan zmieniał ton mowy i zwracał się do Maryi a nie do szatana. Wówczas podnosiła oczy jakby z letargu i głosem delikatnym, pełnym słodyczy i boleści, odpowiadała najskromniej w świecie. Gdy pytania były zwrócone do złego ducha, wydawała głos szorstki, gruby, zuchwały. Najwidoczniej dwie osoby przez jej usta przemawiały: ludzka i podziemska istota. Exorcyzm trwał przeszło dwie godziny. Pomimo poszukiwań amuletów, nie można było znaleźć; biedny exorcysta zalewał się potem, ponawiał modlitwy i zaklęcia z rytuału, lecz nic nie pomogły, szatan bezustannie powtarzał: »to mój dom, ja zeń nie wyjdę.« Dziewczę wpadło w letarg, nie dawało znaku życia, zdrętwiało na całem ciele, wynieśli ją na rękach smutni bracia jak skostniałego trupa.

Czytelnik zapyta: dlaczego w pierwszym wypadku udał się exorcyzm, a w drugim nie? Na to znajdzie odpowiedź w Ewangelii św. Mateusza (w rozdz. XVII, w. 14—20). Nawet uczniom Chrystusa Pana nie zawsze udawały się exorcyzmy. Zresztą są niezbadane wyroki Boże.

Doczekała się wreszcie swej kolei wieśniaczka serbska, która czekała u moich stóp. Poczęto i nad nią exorcyzmy odmawiać. Zbyt byłem zmęczony i wzruszony, abym mógł dłużej przypatrywać się dziwnym zjawiskom. Usunąłem się i opuściłem Podmilacze.

Po pierwszym udałym exorcyzmie zapytałem lekarza, o którym wyżej wspomniałem, co on sądzi o tem wszystkiem. Odpowiedział mi na to z pewnem zakłopotaniem:

»Ksiądz hypnotyzuje!«

»A cóż pan sądzi o tych chorych?«

»Należałoby ich wpierw zbadać, czy nie są umysłowo słabi na obłęd religijny« — odpowiedział lekarz.



Muzułmanin na modlitwie.

»Toż zbadaj pan czemprędzej któregokolwiek z podanych za opętanych, zanim się rozpoczną exorcyzmy.«

Na tę radę wybladły lekarz semicki skrzywił się i wyszedł czemprędzej z kościoła, nie chcąc, abym go naglił do badań rzeczy, o których sam był przekonany, że przechodzą jego lekarską wiedzę. Później spotkałem go raz jeszcze w Jajcach. Pragnął ze mną mówić o religii katolickiej; wyznaczyłem dogodną dlań godzinę na poufną rozmowę, lecz pomimo obietnicy że się stawi, słowa nie dotrzymał.

Wobec przytoczonego faktu, jaki własnemi oczyma widziałem, a każdy może podobne zdarzenia sprawdzić, jeśli zechce na dzień 24 czerwca do Podmilacza zajechać, godnem zastanowienia jest wiara muzułmanów w potęgę nadziemską Kościoła katolickiego. Muszą być w ich oczach te fakta bardzo nadzwyczajne, skoro odważają się nietylko wejść do katolickiego kościoła, którym w zasadzie gardzą, ale nawet przyprowadzają doń swe żony lub córki, które nigdy, nawet między samymi muzułmanami, nie biorą udziału we wspólnych zebraniach, a tem mniej wolno im wejść w jakąkolwiek styczność z chrześcianami.

Napis na tablicy umieszczonej w kościele, podaje czas jego budowy na rok 1158. Lecz tradycya miejscowa mówi, że przedtem znajdował się na drugim brzegu Vrbašu, przy wiosce; co zresztą bardzo zdaje się uzasadnionem, gdyż trudno przypuścić, aby w tak niewygodnem miejscu kościół stawiano pod górą i to za rzeką, gdzie niema ludzkich mieszkań. Zkądże wziął się kościół w miejscu gdzie dziś stoi? Na to ta sama tradycya podaje następującą legendę: Gdy muzułmanie przybyli w te okolice, kościół zbezcześcili i zapędzili doń bydło, lecz ono wszystko wyzdychało. Ponieważ grunta przytykające do kościoła przeszły na rzecz tureckiego skarbu, i było niebezpieczeństwo, że kościół

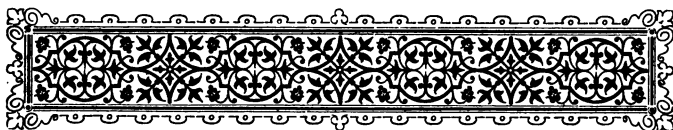
znowu ulegnie profanacyi, jakaś pobożna muzułmanka ofiarowała chrześcianom pod kościół swój grunt, położony za rzeką. Gdy chrześcianie zbierali się, aby wyprosić pozwolenie na przeniesienie kościoła, nazajutrz zobaczyli, iż jakaś niewidzialna ręka go przeniosła na miejsce, gdzie dziś się znajduje. Od tej chwili datuje się ten kościołek Św. Jana Chrz. jako miejsce cudowne. Opowiadano mi, że X. Arcybiskup Stadler ze Sarajewa, do którego metropolii należy dyecezya Banialucka, a w niej Podmilacze, chce na tem miejscu zbudować wielki nowy kościół. Kosztorys jego obliczony na 24.000 złr., materyał w znacznej części na miejscu, gdyż dokoła są skały i lasy, a rąk roboczych dostarczy w znacznej części bezpłatnie pobożny lud. Dotychczas zebrano parę tysięcy, a znoszą ofiary nietylko katolicy, lecz i Serbowie, a nawet muzułmanie.

Wśród drogi z Banialuki do Jajec, przysiadł się do naszego powozu inżynier obwodowy, rządowy, p. Fr. v. Mihanowich. Zaraz się zaprezentował i uwolnił mnie od towarzystwa bega, zapraszając na przednią część bryki pocztowej, zkąd widok był piękniejszy i swobodniejsza gawędka. Opowiadał, że cała cudowna droga, którą przebyliśmy, zadecydowaną została przed trzema laty; zaraz wzięto się do roboty i pomimo trudności, jakie jeszcze do niedawna zdawałyby się nie do przezwyciężenia, w krótkim przeciągu czasu ukończono i oddano do publicznego użytku. Co prawda, droga ta kosztowała okrągły milion złr. Podobnie pięknej i wygodnej, z uwzględnieniem trudności w jej budowie, nigdzie dotychczas nie miałem sposobności oglądać. Jest ona bezprzecznie wielkiem dobrodziejstwem dla ludności okolicznych wiosek — i dwu wielkich miast: Banialuki

i Jajec, a również i pod względem strategicznym jest ważną, gdyż jest najkrótszą i najwygodniejszą drogą z pogranicza Kroacyi do wnętrza Bośni i dwu jej posterunków wojskowych.

Słońce zachodziło, gdy ujrzałem Jajce, bezprzecznie jedno z najpiękniejszych miast Bośni. Zamek dominuje na górze, a na jej stokach rozsiadły się domostwa. Vrbaš z dopływem okala całość z trzech stron.

Stajemy w rządowym hotelu, a że tu »Europejczycy« żyją bardzo familiarnie, towarzysz drogi p. Mihanowich, zaraz prezentuje mnie miejscowemu staroście p. Jakubowskiemu, ten znowu swej żonie, gdyż urzędnicy poschodzili się swoim zwyczajem do hotelowej restauracyi, służącej im za resursę. Poznanie było łatwe, a niezawodnie przyczyniła się do tego uprzedzająca uprzejmość p. Jakubowskiego, który zaraz ułożył dla mnie plan zapoznania się z miastem i zaprosił do siebie nazajutrz.



ROZDZIAŁ IV.

W Jajcach, dawnej stolicy królów bośniackich.

Kościół OO. Minorytów. Typy miejscowe. Sarkofag króla Tomaszewicza. Podanie o jego śmierci. Katakumby. Zamek. Jego obrona przez niewiasty bośniackie. Ruiny kościoła św. Łukasza. Kontrowersya dotycząca Jego św. relikwii. Wodospad Pliwy. Prywatne zabytki bośniackie w mieszkaniu starosty Jakubowskiego. Haremy i życie w nich niewiast muzułmańskich. Wycieczka do Jezero. Modlitwa muzułmanów. Ordery. Polna kuchenka. Urzędnicy w Bośni.

Noc już zapadła, gdy pożegnałem polskie towarzystwo w Jajcach. Usunąłem się do wyznaczonego mi hotelowego pokoju i w samotności zabawiałem się to nieodstępnym towarzyszem podróży: brewiarzem, to piórem, kreśląc świeże wrażenia z dnia ubiegłego. Ciszy wiosennej nocy nic nie przerywało. Miarowy szum wodospadu Pliwy, wpadającej do Vrbašu, tuż obok hotelu, nie przeszkadzał do snu, lecz raczej pomagał. Gdy się przebudziłem, szczyty gór naprzeciw mych okien lśniały już blaskiem słonecznym.

Pierwsze kroki naturalnie kieruję do kościoła OO. Minorytów. Po ulicach ludu bardzo nie wiele; jeszcze zbyt rano, więc i w kościele zaledwie parę osób znalazłem, chociaż to była niedziela. OO. Minoryci pracują w Jajcach już około 500 lat. Dawniej mieli swój klasztor wśród miasta przy kościele św. Łukasza. Gdy Turcy przyszli do Bośni i opanowali Jajce, klasztor ich został zniszczony, sami musieli się schronić na sam kraniec miasta, gdzie dopiero w bieżącem stuleciu mogli wystawić swój dzisiejszy konwent i kościół. Budowali go przeszło lat 60, dla rozmaitych trudności, jakie napotkali ze strony rządu tureckiego. Na dzwonnicę, jak wszędzie, i tu nie dozwolono; ta która jest obecnie, zbudowaną została w najnowszych czasach po okupacyi, lecz dzwonów dotychczas niema.

Po Mszy św. pozostałem jeszcze w kościele, aby przypatrzyć się ludowi spieszącemu na Sumę. Po asperzyi ksiądz ubrany w szaty kościelne zwrócił się od ołtarza twarzą do ludu, złożył ręce do modlitwy i głośno począł wymieniać intencye, na jakie mają się modlić. Po każdem ogłoszeniu intencyi następowało parę razy *Ojcze nasz* i *Zdrowaś,* które wierni z wielkiem nabożeństwem odmawiali. Mężczyźni prawie wszyscy mieli głowy ogolone, tylko kosmyk długich włosów spleciony w warkocz spadał im na plecy. Kobiety rozpostarły na podłodze dywaniki ręcznej roboty, niektóre bardzo pięknie haftowane, na nich usiadły z turecka, a zdjąwszy sandałki ustawiły je przed sobą. Modlą się z rozwartemi ramionami, podobnie jak przedstawiają pobożnych prastare malowidła w rzymskich katakumbach. Niektóre niewiasty mają całą pierś zasłoniętą szeregami wielkich srebrnych i złotych monet.



Katakumbowa kaplica w Jajcach. (Zob. str. 87).

Piękną i cenną ozdobą są również żakieciki delikatnem futerkiem podbite lub niem lamowane, a prócz tego zdobne w hafty złote, nieraz bardzo szerokie. Barwa włosów przeważnie ruda; podobno sami tutejsi mieszkańcy je farbują kosmetykami domowego wyrobu. Typy tutejsze w ogólności piękne i inteligentne zarówno mężczyzn jak niewiast.

Po lewej stronie od ołtarza, w bocznej nawie kościoła, znajduje się szkielet ostatniego z królów bośniackich Stefana Tomaszewicza (r. 1461—1463). Spoczywa on z oznakami królewskiemi w wielkiej szklanej trumnie na podwyższeniu, tak że każdy może ją łatwo oglądać. Zwykle trumna przykryta bywa czarnem suknem, i tylko na większe święta ją odkrywają. Tradycya miejscowa podaje, że król Tomaszewicz widząc niepodobieństwo dalszej obrony twierdzy Jajce, wysłał parlamentarzy do tureckiego obozu z oświadczeniem gotowości złożenia broni, jeśli jego i załogę zachowają przy życiu. Turcy przystali na podane warunki, lecz gdy twierdza była już w ich ręku, a król jako niewolnik w obozie wezyra, ten zmienił zdanie. Pyta więc hodżi, czy go obowiązuje słowo dane królowi. »Skoroś dał, trzeba dotrzymać« — brzmiała odpowiedź. Wezyr zapytał o zdanie drugiego duchownego tureckiego, i otrzymał odpowiedź jakiej pragnął: »Słowo dane chrześcianinowi nie obowiązuje ciebie wielki wodzu, zwłaszcza, że ten chrześcianin dziś jest w twej niewoli.«

Wówczas wezyr miał wezwać przed siebie króla Tomaszewicza i tak się odezwał:

»Wyjdziesz za miasto na wzgórze, zkąd będziesz mógł swą stolicę oglądać, lecz ona więcej ciebie nie zobaczy.«

Wyprowadzono króla na przeciwległe wzgórze, i tam ścięto mu głowę, trupa wrzucono do przygotowanego grobu, a głowę na jego piersiach położono.

Tradycya powyższa utrzymała się dotychczas i dała wskazówkę, gdzie leży grób ostatniego z królów bośniackich. Przed kilkoma laty poczęto w tym względzie poszukiwania, i znaleziono kościotrup, a na jego piersiach czaszkę dotychczas bardzo dobrze zachowaną.

Gdy wracałem z kościoła do domu, spotkałem starostę, p. Jakubowskiego, który mnie zaprosił do »konaku« t. j. budynku rządowego, gdzie się znajduje starostwo. Tam poznałem p. Jasicę, adjunkta, który podjął się łaskawie być moim *cicerone*. Udaliśmy się najpierw do tutejszych katakumb. Poniżej góry zamkowej, znajdujemy drzwi zamknięte do sklepów podziemnych. Sługa starostwa otwiera zamki, zapala pochodnie i prowadzi po kamiennych schodach wykutych w skale do przedsionka, następnie do kaplicy, objętości kilkunastu metrów kwadratowych. Naprzeciw wejścia znajduje się ołtarz z kamienia wykuty, opierający się o ścianę, w której wyżłobiono krzyż, a po jego obydwu stronach słońce i półksiężyc. Za ołtarzem znajduje się absyda, a po obu stronach w ścianach nisze i półkoliste zagłębienia, kształtem i wielkością zupełnie przypominające groby męczenników w rzymskich katakumbach. Wszystko to wykute w twardej skale, bez żadnego śladu podmurowania. Pod tą kaplicą znajduje się druga podobna, lecz mniejsza, a pod nią może jeszcze trzecia, gdyż dudni, gdy się nogą o ziemię uderzy. Obydwie kaplice są bardzo starannie wyciosane, sklepienie wykute w stylu romańskim, lecz niektóre linie łuków przypominają gotykę. (Zob. str. 85).

Kto jest twórcą tych katakumb? w jakim celu były zbudowane? dotychczas bardzo podzielone są zdania. Przed kilkoma laty, radzca Windakiewicz znalazł w jednej z kaplic niedokończony herb *Hrvoji,* księcia Spalatu, który za najświetniejszych swych czasów w XIV wieku panował od Adryatyku i Narenty aż po rzeki Unę i Vrbaš. Odkrycie tego herbu nasunęło archeologom domysł, że Hrvoja kazał wykuć w tem miejscu grobowce dla siebie i swej rodziny [1]). Prawdopodobniej herb ten później powstał, a mianowicie gdy Hrvoja zamierzał już gotowe katakumby zamienić na swoje grobowce. Trudno bowiem przypuścić, aby książę obeznany ze sztuką włoską w jej pełni rozwoju, w skalistych podziemiach szukał miejsca dla swojego grobu, skoro mógł go okazalszym uczynić na zewnątrz. Na mnie katakumby powyższe zrobiły wrażenie pierwszych czasów chrześciaństwa. Czemuż nie miałyby być wykute przez chrześcian, uciekających ze Salony w czasach prześladowań Dyoklecyana? Wszystko przypominało mi swem podobieństwem kaplic, ołtarze i groby z rzymskich katakumb. Lud opowiada, że za czasów tureckich tutaj więziono chrześcian. Gdy rząd okupacyjny zajmował Jajce, jakiś Turek urządził sobie z katakumb skład na beczki z piwem! Dziś w wielkiem poszanowaniu i opiece rządu miejscowego znajduje się ten ciekawy pomnik przeszłości. Gdyśmy wychodzili, podano nam książkę pamiątkową do wpisania swych nazwisk; na pierwszej stronie znajduję podpis b. Następcy Tronu Arcyksięcia Rudolfa, a na następnej Br. Appela naczelnika Bośni i Hercegowiny.

---

[1]) Cf. Wissenschaftliche Mittheilungen aus Bosnien und der Herzegowina. Bd. II, str. 94—107. Wien, 1894.



Ruiny kościoła św. Łukasza w Jajcach. (Zob. str. 92).

Z katakumb w paru minutach dostaliśmy się na szczyt góry, uwieńczonej wspaniałemi murami fortecy. Władza wojskowa bez trudności dała nam klucze od bram. Dziś w zamku niema żołnierzy, jest tylko grób dwóch poległych z ręki tureckiej, którzy pierwsi dostali się na mury forteczne podczas okupacyi w r. 1878. Całe zabudowanie przedstawia się w kształcie trapeza, którego bok od strony zachodniej długim jest na 200 metrów, z innych stron mury są krótsze. Stajemy na szczycie szerokich bastionów, rozpadających się zwolna w ruinę. Widok prześliczny. Całe miasto mamy u stóp swoich, wszystkie ulice i domostwa możemy objąć okiem. Z trzech stron otaczają nas wody: Pliwy, a raczej jej jezior szerokich łączących się ze sobą, aby następnie wpaść szerokim wodospadem w nurty Vrbašu, który z drugiej strony opływa Jajce. Strategicy zachwycają się położeniem tego fortu, choć dziś bez znaczenia, bo przecież od Dalmacyi nie grozi Bośni żadne niebezpieczeństwo, a w razie buntu, wojsko ze Sarajewa łatwo koleją można sprowadzić. Lecz dawniej bywało inaczej. Sułtan uważał Jajce za równie ważny punkt strategiczny jak Belgrad; ten miał być dlań kluczem do Węgier, Polski i Czech, przez Jajce spodziewał się zapanować nad Dalmacyą, Istryą, Włochami i cesarstwem Niemieckiem! [1]) Ostatnia była też to twierdza królów bośniackich, która się Turkom poddała, lecz zarazem pierwsza, w której Węgrzy wskrzesili na lat 65 królestwo bośniackie. Oto na wieść o klęsce pod Jajcami, jeszcze w tymże samym roku 1463, król Maciej Korwin pospiesza do Bośni. Łączą się z nim liczni

[1]) Porównaj: *Acta Bosnae* l. c. str. 265. List Macieja Korwina z r. 1465 do swego posła w Wenecyi.

możnowładcy tego kraju. Najpiękniejsza i najbogatsza część Bośni z 75 zamkami wyrwaną została z rąk tureckich z tym samym pośpiechem, jak przed paru miesiącami przez nich została zdobytą. Od tej chwili Jajce stają się drugim Ilionem między Turcyą a Węgrami, a zarazem twierdzą Chrystyanizmu w Bośni. Już na wiosnę następnego roku przybywa tu Muhamed II na czele 30.000 armii, lecz komendant twierdzy Emeryk Zapolya odpiera nieprzyjaciela i zmusza do ucieczki. Tureckie napady ponawiają się co parę lat, lecz zawsze są odparte przez dzielne wojska »książąt Bośni.« W jednym z ostatnich bezskutecznych napadów, zaszły interesujące i charakterystyczne szczegóły.

Było to w r. 1525. Uzref-Pasza na czele znacznych wojsk oblegał Jajce. Po kilkudniowych zapasach, gdy nie mógł przemocą zdobyć twierdzy, postanowił użyć podstępu. Wydał rozkaz do odwrotu, odstąpił od miasta, lecz w poblizkich górach nad Vrbašem zatrzymał pochód, ukrył żołnierzy w lasach, i przygotowywał pokryjomu nowe, silniejsze oblężnicze narzędzia. Komendant twierdzy Piotr Keglewich, wywiedziawszy się o podstępie nieprzyjaciela, wzmacniał nadwerężone mury, a część wojska wysłał pokryjomu po za obozy tureckie, z rozkazem, aby na nie wpadły, gdy strzał armatni da znak do ataku.

Użył nadto jeszcze innego podstępu. Ponieważ była to wigilia jakiejś uroczystości, zebrał dziewczęta i kobiety z Jajec i zachęcił je, aby wyszły po za mury miasta i na łączce zwanej dziś jeszcze *Kraljeva polje*, poczęły śpiewać i tańczyć, jak to mają w zwyczaju w czasach zupełnego spokoju.

W nocy Turcy ruszyli ze swych kryjówek, niosąc narzędzia oblężnicze. Gdy się zbliżali do miasta,

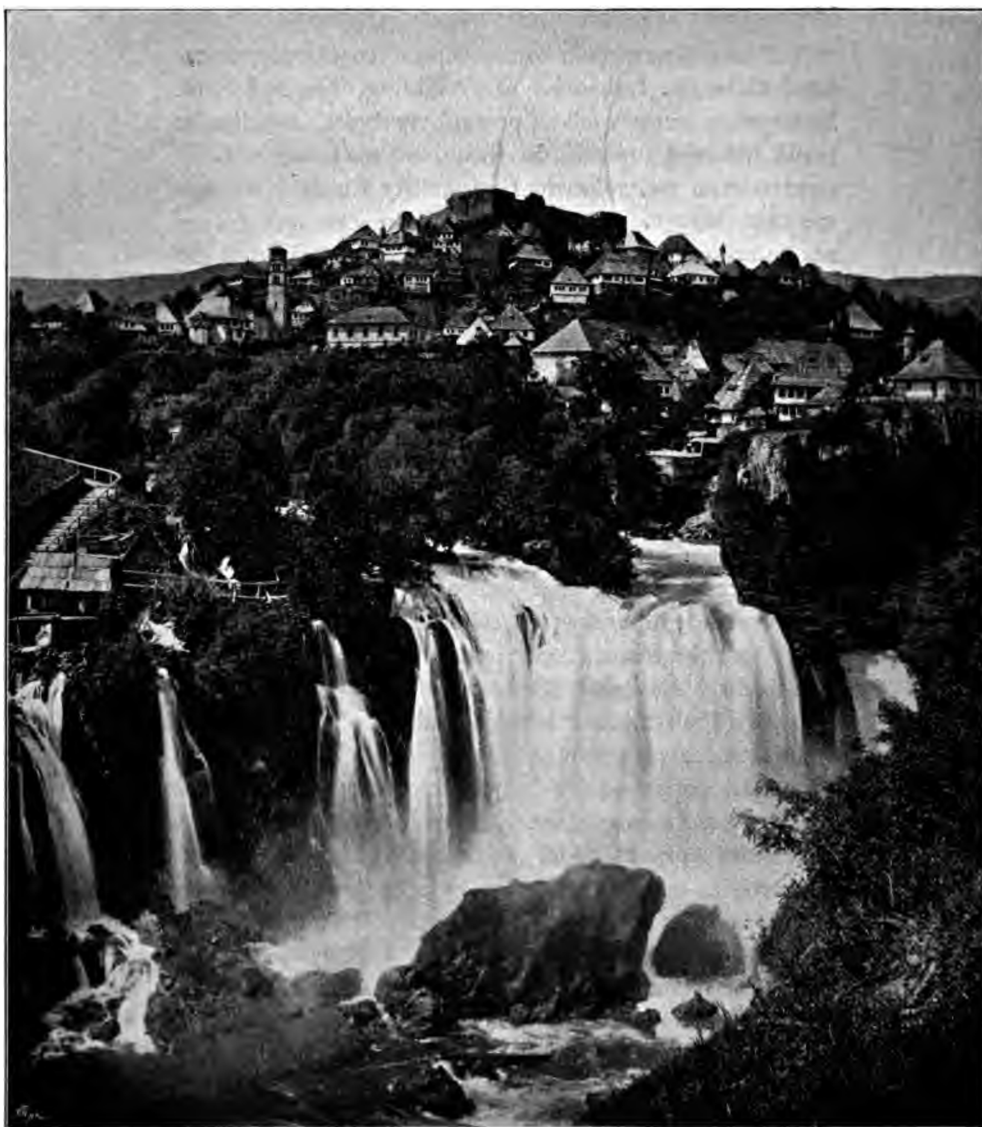
usłyszeli wesołe śpiewy przy dźwiękach guzli i ujrzeli przy świetłe księżyca rozweselone w tańcu odważne niewiasty. Nie widząc dla siebie żadnego niebezpieczeństwa, odłożyli zbroje i zamiast na fortecę, rzucili się swoim zwyczajem na zastępy chrześcianek, przyszłych swoich niewolnic. W tejże samej chwili z twierdzy zagrzmiało działo. Piotr Keglewicz wypada na czele załogi, z drugiej strony nadbiegają z lasów wojska bośniackie, dziewczęta i kobiety chwytają za broń. Turcy w trzy ognie wzięci, zostali zmuszeni do haniebnej ucieczki, pozostawiając na polu walki kilka tysięcy żołnierza.

Tak rzecz przedstawia miejscowe podanie. Faktem jest historycznym, że Turcy wówczas klęskę ponieśli, a Uzref-Pasza był zmuszony nową 20.000 armię pod Jajce sprowadzić, lecz i tym razem został odparty, gdy w dniu 11 czerwca 1525 r. Krzysztof Frangipani pospieszył chrześcianom na pomoc.

Niestety, było to już ostatnie zwycięstwo wojsk chrześciańskich nad potęgą Osmanów. W trzy lata później, ten sam Uzref-Pasza zdobył Jajce, i pozostało ono w rękach tureckich aż do r. 1878.

Z zamku do wnętrza miasta przechodzimy około ruin dawnego kościoła św. Łukasza. Z przybytku Pańskiego tylko kawałek murów pozostał i bardzo piękna wieża w najlepszym stylu włoskim. Lud opowiada, że tutaj spędził św. Łukasz Ewangelista ostatnie lata życia swojego, tu umarł i został pochowany, ztąd i kościół zbudowano pod jego wezwaniem. Lecz jest to tylko tutejsza legenda, gdyż wiadomo, że św. Łukasz umarł w Achaji, a jego ciało zostało przeniesione do Konstantynopola z rozkazu cesarza Konstantyna [1]).

[1]) Cf. S. Hieronima *De Scriptoribus Ecclesiasticis.*



Wodospad Pliwy. (Zob. str. 95).

i odesłał takowe w najdokładniejszych wymiarach do ministeryum w Wiedniu — względnie do muzeum, aby służyły jako nowe, nieznane a bardzo oryginalne wzory.

Miło było mi poznać polskiego »kulturträgera« (w dobrem znaczeniu) na słowiańskiej ziemi, który chce i umie zapoznawać szersze koła z dodatniemi stronami kraju, w którym zajmuje wybitne stanowisko. Liczni turyści najrozmaitszych narodów (w tym roku w maju byłem z rzędu już 471-ym), przyjemnie i z pożytkiem czas spędzą w Jajcach, dzięki uczynnej uprzejmości p. Jakubowskiego i zapewne z wdzięcznością wspominać sobie będą polskiego starostę. Pani starościna stara się godnie dotrzymywać towarzystwa mężowi, i o ile jej czasu starczy przy wychowaniu dzieci, które sama uczy, zbiera materyały do tutejszych stosunków, pomników, piórem i pęzlem, gdyż wcale dobrą jest akwarelistką. Skorzystałem z tej znajomości, aby wywiedzieć się nieco o rzeczach dla mnie zupełnie niedostępnych, mianowicie o domowem życiu muzułmanek i ich mieszkaniach zwanych haremem. P. Jakubowska bawiąc od lat kilkunastu w Bośni, nie w jednym domu muzułmańskim bywała i następujące z tych wizyt odniosła wrażenia:

»Wysoki parkan, walące się stajnie, a wokoło nich podwórze w nieładzie, widocznym na każdym kroku, nie zrobiły na mnie bynajmniej miłego wrażenia. Zdumioną jednak byłam, gdy minąwszy dziedziniec, zbliżyłam się do mieszkalnego domu, stojącego w głębi tego ogrodzenia, a utrzymanego schludnie, nawet z najstaranniejszą czystością. Dom mieszkalny, jak wszystkie tureckie, jest piętrowy, zbudowany z niepalonej cegły, drzewa i gliny, pobielany, o niebiesko malowanych

ramach u okien małych, gęsto zakratowanych. Parter zwykle jest węższy, a piętro szersze i po nad ściany wystające, wskutek czego pokoje na piętrze są obszerniejsze niż izby dolne. U wejścia w dolnym przedsionku wzdłuż obudwu ścian, paradowały całe szeregi najrozmaitszych gatunków obuwia. Jedne wysokie z cholewami bez obcasów, zakrzywione u palców ku górze, to znów płytkie pantofle, ledwo na koniec palców zachodzące, sukienne i skórzane, wielkie i małe; najwięcej jednak znajdowało się drewniaczków (nanule), owych deszczułek w kształcie podeszewki z rzemykiem skórzanym na palce a podbitej dwoma obcasami drewnianemi, wysokości 2 lub 3 cali. Obuwie zostawia się przed progiem, aby czystą nogą wchodzić do domu; ubożsi boso, zamożniejsi w pończochach w piękne wyrabianych wzory, lub w safianowych ciżemkach, sznurowanych z boku, a często bogato wyszywanych złotem. Mijając dół domu przeznaczony na mieszkanie mężczyzn, weszłam na górę po śnieżno białych schodach do przedsionka piętra. Tu zatrzymałam się, oglądając jego część wystającą na podobieństwo oszklonego ganku, i skierowałam swe kroki w stronę, z której mnie żałosny szmer dochodził. Na małym rozesłanym kobiercu, na środku izdebki, klęczała postać starej kobiety, zwrócona twarzą ku wschodowi, i odmawiała półgłosem modlitwy.

»Zatopiona w modlitwie, nie dostrzegła mnie wcale, więc nie przerywając jej nabożeństwa, udałam się ku innym z wielu niziutkich drzwiom, rzeźbionym gustownie i zaokrąglonym łukowato. Pokoje bowiem tureckie (soby) nie są ze sobą połączone, lecz każdy ma osobne wejście z korytarza. Drzwi, do których się zbliżyłam, stały otworem; zaraz też spostrzegły mnie

kobiety, siedzące na sposób turecki na niskiej sofie (minder), zrobionej z płaskich poduszek, a okalającej cały pokój. Powstały szybko i zręcznie, nie podpierając się wcale rękami i z nieudaną radością zapraszały mnie, abym usiadła w ich gronie. Po zwyczajem przyjętych i tu pytaniach o zdrowie gościa i jego rodziny, zajęły się kobiety przedewszystkiem oglądaniem z wielką ciekawością przyborów mego stroju, wypytując o szczegóły bez najmniejszej żenady i dyskrecyi. Gdy starsza pani domu była zajętą ze mną rozmową, młodsze, zapewne krewne lub towarzyszki, pobiegły przynieść mi czarnej kawy w maleńkiej porcelanowej czarze, tudzież mosiężną misę pełną przepysznych owoców. W pokojach białe podłogi zarzucone były matami plecionemi z sitowia, a na nich rozesłano dywany i dywaniki różnej wielkości. Wokoło trzech ścian biegnie niska kanapa, zasłana poduszkami rozmaitej wielkości i kształtu, o jaskrawych barwach bez smaku i harmonii. Przy czwartej ścianie, zwykle naprzeciw drzwi, umieszczona jest szafa z pułkami, rzeźbiona, na słupkach, sięgająca aż do sufitu, obok niej zaś stoi niewielki piec ze zielonych kafli, mających kształt miseczek, zagłębieniem zwróconych do pokoju. Obok pieca, w którym jest wmurowany kociołek na wodę, znajduje się mała drewniana łazienka z umywalnią, a płyta kamienna z otworem, wmurowana w podłogę, służy do odprowadzenia użytej wody. Na ścianach tej łazienki wiszą do użytku bardzo gustowne, ręcznym haftem ozdobione ręczniki, które zazwyczaj gościom podają zamiast serwet. Łóżek niema w umeblowanym pokoju, bo tak mężczyźni jak kobiety sypiają na owych kanapach, nakrywając je na noc cienką bielizną, którą na dzień zdejmują i chowają w skrzynie na składzie. Przy



Wieża niedźwiedzia w Jajcach. (Zob. str. 106).

samej powale wokoło trzech ścian, obiega wąska pułka, zastawiona najrozmaitszem naczyniem. Stoją tam szklane dzbany i porcelanowe czarki do kawy, mosiężne imbryki o kształtach starożytnych lub formach wschodnich, misy płaskie, blaszane, wytłaczane w deseń, lub dzbanuszki z żółtej gliny, ciemną farbą malowane w rodzime wzory.

»Pokój średniej wielkości ma sześć do ośmiu okien, zaopatrzonych gęstą kratą drewnianą i nie rzadko zasłoniętych nadto firaneczkami. W lecie najczęściej wszystkie okna stoją otworem, więc przez nie wciskają się do wnętrza gałązki drzew owocowych, lub pnących się roślin, nadając temu schronieniu pozór rozkosznej altany. Inne pokoje podobnie są urządzone, choć różne bywa ich przeznaczenie. Schodzą się tam służebne kobiety i dziewczęta do szycia, przędzenia i tkania. Pokazano mi alkierz, gdzie w ciężkich skrzyniach złożone są szaty, płaszcze, bielizna, bogate stroje i cienkie gazowe okrycia i chusty, nierzadko grubo złotem haftowane; tam też przechowują się kosztowności, przeważnie naszyjniki z dukatów, sznury pereł, fezy perłami sadzone, ozdoby z kosztownych kamieni, kolczyki złote i srebrne z drucików jak nici cienkich, wyrabiane misternie i wzorzysto jak koronki, ciężkie bransolety srebrne lub drewniane ozdobione złotem i koralami.

»Innym razem — opowiada pani Jakubowska — odwiedzałam żonę bega majętnego. Mimo oczywistego wpływu europejskiej cywilizacyi w urządzeniu domu i zachowaniu się tajemniczej władczyni, widzieć tam mogłam wyraźnie walkę starego obyczaju z nowemi prądami życia. Serdecznie przyjęła mnie gospodyni domu, kobieta wysoka, blada, bez uśmiechu na ustach, i po chwilowem ożywieniu, przez cały czas mej wi-

zyty prawie półśpiąca. Ubraną była w jedwabne spodnie i kaftan jedwabny w żółte i zielone paski. Na głowie miała fez. Od rąk jej białych wydłużonych i prawie przezroczystych, odbijały starannie utrzymane, na czerwono pomalowane paznogcie; po miękkim dywanie stąpała bosą nogą z pomalowanemi podobnie jak u rąk paznogciami. Około niej krzątały się dziewczęta służebne, którym wprawdzie łagodnie, ale dawała odczuć swe grymasy.

»Kiedy na srebrnych tacach w czareczkach porcelanowych wniesiono nieodzowne w przyjęciu: kawę i konfitury, usiadłyśmy na miękkich poduszkach do pogawędki, a dziewczęta jak pazie ustawiły się we drzwiach, czekając na dalsze rozkazy swej pani.

»Dama ta opowiadała mi o swojej rodzinie, a zachowanie się i ruchy, choć nie miały dystynkcyi naszych pań, były jednak pełne powabu i wdzięku. Z rozmowy przekonałam się, że umysł jej bystry i zastanawiający się zapewne przez styczność z krewnymi kształcącymi się za granicą, nie był bez inteligencyi. Rozumie ona, czem jest dla człowieka nauka i praca; czuje to dobrze, że bez tej przyprawy życie ludzkie staje się uciążliwem istnieniem. Musi jednak przestrzegać zwyczajów tradycyjnych, siedzieć zamknięta i ograniczona tylko do stosunków ze służbą i podobnie odosobnionemi kobietami, odcięta od świata i nieświadoma przebiegu jego spraw, przez całe życie umierająca na brak umysłowego interesu, wśród istnej anemii duszy i serca. Nawet ręcznej pracy chwycić się jej nie wolno, bo to ubliżałoby społecznemu stanowisku jej pana. Haftowanie, tkanie cienkich płócien, wyszywanie jedwabiem i złotem, kwiatów na materyach, do stroju i domowego użytku służących, wszystko to jest

udziałem kobiet tureckich biednych lub średniego stanu. Bogatym takie zajęcia nie przystoją; one mogą tylko dozorować pracę dziewcząt i towarzyszek, wybierać wzory, dodawać gustu, zresztą skazane na śmiertelne nudy niczem nieprzerywanego próżniactwa i bezczynności, chyba paleniem tytoniu, czarną kawą i słodyczami.«



Muzułmanka na ulicy.

To też z każdym gracikiem zachodniego wyrobu, z każdym sprzętem i wiadomością o świecie innym i innych życiowych stosunkach, wciska się w rodzinę turecką niezadowolenie z tradycyjnego stanu rzeczy, tęsknota i pragnienie odmiany. Wszystko to nurtując zwolna w tureckiem społeczeństwie, podmywa budowę starego porządku, grożąc mu ruiną, niestety bez świadomego planu, jakby się miały uregulować stosunki.

Zdawałoby się, że muzułmanki przynajmniej oddadzą się gorliwie wychowaniu swych dzieci, przynajmniej aby zadość uczynić naturalnej miłości matki ku dzieciom. Lecz gdzieżtam! Zarówno od p. Jakubowskiej jak od innych pań słyszałem, a w części naocznie mogłem się przekonać, że muzułmańskie niewiasty zupełnie nie dbają o swe dzieci. Mnóstwo dziatwy nawet majętniejszych rodzin, wałęsa się całemi dniami po ulicy, walając w błocie, moknąc na deszczu, lub prażąc niedbale na pół okryte członki w promieniach słońca. Głód tylko zapędza je do domu, aby po jego uśmierzeniu znowu iść na ulicę. błąkać się i swawolić bez żadnej nad sobą opieki. Więcej nieco uwagi poświęcają matki córkom, gdy z lat dziecięcych wychodzą i poczynają nosić zasłonę na twarzy. Ogranicza się jednak ona tylko do form zewnętrznych, bo o stronie moralnej, duchowej, lepiej nam przemilczeć.



Ubranie muzułmanki w mieszkaniu.

Popołudniu p. starosta urządził wycieczkę do *Jezero* i mnie na nią zaprosił. W dwu pocztowych dyliżansach zebrało się dość liczne towarzystwo kosmopo-

lityczne. Sześć osób było polskiej narodowości, po jednej z Węgier, Morawii, Czech, Szląska, Niemiec i Anglii. Gościńcem bardzo dobrym przejechaliśmy przez całe miasto, kończące się »niedźwiedzią wieżą«, o której przeznaczeniu archeologowie napróżno dotychczas łamią sobie głowę. Prawdopodobnie należała do dalszego ciągu fortyfikacyi potężnej twierdzy, dziś jest tylko pięknym zabytkiem przeszłości i jedną więcej ozdobą i tak już pięknej okolicy. Droga prowadzi nad brzegiem rzeki Pliwy, a raczej kilku jezior połączonych ze sobą. Szmaragdowe ich wody opierają się o prześliczne lesiste wzgórza, wśród których tu i owdzie bieleją dworki begów tureckich. Na jeziorach rozrzucone kępy i wysepki pełne zieleni i kwiatów, stają się siedliskiem błotnego ptactwa czychającego na żer wodny nader bogaty. Sławne znajdują się tu raki, żółwie wodne, lecz przedewszystkiem wśród innych ryb pstrągi znakomite. Po drugiej stronie gościńca wznoszą się skały, piętrzące się bryłami kamieni po nad samą drogą z obydwu stron. Dla malarza niewyczerpany materyał do pięknych pejzaży.

W ciągu niespełna godziny stajemy u celu naszej wycieczki, we wiosce czysto tureckiej. Przypomniała mi nasze polskie wioski, zagrody tureckie — mieszkania naszych wieśniaków. Tylko kilka drewnianych dżiamji z takiemiż minaretami i dworki begów, którzy po okupacyi wynieśli się z miasta, aby spokojnie dawny wieść żywot na wiejskiem ustroniu, wycisnęło piętno w tej miejscowości kultu Mahometa. Chociaż dla muzułmanina był dzień roboczy, gromady mężczyzn siedziały gnuśnie przed domami, lub wśród cienia drzew, zabawiając się paleniem tytoniu i piciem czarnej kawy. Na znak dany z minaretu, wszyscy powstali do modlitwy,

kilkudziesięciu stanęło potrójnym rzędem w ogrodzie przylegającym do gościnnego domu turystów. Jak na komendę, to podniosą w górę swe ręce, to ku ziemi przysiądą, to biją ku ziemi czołem pokłony. Jeden z nich starszy wiekiem, o poważnem obliczu w białym turbanie, wychodzi przed towarzyszy i twarzą do nich zwrócony intonuje jakąś pieśń, na którą inni odpowiadają. Po chwili skończyła się modlitwa, wszyscy spieszą do wody, aby dopełnić rytualne omywania różnych części ciała.

Z kilku mężczyznami wyszliśmy za wioskę. Po drodze pod dziurawym dachem siedział po turecku naczelnik wioski z orderami: Franciszka Józefa, żelaznej korony i jakimś jeszcze krzyżem. Nasz towarzysz Węgier, porucznik dragonów, bardzo się gorszył, że rząd tak hojnie rozdziela wysokie odznaki byle jakiemu Turkowi. W ciągu dalszej podróży po Bośni i Hercegowinie często dostrzegłem, że bardzo z pozoru pospolite osobistości miały swe piersi ozdobione orderami. Widocznie łatwiej niż gdzieindziej w kraju okupacyjnym zdobyć zasługi i laury. Tymczasem nasze towarzystwo, nie biorące udziału w spacerze, jedno puściło się łódkami na wody jezior, drugie mniej idealne zabrało się do spożywania świeżo złowionych pstrągów, które miejscowi Turcy na patykach upiekli. Urządzono sobie w tem miejscu bardzo wygodną kuchenkę: słup czworograniasty 1 m. wysokości kończył się jakby latarką, z której szyby wyjęto. W niej rozniecono ogień, na długi patyk nawleczono pstrągi i upieczono jak na rożnie. Ten sposób pieczenia na patyku czy to ryb, czy baranów, lub drobiu wśród wycieczek lub uroczystości, należy do ulubionych narodowych zabaw, coś podobnego jak u nas podczas jesieni pieczenie kartofli w polu.

wdzony z wyrokiem skreślonym na papierze, powraca do swego wójta i daje wezwanie dla winowajcy. Od wyroku wydanego w starostwie, każdy może apelować do okręgu, a nawet do najwyższego sądu w Sarajewie. Ludowi nie robią w tym względzie trudności, może się wygadać gdzie chce, przed jakąkolwiek władzą, dla jego uspokojenia niejednokrotnie następuje rewizya sprawy lub procesu, aby każdy mógł się przekonać, że rząd szuka sprawiedliwości. Ponieważ sprawy małżeństw tureckich są bardzo skomplikowane, i zupełnie na innych podstawach oparte jak u chrześcian, przeto muzułmanie mają w tym względzie osobnych urzędników tureckich, zwanych *kadi*.

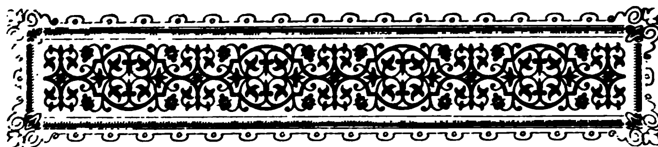
Własność ziemska bardzo jest skomplikowaną i zawiłą, lecz nie widzę potrzeby długo o niej na tem miejscu rozprawiać. To tylko powiem, że cały kraj, ziemia, podług dawnej zasady jest własnością państwa. Nawet begowie nie są zupełnymi panami swej ziemi. To też gdy syn dziedziczy po ojcu, musi z tego tytułu coś płacić rządowi; w miarę dalszego pokrewieństwa taksa jest większą, a gdy do pewnego stopnia niema krewnych, państwo dziedziczy, a raczej zabiera jako swą własność. Ztąd rząd ma dużo gruntów do dyspozycyi.

Ksiąg gruntowych nie było tu nigdy, dopiero teraz bywają zwolna wprowadzane. Granice danej posiadłości w następujący sposób określano: na północy grunt Jana, od południa Pawła, od wschodu rzeka, od zachodu las. Otóż ten las może być karczowanym, rzeka może z czasem zmieniać kierunek biegu, a więc i grunt znacznie się powiększy. Z drugiej strony może powstać zatarg: gdzie kończą się grunta właściciela, a rozpoczynają jego sąsiadów Jana lub Pawła. Wskutek tego wiele powstaje procesów, prawie niemożliwych

do rozwiązania. Jest więc w Bośni bogate pole do pracy adwokackiej, rokujące nie mniejsze żniwo zarobku, gdyby kto chciał ludność tutejszą wyzyskiwać. Na szczęście, o takich adwokatach tutaj jeszcze nie słychać. Może przyczynia się do tego większa władza starostów, obowiązanych czuwać nietylko nad władzą polityczną, lecz także, jak to wyżej powiedzieliśmy, nad wszystkimi urzędnikami. W danym wypadku starosta ma prawo suspendować wszystkich urzędników, a w praktyce zastosowuje się jako karę nietylko upomnienie, ale także natychmiastowe przeniesienie urzędnika, a nawet degradacya. Wobec surowej dyscypliny, upewniał pan Jakubowski, wielka jest dokładność, służbistość i energia w urzędowaniu.

Miałem ochotę dłużej zabawić w tej stolicy królewskiej, gdzie stosunkowo jeszcze najwięcej pamiątek zachowało się z epoki przed-tureckiej. Lecz należało rozdzielić czas w pewnej proporcyi i na inne miejscowości, które koniecznie należało zwiedzić, aby mieć niejaki obraz całości tego dawnego słowiańskiego królestwa. Acz z żalem, opuszczałem Jajce udając się w dalszą drogę do Trawnika, nie przewidując podówczas, że w 3 lata później znowu będę miał sposobność odświeżyć miłe wspomnienia w starym bośniackim grodzie.





ROZDZIAŁ V.

Trawnik, dawna stolica wezyrów.

Okolica górzysta — zębate szyny. Głos dzwonu. Przeszłość polityczna Trawnika. Czemu stolicą wezyrów? Konwikt i gimnazyum OO. Jezuitów. Nowe kościoły. Starosta Chrzanowski i kadi. Sulejmanowa dżiamija. Groby wezyrów. Zamek. Czary muzułmańskie. Medreza. Co muzułmanin sądzi o naukach?

Kilkumilową przestrzeń między dawną stolicą królów bośniackich a rezydencyą wezyrów tureckich, t. j. między Jajcami a Trawnikiem, dziś wygodnie przebywa się koleją żelazną wąskotorową. Jak wszędzie tak i na tej drodze nie brak pięknych widoków, gdyż jedziemy wąwozem wyniosłych gór pokrytych bogatą roślinnością, tuż nad brzegiem Vrbašu, wijącego się wśród przepaści. Raz po raz strumienie tryskają wprost ze skały, obok której jedziemy, i z całą siłą rzucają się pod mostki, aby po drugiej stronie drogi wylecieć pięknym wodospadem i zasilić rwiste wody Vrbašu. Czasem nasz pociąg wpada jakby w zamknięty kocioł wysokich gór.



Konwiktorzy trawnickiego kolegium na zabawie zwanej *teferić*.

Lecz i tutaj daje sobie radę, bo tunelami przebito skały kolosalne. Jeden z nich 1362 metrów długości wyprowadza nas na wysoką górę, z której zjazd, a względnie wyjazd odbywa się po zębatych szynach. Kto ma silne nerwy lub przyzwyczajony jest do podobnej jazdy, może zarówno zachwycać się pięknością okolicy, jak podziwiać artyzm w budowie drogi, gdyż jeśli gdzie, to tutaj natura ze sztuką w harmonii podały sobie ręce. Cała przestrzeń 64 kilometrowa, to panorama najpyszniejszych widoków, zawsze nowych, zawsze świeżych, gdyż prócz drogi żelaznej, dzieła rąk ludzkich — wszystko inne pozostało w okazałej szacie natury jak wyszła z rąk Bożych.

Wjeżdżamy na rozległą równinę dokoła otoczoną górami, zdala bieleją minarety, mnożą się domostwa, coraz więcej spotykamy ludzi, wreszcie stajemy w Trawniku. Po raz pierwszy na ziemi bośniackiej usłyszałem dzwony z wieży kościoła wzywające ludność katolicką do odmówienia »Anioł Pański.« Za czasów tureckich dzwonić nie było wolno chrześcianom, nawet na nabożeństwa. Tem milszym był dla mnie dźwięk dzwonów, bo się rozlegał w tureckiem mieście i to stolicy dawnych Paszów Bośni i Hercegowiny. Większym od prowincyi, jaką zarządzali, był ich tytuł »Wali«, a jeszcze częściej »Wezyra.« Należy bowiem wiedzieć, że Paszowie rezydujący w Trawniku zwali się urzędowo w Konstantynopolu nie Wezyrami Bośni, lecz *Wezyrami* albo *Wali Węgier.* Turcy dobrze pamiętali, że kiedyś prócz Bośni i Hercegowiny posiadali w swym ręku prawie całe Węgry. Południowe prowincye węgierskie najpierw uległy przemocy tureckiej i były ostatniemi, jakie po dłuższym czasie napowrót zostały odebrane Osmanom i zwrócone węgierskiemu królestwu.

Jednakowoż Turcy nigdy nie zrzekli się nadziei odzyskania kiedyś zdobytych prowincyj. Ztąd wezyrowie, mieszkający w Trawniku, po wszystkie czasy zachowali tytuł »wezyrów Węgier.« W tej też myśli obrali sobie Trawnik jako rezydencyę. Wprawdzie z początku główny turecki zarząd zdobytego kraju znajdował się w Sarajewie, a nawet właściwie założyli go Turcy u stóp dawnego zamku Wrhbosna, jednakowoż po zdobyciu banatu Jajce i dalszych prowincyj z obydwu stron Sawy, wezyrowie posuwali swą rezydencyę w głąb zdobytych krain i nawet czas jakiś osiedli w Banialuce.

Po odsieczy wiedeńskiej, gdy ziemia z pod nóg poczęła się im w Europie usuwać, w Banialuce Turkom nie było bezpiecznie, Sarajewo znowu było za daleko, otóż w Trawniku stworzyli sobie centrum działalności na zachodnie prowincye, chcąc tem samem okazać, że nie myślą się cofać, lecz wyczekują dalszej sposobności zaborów na północnym Zachodzie. W ten sposób Trawnik stał się punktem środkowym całej akcyi tureckiej na zachodnich kresach. Pomimo tego Sarajewo pozostało zawsze stolicą Bośni dla znacznie większej ludności, ożywionego handlu i możnych rodów bośniackich, które nie poślednią rolę polityczną umiały odgrywać pomimo tureckiego poddaństwa.

W XVIII wieku niejednokrotnie starano się rezydencyę wezyrów przenieść z Trawnika do Sarajewa, lecz oligarchia bośniacka na to nie dozwoliła. Tworzyli ją wówczas potężni begowie, którzy aczkolwiek przyjęli islam, zachowali jednak stare tradycye narodowe, budzące się coraz bardziej do życia, w miarę jak potęga turecka słabła w Europie. Nie mogli oni ścierpieć, aby wezyr z płatną czeredą urzędników i wojskowych siedział im na karku w ich najpiękniejszem mie-

ście Sarajewie. Dopiero w r. 1850, gdy Omer-Pasza silną ręką stłumił ostatnie powstanie begów bośniackich, udało się stambulskiemu rządowi osadzić wezyra w stolicy Bośni. Dotychczas musiał on z Trawnika wchodzić w układy z begami, którzy od czasów bośniackiego królestwa umieli zachować tradycyjny sejm i nań zbierali się na wezwanie wezyra, aby z kadimi, muftimi i innymi »uczonymi« obradować nad obroną ojczyzny [1]).

Taka jest przeszłość polityczna Trawnika. Dziś zmieniły się stosunki; gniazdo muzułmanów stało się siedzibą pierwszego bośniackiego gimnazyum i to pod kierunkiem OO. Jezuitów. Rząd sam zapronował objęcie nad nim kierunku naukowego i duchowego zaraz po okupacyi. Toż już w lutym r. 1882 OO. Brandis i Messeg T. J. przybyli do Trawnika, otworzyli szkołę przygotowawczą, a w jesieni tegoż roku pierwszą gimnazyalną klasę. Funduszu na zabudowania dostarczyli: rząd, lyońskie stowarzyszenie dla rozkrzewiania wiary świętej i prywatne osoby; w rok później stanął wielkich rozmiarów dwupiętrowy czworobok jako gimnazyum i internat dla bośniackiej młodzieży. W latach późniejszych, wskutek wzrostu liczby młodzieży, rozszerzono zabudowania, wreszcie r. 1890 pięknym kościołem uwieńczono wspaniały zakład.

Gdy przybyłem wprost z kolei do tego konwiktu, była pora obiadowa, więc wprowadzono mnie do obszernego refektarza, gdzie przy stole w półkole ustawionym zasiadło przeszło 30 OO. Jezuitów. Zapoznanie było łatwem, zwłaszcza, że Rektor O. Pančić był przez kilka

---

[1]) Wspomina o tem turecko-bośniacki historyk Omer-effendi w dziele *The War in Bosnia*, z tureckiego oryginału przetłumaczonem i wydanem przez »Oriental Translation Fund« w Londynie r. 1830.



Napis staro-słowiańskiego nagrobku:

SIE LEŻY MIH | OJO GRAHOWCZ | ICZ PRAWE W | *ż*RE RIMSKE *k*OI POCZTENO | *ho*DZIASZE I | BOGU SE MO | *lia*SZE I DOBRO *kn*IGU ZNA | *sze da*J MU BO | *że du*SZY D | *a* BUDE *spa*SEN.

Grób katolicki w Breikoviči koło Trawnika z napisem staro-bośniackim.

(Zob. str. 132).

miesięcy w Starej-Wsi w Galicyi, a O. Brandis w Dobromilu przez czas jakiś przełożeństwo nad Bazylianami sprawował i obydwaj wielu mieli znajomych Polaków. Korzystając z uprzejmości Ojców, zaraz rozpocząłem zwiedzenie zakładu. Prócz nader bogatego gabinetu przyrodniczego, zwłaszcza działu botanicznego, zresztą rozkład zupełnie jest podobny innym tego rodzaju zakładom europejskim. W Bośni drugiego równego mu nie ma pod każdym względem. Obecnie kształci się tutaj około 230 chłopców bośniackich i synów urzędników w znacznej części utrzymywanych przez rząd. Również i Ojcowie profesorowie pobierają rządową pensyę. W ośmiu klasach gimnazyalnych wykłady odbywają się wedle obowiązujących przepisów w innych podobnych naukowych zakładach, a egzamin maturyczny tutaj złożony, daje wstęp do uniwersytetu.

Kościół zakładowy, romańskiego stylu, wpuszczony w czworobok gimnazyum i kolegium, wewnątrz jest ozdobiony bardzo pięknemi freskami i bogatemi złoceniami zarówno na ścianach jak na sklepieniu. Między obrazami Świętych z zakonu Towarzystwa Jezusowego, dostrzegam również wizerunek św. Stanisława Kostki i jego piękną statuę w jednym z ołtarzy. Prócz jezuickiego kościoła mogącego pomieścić z górą 2000 wiernych, znajduje się w Trawniku także drugi również bardzo piękny kościołek parafialny, pod wezwaniem Św. Jana Chrzciciela. Proboszcz miejscowy należy do kleru świeckiego, co dziś jest jeszcze rzadkością w Bośni, gdyż przed okupacyą nie było w niej ani jednego świeckiego kapłana, któryby zajmował probostwo. Tak jak obydwa kościoły wybudowano dopiero w ostatnich kilku latach, również i szkoła Sióstr Miłosierdzia, pięcioklasowa, i ich kapliczka bardzo gustownie malowana, do

najnowszych należy zdobyczy katolickiej działalności w tem mieście. Jeżeli zważymy, że Trawnik jeszcze dotychczas słynie z najzaciętszych muzułmańskich fanatyków, i że na 6000 ludności, cyfra katolików dziś dochodzi do półtora tysiąca, podczas gdy przed okupacyą nie było ich wcale, albo bardzo nie wielu, wyznać należy, że w rezydencyi wezyrów Krzyż świetne odniósł zwycięstwo. Lecz katolicy tutejsi wcale nie są nawróconymi Turkami. O tem dziś nawet nie może być mowy, gdyż nietylko rząd sprzeciwia się temu, ale nawet gdyby zaszedł tutaj fakt podobny, turecka ludność podniosłaby bunt.

Przed pięciu czy sześciu laty, gdy na publicznym popisie uczniów, któryś z nich deklamował wiersz historyczny i niekorzystnie wyraził się o muzułmanach, w mgnieniu oka wieść o tem rozeszła się po mieście i poważna zachodziła obawa rzezi chrześcian.

Ludność katolicką tutejszą tworzy przedewszystkiem konwikt i gimnazyum OO. Jezuitów, rzemieślnicy i kupcy przybysze, a również liczny personal urzędniczy i wojskowy, gdyż Trawnik jest miastem okręgowem, mającem prócz powiatowego, także okręgowego starostę. Powiatowym starostą był tu w r. 1895 p. Chrzanowski. Nazajutrz po przybyciu do Trawnika, złożyłem mu wizytę, doznając z jego strony tej samej uprzejmości i uczynności, z jaką już nieraz spotkałem się u polskich urzędników w Bośni. Dzięki p. Chrzanowskiemu miałem sposobność oglądać »świętość« turecką: *Sulejmanową dżiamiję*. Wprawdzie dla fanatyzmu muzułmanów tutejszych, sam nie mógł mi udzielić pozwolenia na jej zwiedzenie, lecz dopomógł mi do tego list rekomendacyjny z ministeryum, o którym wyżej wspominałem. »Papier« z Wiednia to wielkiej wagi doku-

ment, przed którym każdy muzułmanin czoło swe skłania jak ongi przed firmanem sułtańskim. Otóż p. Chrzanowski przez woźnego wezwał do siebie kadiego, urzędującego niedaleko konaku w osobnym budynku. Niebawem ukazał się przed nami rosły mężczyzna w białozłocistym turbanie, długim niebieskim kaftanie podbitym futerkiem, pas jedwabny czerwony opasywał mu biodra, resztę ubrania z pstrego jedwabiu, żółte buty na nogach. Starosta powtórzył mu treść ministeryalnego pisma i polecił, aby mnie zaprowadził do Sulejmanowej dżiamiji. Skłonił się Turek i wyszliśmy razem na miasto.

W kilka minut stanęliśmy przed mieszkaniem hodżi czy muftiego — obydwaj siedzieli z turecka na ganku obok owej sławnej muzułmańskiej bożnicy. Kadi powtórzył im polecenie władzy i prosił, aby mi otworzono bramy do meczetu. Duchowni muzułmańscy surowo spojrzeli, kilka słów ze sobą zamienili, poczem hodżia oddalił się, lecz niebawem przyszedł z ręcznikiem i miednicą pełną wody. Następnie schylił się do moich nóg, otarł zwilżonym ręcznikiem moje obuwie i poprosił, abym wszedł w progi ich domu modlitwy. Nierozumiałem, co miało znaczyć owe umywanie bucików. Zapytany o to mój towarzysz, kładąc rękę na piersiach powiedział, że ta dżiamija jest taką świętością, iż żaden pył ziemi nie powinien jej brudzić; wyznawcy proroka zdejmują swe obuwie, udając się do niej boso lub w sandałach, otóż nie mając odwagi proponować mi tej ceremonii, przynajmniej z pyłu otarli mi buty.

Wchodzimy do wnętrza. Oczom przedstawia się pusty, bez ławek i krzeseł kwadrat, przykryty rogóżką i staremi wytartemi dywanami. W miejscu gdzie u nas



Mirhab. Mimbar.

Wnętrze meczetu zwanego »Begowa dźiamija« w Sarajewie.

w kościołach znajduje się wielki ołtarz, tutaj, od strony południowo-wschodniej a więc od Mekki, jest mała nysza: *mirhab* zwana, gdzie przewodnik modlitwy, hodżia lub mufti przyklęka, lub staje twarzą zwrócony do obecnych w meczecie. W kilku lichtarzach ustawiono na ziemi bardzo grube woskowe świece, zapalane w dnie świąteczne podczas wspólnej modlitwy. Na podwyższeniu, zwanem *mimbar,* podobnemu do naszej kazalnicy, w piątek, dzień świąteczny u muzułmanów, wchodzi po schodach mufti i odmawia modlitwy za sułtana; nikomu zresztą tam wejść nie wolno, a nawet sam mufti, gdy czyta lub tłumaczy ustęp z koranu, nie czyni tego z *mimbaru,* lecz ze schodów prowadzących do niego. Od strony wejścia znajduje się jeszcze inne obszerniejsze podwyższenie zakratowane — rodzaj naszego chóru, gdzie również zbierają się muzułmanie na modlitwy. Oto wszystko, co w meczecie znalazłem. Ściany puste bez malowideł, tylko gdzieniegdzie ustęp z koranu wypisany na ścianie. W tutejszej dżiamji przechowują jeszcze wielką »świętość« turecką: trzy włosy z brody Mahometa. Z wielkiem uszanowaniem prowadzą mnie duchowni muzułmańscy przed wąską szafeczkę drewnianą, pomalowaną brudno zieloną farbą i tłumaczą jaki skarb ukrywa. Niestety, tej osobliwości nie mogłem zobaczyć. Muzułmanie kładąc rękę na piersiach, poczęli mnie prosić, abym nie nalegał na oglądanie świętości, ukrywanej przed okiem nawet wyznawców »proroka.« Tylko raz do roku mufti szafę otwiera i może napawać wzrok swój widokiem tych włosów, o których złe języki mówią, iż wyrosły nie na brodzie Mahometa, lecz na końskim ogonie. Zato pomimo odradzań muzułmanów, stanowczo oświadczyłem, że chcę wejść na szczyt minaretu.

Schodki kamienne wijące się wśród wąziutkiej wieżyczki już się wytarły, kilka z nich było zupełnie wyłamanych. Wskutek ciągłego obracania się i zaduchu w tym niby ciemnym fabrycznym kominie, dostałem zawrotu głowy, nogi drżały jak liść osiki, i musiałem wytężyć moje siły, zanim stanąłem u samego szczytu na galeryjce otaczającej minaret. Z tego miejsca pięć razy dziennie hodżia lub mufti woła głosem melanholijnym, beznadziejnym: »*La ilahe ill'allah ve Muhammed resul u'llach!*«[1]) — i ja tu zmówiłem *Zdrowaś Maryo* na intencyę nawrócenia Turków, a była to może pierwsza chrześciańska modlitwa na tem miejscu i na podobną intencyę.

Widok z minaretu bardzo piękny. Całe miasto miałem jakby na dłoni, oko obejmowało rozległą równinę. Charakter miasta bezładny, jak wszystkie założone przez Turków. Pomimo tego miłe robi wrażenie, pełno w nim ogrodów i sadów, przez które rzeka Lašwa przepływa, tylko gdzieniegdzie ulice zupełnie zabudowane, chociaż i na nich domy są otoczone drzewami i kląbami kwiatów. Prawdopodobnie Trawnik powstał dopiero z początkiem XVI wieku, gdy wojska tureckie w drodze do Jajec rozbijały w tem miejscu obozowe namioty. Przynajmniej historyczne pomniki bośniackie o Trawniku nie wspominają jako o miejscu znaczącem. Pytałem hodżi, jaką pensyę pobiera za pięciorazowe codzienne wspinanie się na szczyt smukłej wieżycy. Odpowiedział, że 40 złr. rocznie, to jest, że otrzymuje 2 centy za każdorazowe wyjście i wołanie z minaretu w cztery strony świata.

---

[1]) Niema innego Boga prócz Boga a Mahomet jest jego prorok.

Było już południe, gdy wróciłem do jezuickiego kolegium. Po obiedzie, Ojciec Hoffer, prefekt nauk w konwikcie, zawołany archeolog, znany z prac swoich, zwłaszcza o rzymskich zabytkach w Bośni, jakie ogłasza w bośniackich *Wissenschaftliche Mittheilungen* i innych pismach fachowych, ofiarował się łaskawie na przewodnika w Trawniku. Skorzystałem z jego dobroci i zaraz popołudniu urządziliśmy archeologiczną przechadzkę. Przedewszystkiem zwiedzaliśmy wspaniałe grobowce wezyrów. Pod kopułą wspierającą się na sześciu lub ośmiu kolumnach stoi sarkofag kamienny, za nim tablica również kamienna na zielono malowana o złotych tureckich napisach. Podobne sarkofagi są rozrzucone po całem mieście, przy ulicach, placach, wśród ogrodów, tak jak i groby innych muzułmanów mężczyzn lub niewiast, begów, janczarów lub zwykłych śmiertelników. Jedne kolumny są zakończone turbanem, inne rodzajem fezu, ścięte z ukosa. Grunta raz przeznaczone na grób lub cmentarz, nigdy nie służą Turkom do innego użytku, i nigdy dwa razy na tem samem miejscu nie chowają. Wskutek tego nigdzie nie widzi się tyle grobów i cmentarzy, co na ziemi tureckiej; z czasem mogłaby cała okolica zmienić się w jeden cmentarz. Łatwo pojąć, ile powstaje trudności jeszcze dziś, po okupacyi, przy budowie gościńców i dróg żelaznych, gdy mają przechodzić przez okopiska tureckie.

Z pomników bośniackich nic się nie zachowało w Trawniku, gdyż początek swój zawdzięcza muzułmanom. Jeden jedyny zamek opasany wysokim murem z bastionami, ma być dziełem króla Twrtka II, lecz i to nie zupełnie pewną jest rzeczą. Wprawdzie stare dokumenta wspominają o bośniackim zamku w Tra-



Kolegium i konwikt OO. Jezuitów w Trawniku; obok kościół parafialny. (Zob. str. 119).

wniku [1]), lecz nie wiadomo, czy ten, jaki dziś dominuje nad miastem, należy do epoki słowiańskich królów. Bramy zamku-fortecy stały pół-otwarte, więc weszliśmy śmiało do wnętrza. Wtem krzyk się zrobił ogromny, zaraz cofnęliśmy się, O. Hoffer zrozumiał co się stało. Na zamku, dziś opuszczonym, mieszka kilka muzułmańskich rodzin. Otóż niewiasty na widok obcego mężczyzny poczęły wrzeszczeć. Zaczekaliśmy, aby im dać czas na schronienie w haremie. Niebawem zbliżył się muzułmański mieszkaniec ruin zamkowych i oprowadził po wszystkich zaułkach, opowiadając zwyczajem ludowym o upiorach, strachach, skarbach, które mają się ukrywać wśród rozpadłych murów. Żadnych nie znalazłem tu zabytków sztuki, żadnych pomników lub napisów na ścianach. Meczet wznoszący się wśród murów, a za niemi, poniżej skały, groby wezyra i żyjąca z nim w zgodzie piękna kawiarnia w stylu maurytańskim, nadają wszystkiemu razem piętno czysto muzułmańskie.

Przechodzimy ulicą wyłącznie zamieszkałą przez Turków. Spotykamy starego muzułmanina, który się wita z O. Hofferem i z żalem wspomina o chorobie swojego brata, muftiego. O. Hoffer daje mu rady lekarskie, Turek uprzejmie przyjmuje, prosi aby mu raz jeszcze i drugi powtórzyć, wkońcu dodaje, że jeszcze innego chce użyć środka i w tym celu idzie do sklepu na kupno ołowiu, aby *stravu levati* »chorobę odczynić.«

Gusła, zabobony, czary, są tak powszechne wśród serbskiej a zwłaszcza muzułmańskiej ludności, iż z niemi wcale się nie kryją, zwłaszcza, że hodżia lub mufti

[1]) Cf. *Acta Bosnae* l. c. str. 118—119. Układ króla Bośni Stefana Twrdka z dożą weneckim Tomaszem Mozenigo, spisany w Sutisce 6 lutego 1423 r.

sam udziela im w tym względzie pomocy lub rady. Osobnych guseł używa złodziej, aby łatwiej kradzież popełnić, inaczej ten, co go chce odszukać; czarów używają małżonkowie, gdy miłość wzajemna zacznie stygnąć, innych w tym względzie używa mąż a innych żona, innych dziewczę szukające szczęścia w związkach małżeńskich. Zawieszają hodżiowie zaczarowane blaszki



»Kawanña« (kawiarnia) na ulicy.

krowom, aby obfitsze mleko dawały, inne na szyję, aby uchronić przed urokiem nieprzyjaciela. Są też i czary, aby drugiemu zaszkodzić czy to na zdrowiu sprowadzając choroby na ludzi i zwierzęta, czy to na zbożu, aby wyschło lub kłosu nie dało, a drzewa kwiatu i obfitego owocu — i odwrotne czary, aby nieprzyjaciel nie mógł zaszkodzić; nieprzyjaciel znany powszechnie pod nazwą *mora,* jeśli jest niewiastą, *stuhać* jeśli mężczyzną.

Wiara w czarownice i czarowników *Činilica* i *Čaratica, wježa* i *višća* jest powszechną u muzułmanów, na każdym kroku je widzą, ich się boją, ztąd tyle guseł i zabobonów, ztąd wyraz melancholijny, trwożliwy na twarzach muzułmańskich, ludzi czujących, że ich religia nie zabezpiecza od jakiejś niewidzialnej szkodliwej potęgi, i żadnej rady ni pociechy w nieszczęściu lub przygodach nie daje [1]).

Sądzę, że objawy nadzwyczajne obłędu i opętania jakie widzieliśmy w Podmilaczu (zob. str. 70 i nast.), głównie z zabobonów, czarów i t. p. rzeczy pochodzą, a przynajmniej były główną przyczyną wmieszania się złych duchów i ich działania na ludzi.

W ciągu dalszej naszej wędrówki po mieście, zaglądamy do kilku meczetów zupełnie podobnych do siebie pustkami pod względem wewnętrznej dekoracyi. Jeden z nich dostępny tylko dla derwiszów — niby ascetów muzułmańskich — zakonników, nieco piękniejszy, do *mimbaru* prowadzą marmurowe schody, obszerniejsza galerya połączona z gankiem dla wykładacza zasad koranu. Obok tej dżiamiji znajduje się grób ostatniego z wezyrów bośniackich, który po okupacyi struł się, aby »giaurskiemu sułtanowi« — t. j. chrześciańskiemu monarsze nie być podległym.

Z nowszych budowli piękną jest *medreza,* czyli wyższa szkoła muzułmańska. Tem różni się od zwykłej szkoły ludowej, że w niej *softowie* czyli studenci, po ukończeniu szkół elementarnych uczą się arabskiego

---

[1]) Czytelnik znajdzie obszerne w tym względzie wiadomości w pracy p. t.: »*Volksglaube und Volksthümlicher Cultus in Bosnien uud Herzegowina* von Emilian L i l e k prof. im Obergymn. in Sarajewo«, drukowanej w *Wissenschaftliche Mittheilungen* l. c. IV Bd. p. 401—492. Wien, 1896.

języka, aby mogli czytać koran i jako hodżiowie przewodniczyć w modlitwach i uczyć dzieci muzułmańskie w najniższych szkołach swego wyznania. Ponieważ przez dawne miejsce medrezy dziś przechodzi kolej, więc rząd nową Turkom wystawił. Jest to czworoboczny piętrowy budynek w stylu maurytańskim »krasno« malowany; przeważa kolor pomarańczowy i jasno - niebieski, drzwi i ramy okien zielone. Obok znajduje się dżiamija o dwu minaretach. Wewnątrz dokoła budynku obiega krużganek również piętrowy, pośrodku dziedzińca tryska fontanna wśród kamiennego basenu. Z krużganka wchodzi się do pokoików przeznaczonych dla softów, w innych większych salach odbywają się wykłady. Oprowadzał nas mufti, przełożony całego zakładu. Studentów 18—25 letnich zastaliśmy częścią myjących się rytualnie w Lašwie, która tuż przed medrezą przepływa, częścią w cieniu drzew z koranem w ręku lub arabską gramatyką. Ich miny wydały mi się bardzo zastraszone i hardogłupie. U Turka do dobrego tonu należy dumnie spoglądać na chrześcianina i rzucać nań okiem pogardy.


Serbka w Bośni.

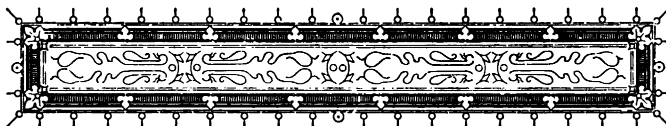
Nauka wcale mu nie imponuje; wszystko co nie jest koranem i nie należy do najkonieczniejszych wiadomości etycznych o obowiązkach człowieka, w jego oczach jest głupstwem. Gdy raz archeolog angielski listownie zapytywał uczonego kadiego o jakąś informacyę, otrzymał następującą odpowiedź:

»Znakomity przyjacielu! Radości żyjących! To, o co mnie zapytujesz, jest rzeczą szkodliwą i bezużyteczną. Chociaż całe me życie w tym kraju spędziłem, nigdy mi nie przyszło na myśl liczyć domy i ich mieszkańców. Co się tyczy przeszłości tego miasta, Bóg wie lepiej, w ilu znajdowali się błędach jego mieszkańcy, zanim zajaśniało nad nimi światło islamu. Poznawać takowe byłoby rzeczą niebezpieczną. O, mój baranku! nie szukaj rzeczy, które ciebie nie dotyczą. Patrz na ową gwiazdę, która około innej krąży i na tę, co długi ogon wlecze za sobą i latami tam zdąża i po latach znowu powróci. Pozostaw je synu temu, co je stworzył, on też niemi będzie kierował. Może powiesz: »Idź precz, bom ja uczeńszy od ciebie i widziałem rzeczy, jakich ty nie widziałeś.« Szczęśliwyś, jeśli mniemasz, że przez to stałeś się lepszym. Co do mnie, gardzę tem, co ty widziałeś. Czy twoja umiejętność dała ci nowy żołądek, albo może twe oko wszystko badające, ogląda niebo? O, mój baranku! Chceszli być szczęśliwym, to powiedz: »niema innego Boga jak Bóg«, porzuć co jest złem, abyś się nie bał ani ludzi, ani śmierci. Bo i na ciebie przyjdzie ostatnia godzina.«

List powyższy może nam rozwiązać pytanie: czemu, gdzie muzułmanin postawił swą stopę, zaraz następował zastój w naukach i sztukach, a nawet co zastał, niszczył niemiłosiernie, mniejsza o to, czy były biblioteki bogate, czy monumentalne budowle.



Zamek Twrtka II w Trawniku na drodze wiodącej do Dolača; poniżej turecka kawiarnia, obok grób bega.
(Zob. str. 124).



ROZDZIAŁ VI.

W okolicy Trawnika.

Wycieczka archeologiczna do Turbe. Ruiny bazyliki chrześciańskiej. Grób derwisza Izmaila Dedo. W tureckim hanie. Dąb »sułtański« w Rankowići. Wśród wiejskiej katolickiej rodziny. Tatuowane znamię Krzyża św. chroni od apostazyi. Porady »lekarskie.« Wizyta u proboszcza.

Gdy po raz drugi znajdowałem się w Trawniku, O. Hoffer, o którym wyżej mówiłem, zaproponował mi wycieczkę do ruin dawnej bazyliki katolickiej, sięgającej pierwszych czasów chrześciaństwa. Wyjechaliśmy koleją, doliną Lašwy, poniżej pasma gór Vlašić, dochodzących do 6000 stóp. Po kilkunastu minutach stajemy w Turbe (Turbet), celu naszej wycieczki. Ze stacyi pieszo idziemy ku ruinom bazyliki. Są to w całem tego słowa znaczeniu ruiny w ziemi ukryte, nieco odkopane, lecz nie przedstawiające dla zwykłego śmiertelnika prawie żadnego interesu. Archeolog wysoko je ceni: zbiera drobne ułamki marmurowych tablic, odszukuje

na nich liter, aby powiązawszy takowe żmudną pracą i umiejętną fantazyą, całość odtworzyć, a zarazem podać historykowi nowe źródło do naukowych zdobyczy. To też O. Hoffera, jako archeologa, więcej jak mnie zajmowały kawałki mozajki, świeżo odkopane fundamenta absydy i t. p. rzeczy. Dla mnie najważniejszem było naoczne przekonanie się, że w samym środku Bośni obok dawnego gościńca rzymskiego, istniała bazylika chrześciańska, a więc były tu także już wówczas ogniska wiernych, którzy światło Boskiej nauki z Rzymu otrzymali. Znaleźliśmy parę starosłowiańskich grobowców z napisami świadczącemi, że w sobie zamykają zwłoki katolików; także bryły kamienne, niby groby Bogomiłów, lecz nie tak piękne, jak te, które widziałem w Hercegowinie.

Okolica tutejsza słynna jest jeszcze z innego względu. W dawniejszych czasach, gdy pobliskie kopalnie złota były eksploatowane, mieszkańcy tutejsi zajmowali się oczyszczaniem szlachetnego kruszcu i przetapianiem go w sztaby. Sama zaś wioska Turbe jest po dziśdzień ulubionem miejscem wycieczek muzułmańskich mieszkańców Trawnika, mianowicie łączka przytykająca do sławnej dżiamiji derwisza Ismaila Dedo (Baba), gdzie pod cieniem prastarej topoli (nadwiślańskiej) młodzież wesoło się bawi.

Bez pozwolenia hodżi, stróża tej »świętości« tureckiej, wejść nam nie wolno. Wołamy: »hodżia, przyjdź do nas!« Przyszedł jego synek, dwunastoletni chłopapaczek i pytał czego chcemy. Daliśmy *bakczysz,* aby ojca sprowadził. Parę centów rozjaśniło oblicze tak synka jak ojca, który zaraz się zjawił i bez trudności do dżiamiji wprowadził. Jest to lepianka najnędzniejsza w świecie. Przez maleńkie okna słabe światło dochodzi

do wnętrza. Pośrodku stoi trumna na katafalku, przykryta zielonym całunem, zdobnym w żółte hafty i napisy. Zwłoki »świętego tureckiego« Ismaila Dedo znajdują się nie w trumnie, lecz w ziemi pod katafalkiem, przykryte kamieniem. U stóp wznosi się tablica kamienna z napisem tureckim, u głowy włócznia derwisza $2^1/_4$ metra długości, z chorągiewką biało-popielatą i wysoki z popielatego filcu fez, owity białą materyą. Obok katafalku leżą książki ręką pisane. Jedna z nich większa pergaminowa, inne mniejsze papierowe zawierają koran. Na brudnych ścianach wiszą drewniane tablice z tureckiemi napisami i jeden kolorowany obrazek na pergaminie, oprawny w ramki, przedstawiał czaprak, włócznię i kindżały; lecz co to miało znaczyć, nie mogłem się wywiedzieć nawet od hodżi. Ten opowiadał, że »święty derwisz« czasem cuda działa. Pytałem, jakie? »Czasami huczy pod ziemią, gdy przychodzą do dżiamiji nie-muzułmanie« — brzmiała odpowiedź.

Podobno raz samemu hodżi przez dwa miesiące nie dozwolił wstępu do wnętrza, gniewał się na niego. Również ma huczeć, gdy przychodzą muzułmanie brudni, nie omyci.

Prawdziwości tych »cudów« opowiadanych przez hodżię stwierdzić nie mogłem, gdyż nic nie huczało, czułem tylko zaduch w dżiamiji, stęchliznę obrzydliwą, zupełnie licującą z brudami murów meczetu, z religią i świętością derwisza.

Opodal przy drodze bije źródło ze skały z doskonałą wodą. Gdyśmy tam pragnienie gasili, hodżia następującą opowiadał historyę:

Ismail Deda przybył ze Wschodu, z Horostanu, razem z Muhamedem II, zdobywcą Bośni. Gdy sułtan zatrzymał się około Sutiski lub Trawnika, derwisz go



Turbe czyli grób »świętego tureckiego« w okolicy Trawnika. (Zob. str. 133).

wyprzedzał, aby zbadać teren. Nie dostrzegł, że w okolicy znajdują się trzy obronne zamki pełne chrześciańskiego żołnierza. Właśnie przy tem źródle począł zwyczajem muzułmańskim modlić się i omywać swe członki. Spostrzegli go żołnierze bośniaccy, pytali co tu robi, a gdy żadnej nie dał odpowiedzi, ucięli mu głowę. Wówczas Ismail Deda wziął w ręce swą głowę i szedł z nią na miejsce, gdzie leży pochowany; Turcy wystawili nad grobem dżiamiję — *Turbe* zwaną jak wszystkie podobne, gdzie spoczywają zwłoki »świętych tureckich.«

Tak opowiadał muzułmanin. Że derwisz został zabitym, to jest fakt pewny, lecz żeby niósł głowę po śmierci, to jest legenda zapożyczona z Żywota św. Dyonizego Areopagity.

Do domu wracaliśmy pieszo; po drodze wstąpiliśmy do *kawanny* (kawiarni) tureckiej, aby nieco wypocząć. Stary Turek siedział przy ognisku z imbryczkami mosiężnemi, gotując kawę. Zaraz świeżą sprażył, wrzucił do moździerzyka, skruszył kawałkiem żelaza, wsypał do wrzącej wody i razem z fusami i z cukrem wlał w maleńkie czareczki. Jest to czysto turecki sposób robienia kawy, a smak jej zupełnie odrębny, smaczny, lecz więcej denerwujący. Niebawem zjawili się inni muzułmanie, również i hodżia miejscowy, wszyscy usiedli z turecka przy ognisku na rozpostartych tapczanach; wywiązała się rozmowa bardzo uprzejma, nie czułem, że całe towarzystwo składało się z wrogów imienia chrześciańskiego. Lecz biada nam, gdybyśmy mówili o jedynej prawdziwej wierze. Ledwie opuściliśmy kawannę, zebrały się chmury nad nami, deszcz coraz silniej zaczął padać, następnie grad wielkości la-

skowych orzechów. Zmokliśmy do nitki i tak zakończyli wycieczkę do starej bazyliki i grobu Izmaila Deda.

Równie interesującą była druga wyprawa do wioski Rankovići pod »dąb sułtański« dziś »cesarskim« nazwany, o którym powiadają, że sięga czasów przedchrześciańskich. W towarzystwie młodego Jezuity wyjechałem konno z Trawnika przez Dolać, wioskę czysto katolicką, posiadającą piękny kościołek. Droga prowadziła wśród wyboji, urwisk, strumyków — dziką okolicą. Po dwugodzinnej jeździe, pierwszy popas wypadł przed hanem tureckim. Pomimo, że było samo południe, Turek spał, a gdy nie bez trudności udało się go obudzić, oświadczył, że ogień zgasł, więc kawy zrobić nie może i obroku dla koni niema. Na szczęście, dowiedzieliśmy się o drugim hanie, utrzymywanym przez katolika. W maleńkiej chałupie, zupełnie podobnej do podolskich chat wieśniaczych, zastaliśmy rodzinę spożywającą południowy posiłek. Zauważyłem, że mięsa było pod dostatkiem, i niewiem czy u nas nawet zamożniejszy mieszczanin mało-miasteczkowy znalazłby w dniu powszednim na swoim stole tak dobre i pożywne potrawy. Przeglądałem statystykę,



Turek i Serb przy grobie w okolicy Trawnika.

z której się okazało, że w ogólności lud bośniacki więcej używa mięsa niż niemiecki rolnik. Chów bydła i trzody, wysoko rozwinięty w tych okolicach, ułatwia nabycie mięsa nawet mniej zamożnym wieśniakom.

Gdy na nasze powitanie cała rodzina powstała i dla uszanowania chciała przerwać swój obiad, prosiliśmy, aby dalej kończyli, a tymczasem zwinna gosposia czemprędzej stłukła kawy, sprażyła ukropem i nam ją podała. Urządzenie wewnętrzne domu podobne do wiejskich w naszych stronach. Ten sam szeroki piec i zapiecek, najulubieńsze miejsce dla chorych i dzieci, stół drewniany, ławki; na ścianach wiszą Świętych obrazy i parę guzli rozmaitej wielkości, miejscowego wyrobu. Po skończonym obiedzie, gospodarz domu głośno począł odmawiać pacierze, inni wtórowali. Pierwsze *Ojcze nasz, Zdrowaś* i *Chwała Ojcu...* było na dziękczynienie za dary Boże, drugie tyleż za dusze zmarłych, trzecie za zdrowie ciała i utrzymanie wiary świętej. Modlitwę odmawiano bardzo pobożnie, naturalnie, było rzeczą widoczną, że są do niej przyzwyczajeni i nie krępują się obecnością gości.

Gdy nam gosposia podawała kawę obnażonemi po łokcie rękami, dostrzegłem, że były w piękne desenie tatuowane. Obecni zauważywszy, że mnie to interesuje, obnażali swe ręce i pokazywali podobne desenie bardzo misternie na rękach, ramionach i piersiach wykonane. Po większej części były to krzyże, zdobne w drobniejsze krzyżyki, niekiedy obok krzyża szeroka ornamentacya ząbków i kółek powiązanych ze sobą harmonijnemi liniami; mężczyźni mieli nadto wyrysowane miecze, kindżały i serca.

Proboszcz ze Stolacza, Msgr. Łazarz Lazarewicz w Hercegowinie opowiadał mi, że tatuowanie nie jedną



Tatuowana Bośniaczka. (Zob. str. 138).

katolicką dziewczynę ochroniło od odstępstwa przez związek małżeński z muzułmaninem. Sam znał dziewkę, która zbałamucona przez Turka, oddała mu swą rękę. Niebawem dostrzegł on na jej ramionach i piersiach krzyże i krzyżyki tatuowane na skórze. Jak zwykle Turcy, tak i on zabobonny — chociaż islam dozwalał mu na małżeństwo z chrześcianką, znieść nie mógł, aby małżonka miała krzyże na swem ciele. Otóż rozkazał jej, aby takowe zatarła. Niegodziwa niewiasta przekładała miłość Turka nad wiarę św., więc i znamię Krzyża św. postanowiła ostrem żelazem zniszczyć na swych piersiach. Zaczęła operacyę, lecz takiego bolu doznała, tak się jej przytem ręka trzęsła od strachu, że rozpoczętego dzieła nie mogła dokończyć. Turek również w żaden sposób nie chciał się podjąć smutnej operacyi z obawy, aby go co złego nie spotkało, nadto oświadczył, że raczej woli porzucić małżonkę, niż żyć z nią, dopóki tak niebezpieczne znaki na ciele swem nosi. Skończyło się na tem, że kadi dał rozwód Turkowi, a chrześcianka powróciła szczęśliwie w objęcia stroskanej katolickiej rodziny. Tak krzyż wyryty na piersiach, wybawił zbłąkaną od apostazyi i ocalił jej duszę od wiecznej zguby. Dziś jeszcze żyje ona jako mężatka i matka licznego potomstwa.

W ciągu dalszej podróży parę razy zdarzyło mi się spotkać Bośniaków lub Hercegowińców, którzy na zapytanie czy są katolikami, jako dowód pokazywali tatuowane krzyże na piersiach lub rękach. Rzecz dziwna, że podobne tatuowania dostrzegłem tylko u katolików; a gdy raz zapytałem wieśniaczkę w Hercegowinie czy jest wschodniego wyznania, ona wskazała znak krzyża wyryty na ciele jako na dowód, że jest katoliczką.

W ogólności tatuowanie u niewiast jest obfitsze niż u mężczyzn. Odbywa się zaś w następujący sposób. W uroczystość Św. Józefa, Zwiastowania Matki Boskiej, Niedzielę palmową albo w jednym z dni Wielkiego Tygodnia, zbiera się o rannej porze młodzież w kółku rodzinnem. Po większej części są to chłopcy i dziewczęta w wieku 13 do 16 lat. Jeżeli sami nie mają odwagi ostrem narzędziem wycinać sobie znaków na skórze, wykonuje to jedna z poważniejszych niewiast, wprawna w tem zajęciu, albo wzajemnie sobie młodzi przyjaciele i przyjaciółki. Złamaną igłą wpierw kreśli się deseń czarną umyślnie na to przyrządzoną farbą, następnie ostrą igłą kłuje się naznaczone miejsce, dopokąd ręka nie zaleje się krwią i ból dozwala. Miejsce zranione zalepia się cygaretową bibułką lub innym papierem, bandażuje, a na drugi dzień ciepłą wodą zmywa najczęściej już zagojoną ranę.

Gdy nasze konie dostatecznie wypoczęły, ruszyliśmy dalej i w godzinę stanęli wśród wioski Rankovići, sławnej starym dębem cesarskim. Dawniej zwano go dębem sułtańskim, lub wezyrów, ponieważ był miejscem ich wycieczek i zabaw *(teferić)*. Dąb ma 40 kroków obwodu; choć pień wewnątrz spróchniał, gałęzie jeszcze pełne życia. Aby mieć jaki taki obraz jego rozmiarów, wystarczy powiedzieć, że czas jakiś, wieśniak sąsiadujący z tym królem drzew, urządził w jego wnętrzu stajnię dla bydła. Raz cała kompania wojska złożona z 63 osób w rynsztunku wojennym, zmieściła się w jego wnętrzu, podobnie jak konwiktorzy z Trawnika, których przedstawia rycina na str. 143. Znawcy są zdania, że to drzewo przeżyło już lat 2000.

Niebawem po naszem przybyciu otoczyli nas wieśniacy i wieśniaczki, starcy, młodzi i dzieci, zamiesz-

kali w pobliskich wiejskich zagrodach. Wszyscy, nawet starsi, swą naiwnością, prostotą i zaufaniem do sukni duchownej, wydali nam się jak dzieci. Po zapytaniach zwyczajem przyjętych u ludu, zkąd i po co przybywamy, jak się mamy, jak nasi najbliżsi, czy żyją rodzice, siostry lub bracia, czy zdrowi i t. d. kolejno zasięgali u nas rady lekarskiej. Kobieciny poprzynosiły swe dziatki nawet niemowlęta, mąż o żonie, żona o mężu chorym opowiadała, szukając pomocy u »duchownego ojca.« Mój towarzysz obznajomiony z tutejszymi stosunkami, uprzedził mnie, abym nie odmawiał porady, gdyż wezmą to za złe, i nie uwierzą gdybym się wymawiał, sądząc, że radzić nie chcę, bo nimi gardzę. »Szwaba« — tak się nazywa u ludu każdy, co nie jest Bośniakiem — musi wszystko wiedzieć, zwłaszcza jeśli jest duchowną osobą. Czyniąc zadość ich pragnieniom, przepisywałem rozmaite domowe lekarstwa, które zaszkodzić nie mogły. Tak n. p.: wątłym i mizernym dzieciom zaleciłem picie mleka i chodzenie po słońcu, brudnym mycie wodą, a owrzodzonym: czyste utrzymanie ran i t. p.; na szczęście konsultacya zakończyła się wszystkich zadowoleniem.

Z pod dębu wyjechaliśmy wertepami i wąwozami leśnemi na pola, łąki, góry, wreszcie po długich błąkaniach przybyliśmy do wioski *Bučić,* gdzie proboszcz miejscowy O. Stiepan Mašić, Minoryta, wiedzie prawdziwie sielankowy żywot. Zastaliśmy go na wzgórzu siedzącego w cieniu drzewa na tapczanie z fajką na długim tureckim cybuchu, w fezie na głowie. Kazał i dla nas przynieść tapczany i raczył czem »chata bogata« chlebem, serem i winem. Widok mieliśmy ztamtąd wspaniały na Vlašić śniegiem bielejący złotodajne (acz dziś nie eksploatowane) góry Vilenica i roz-



Dąb cesarski (2000 letni) znajdujący się w okolicy Trawnika; pod nim chłopcy z konwiktu Trawnickiego. (Zob. str. 141).

ległą równinę poprzerzynaną w rozmaitym kierunku licznemi strumieniami. Gdzieniegdzie wystają większe lub mniejsze pagórki pełne zieleni o rozmaitych odcieniach, lub lśniące srebrzystym połyskiem zboża dojrzewającego pod zbiory.

Tuż przy plebanii znajduje się mały kościołek pod wezwaniem Św. Marcina, ubogi lecz schludny, obok dzwonnica, z czterech pali zrobiona, z dwoma dzwonami.

Do Trawnika wracaliśmy równiną, widzianą ze wzgórza wioski Bučić; okolica jeszcze piękniejszą nam się wydała. Wypadło nam przebywać w bród, lub przeskakiwać co najmniej 50 rzeczułek lub strumieni, co na krótkich konikach mniej było przyjemne. Już się ściemniało, gdyśmy przybyli do Trawnickiego konwiktu — nazajutrz rano wyjechałem do Sarajewa.





ROZDZIAŁ VII.

Sarajewo. I.

Rozmowa z begami. Pierwsze wrażenie w Sarajewie. X. Arcybiskup Stadler. Stan Kościoła w Bośni. Duchowne seminaryum katolickie. Szkoły Sióstr Miłosierdzia i »Córek Bożej Miłości.« Katechumenat. OO. Minoryci. Archirej i Archimandryta serbscy. Ich cerkiew. Seminaryum serbskiego duchowieństwa w Hreliewie. Wykształcenie serbskich popów. Żydzi hiszpańscy.

Na drodze do Sarajewa przysiedli się do mnie dwaj wybitni muzułmanie Ali beg Sulejman Pasić, obywatel z okolic Bugojno i Serif beg Hafiz-zadić, najmajętniejszy muzułmanin dawnej stolicy wezyrów. Zewnętrzne formy towarzyskie i sposób obejścia się, bardzo dodatnie zrobiły na mnie wrażenie. Niebawem zapoznaliśmy się ze sobą. Gawędka szła bardzo gładko o bieżących wypadkach na Wschodzie i o stosunkach w Bośni od czasów okupacyi. Podziwiałem z jaką bystrością umysłu wydawali sąd swój o naszym parlamencie, o osobach doń powoływanych, o rządzie okupa-

cyjnym... Parę godzin drogi koleją w takiem towarzystwie minęło niepostrzeżenie, a dla mnie nie bez pożytku.

Z wąwozów górskich wjechaliśmy na rozległą równinę, zwaną »Sarajewsko polje« na której końcu szeroko rozsiadła się stolica Bośni. Z północy, wschodu i południa wznoszą się nad nią wysokie góry, lśniące gdzieniegdzie śniegiem, od jedynej strony zachodniej dostęp jest łatwy; tu zbudowano kolejowy dworzec.

Pierwsze wrażenie Sarajewo robi miasta europejskiego. Szerokie wspaniałe zabudowania »zeleznicy«, kolosalne gmachy wojskowe i inne rządowe, mnóstwo prywatnych wielkich kamienic wiedeńskiego stylu, tramwaj elektryczny, kursujący na szerokiej drzewami wysadzonej alei, bogate, modne wystawy sklepowe, wszystko sprawia pewne rozczarowanie, bo co innego spodziewałem się widzieć w tutejszej stolicy. Lecz niebawem rozczarowanie znikło. Wjeżdżamy w dzielnicę gęsto zaludnioną przez muzułmanów: — poznać ją po zakratowanych oknach haremów, po sterczących minaretach, których przeszło setkę dziś jeszcze Sarajewo posiada. Tureckie zawoje mężczyzn, chodzące mumie t. j. Turczynki we feredżiach, otwarte sklepy a w nich zadumani z fajką przy kawie muzułmanie, to wszystko znowu przypomina, że jesteśmy na Wschodzie. Lecz czuć w powietrzu, że ten Wschód z całą swą oryginalnością znika przed Zachodem. Gdy porównam Sarajewo jakiem go widziałem po raz pierwszy w r. 1895 z dzisiejszem, gdy doń znowu na wiosnę b. r. zawitałem, ogromną zmianę znajduję. Lecz zarazem uwidocznia się coraz więcej, że w stolicy Bośni nietylko Turcy, ale i chrześcianie istnieją: katolicy i Serbowie, bo obok meczetów dostrzegam kościoły i cerkwie, obydwu też wyznań wychowawcze zakłady.



Profesorowie konwiktu i gimnazyum OO. Jezuitów w Trawniku.

Zamieszkałem w świeżo wybudowanem seminaryum duchownem, w którem się kształci młodzież na świeckich kapłanów. Po przywitaniach z O. Fr. Xawerym Hammerl T. J., Dyrektorem zakładu i innymi Ojcami profesorami teologii, wyszedłem z wizytą do X. Arcybiskupa Stadlera. Równie sympatycznego dygnitarza kościelnego nie często się spotyka. Jest on prawdziwym apostołem Bośni, opatrznościowym człowiekiem dla bośniackiego Kościoła, jedną z postaci, jakie Bóg zsyła ludom dla ich zbawienia. A jakżeż zaniedbaną otrzymał cząstkę w winnicy Pańskiej! Jakkolwiek dawna Illirya a więc i Bośnia tak była szczęśliwą, że jako pierwszych opowiadaczy Ewangelii miała ŚŚ. Piotra i Pawła Apostołów, a następnie Św. Łukasza Ewangelistę, Św. Klemensa i Św. Tytusa [1]), to przecież aż do wieku XII-go historya wspomina tylko dwa razy o biskupie bośniackim w VI wieku.

O. Farlati opowiada [2]) o czterech następnych biskupach w XII w., później dostrzegamy przerwę aż do roku 1233, odkąd już są wprawdzie biskupi bośniaccy aż do bieżącego stulecia, lecz bez stałej rezydencyi, w ciągłych walkach to z heretykami bogomiłami, to z gwałtami muzułmanów. Do roku 1463 przynajmniej rezydowali biskupi w Bośni, i jako tako mogli osobiście doglądać powierzonej owczarni. Lecz gdy Turcy zajęli ten kraj, biskupi musieli się schronić do Diakowaru w Slawonii, a więc za Sawę, na terytoryum należące do korony węgierskiej, zkąd prawie nigdy nie mogli wizytować swej dyecezyi. Garstka Ojców Minorytów pozostała w Bośni i Hercegowinie, zaledwie mogła

[1]) Cf. Leonis XIII Litterae Apostolicae quibus hierarchia Episcopalis in Bosnia et Herzegovina instituitur, a. 1881.

[2]) l. c. Illirici Sacri Tomus IV, p. 37—90.

utrzymać uciśniony Kościół w wegetacyi, lecz bez żadnej zewnętrznej pomocy, bez czujnej opieki sobie pozostawiona, żadną miarą nie zdołała nadać mu wzrostu silniejszego i uchronić wiernych od wielu apostazyi.

Czuli potrzebę większej opieki nad sobą Ojcowie Minoryci i wyjednali u Stolicy świętej w roku 1735 wikaryusza apostolskiego, który odtąd stale w Bośni przebywał. Stosownie do tego, z którego konwentu Minorytów pochodził, rezydencyę swą zakładał w jednym z trzech pozostałych klasztorów: Kreszewie, Fojnicy lub Sutisce, gdyż zawsze pochodził z zakonu Św. Franciszka. W roku 1846 Stolica św. utworzyła drugi nowy Wikaryat Apostolski wyłącznie dla Hercegowiny. Sprawa katolicyzmu o jeden krok naprzód postąpiła po wieluwiekowym zastoju. Lecz stosunki miejscowe prawie się nie zmieniły. Tylko w Fojnicy, Sutisce i Kreszewie istniały małe kościółki, bez krzyża, bez dzwonów, zresztą Msza św. mogła być odprawianą w ukryciu, lub na cmentarzach. Z małymi wyjątkami trwał jeszcze w swej sile ukaz drugiego kalifa Omara: »Chrześcianom nie wolno budować nowych klasztorów i kościołów, nie wolno także istniejących restaurować, nie wolno im nigdzie jawnie ukazywać krzyża, chyba we własnem mieszkaniu lub we wnętrzu kościoła. Dzwonienie, modlitwa, śpiew ich, ma być tego rodzaju, aby od innych nie były słyszane. Muszą się także różnić ubiorem, aby ich łatwo można rozeznać od wyznawców islamu...«

Wszelkie usiłowania Stolicy św. tak za czasów królów bośniackich, jak później za czasów tureckiego panowania, aby w Bośni i Hercegowinie pomnożyć rezydencye biskupie i ustanowić hierarchię kościelną, pozostały bez skutku. Raz tylko w dziejach Kościoła

tutejszego przed r. 1463 była chwila, kiedy dwóch biskupów objęło pieczę nad rozległą owczarnią, a jeden z nich był wschodniego obrządku.

Dopiero gdy rząd austro-węgierski zajął te kraje, pragnienia Stolicy św., dzięki poparciu Najdostojniejszego Monarchy Franciszka Józefa I, dały się urzeczywistnić. Leon XIII bullą »*Ex hac augusta*« ustanawia d. 5 lipca r. 1881 hierarchię kościelną w Bośni i Hercegowinie, a zarazem tworzy nowe arcybiskupstwo Wrhbosneńskie z siedzibą w Sarajewie. W dziesięć lat później, dekretem z d. 24 marca 1891 r. Ojciec św. bliżej określił granice arcybiskupstwa Wrhbosneńskiego jako metropolii i dyecezyi jego sufraganów: w Banialuce, Mostarze i Trebinii. Tymczasowo dyecezyą Trebińską zarządza jako administrator biskup Raguski, lecz w sprawach Trebińskiej dyecezyi zależy on od metropolity rezydującego w Sarajewie. Około 35 parafij dawniej obsadzanych przez Ojców Minorytów, na mocy układu z ich Generałem, przeszły pod wyłączny zarząd X. Arcybiskupa, a obecnie toczą się układy o nowych 30 parafij. Zresztą wszystkie inne parafie obsadzają Ojcowie Minoryci swoim klerem zakonnym.

X. Arcybiskup Józef Stadler (dodajmy nawiasem, Słowianin całą duszą, urodzony w okolicy bośniackiego Brodu nad Sawą), wyniesiony do tak wysokiej godności nie zastał w swej rezydencyi ani katedry, ani seminaryum, ani kapłanów świeckich, ani nawet biskupiego mieszkania. Wszystko należało od fundamentów budować, a tu Stolica św. nie mogła mu przyjść z pomocą, gdyż dobra Propagandy rząd włoski skonfiskował. Lecz pełen energii i poświęcenia Arcypasterz nie stracił ufności w pomoc Bożą. Siebie i całą archidyecezyę oddał



J. E. X. JÓZEF STADLER,
Arcybiskup Wrhbosneński, Metropolita Bośni i Hercegowiny
z rezydencyą w Sarajewie.

w opiekę Najśw. Sercu Pana Jezusa, biorąc nawet Jego symbol za swój herb arcypasterski. W rok później w porozumieniu z rządem, wynalazł fundusze na rozpoczęcie budowy kolosalnych rozmiarów konwiktu w Trawniku, jako małego seminaryum do zdobycia powołań do stanu kapłańskiego. Nadzieje nie zawiodły. Konwiktorzy po ukończeniu 8 klas gimnazyalnych, spory procent dali z pośród siebie kandydatów do seminaryum, tak, że w r. 1890 otworzono pierwszy rok teologii w Trawniku, a w dwa lata później, można było otworzyć w Sarajewie świeżo wybudowane seminaryum duchowne z 4-letnim kursem nauk teologicznych, na wzór podobnych zakładów w całej Austryi. W roku 1896 dobudowano do niego piękny kościółek w stylu Odrodzenia, którego kopuła jest jedną z najpiękniejszych ozdób dzisiejszego Sarajewa.

Jeszcze przedtem zajął się X. Arcybiskup budową katedry w stylu gotyckim. Fasada katedry pozostawia do życzenia pod względem zewnętrznej ornamentacyi, za to wnętrze jest prześliczne w najdrobniejszych szczegółach, tyle tam bogactwa w rzeźbie i malowidłach. Święci Apostołowie Cyryl i Metody, rzeźba wykonana z marmuru, mogłaby zdobić najpiękniejsze kościoły Zachodu.

Wskutek braku świeckiego duchowieństwa, X. Arcybiskup powołał do swego boku jako kanoników 4 znanych mu osobiście kapłanów z Kroacyi, doktorów teologii, a gdy jeden z nich w ostatnich czasach został powołany na objęcie dyecezyi w Lublanie, mógł znaleść w bieżącym roku kapłana, wychowanego w swem seminaryum, któryby godnie zajął opróżnione krzesło.

W seminaryum archidyecezyalnem kształcą się klerycy ze wszystkich dyecezyj Bośni i Hercegowiny,

również młodzież Franciszkańska przeznaczona na objęcie obowiązków parafialnych. Tak pod względem zewnętrznego jak wewnętrznego urządzenia, seminaryum nic nie pozostawia do życzenia. Profesorów mają znakomitych z zakonu T. J., ktòrzyby z chlubą mogli wykładać nauki teologiczne na jakimkolwiek zagranicznym uniwersytecie. Chociaż wszyscy profesorowie są austryaccy Niemcy, wyuczyli się dobrze bośniackiego języka, tak, że nietylko mogą słuchać w tym języku spowiedzi, ale nawet niektórzy po bośniacku miewają kazania. Zresztą jak we wszystkich katolickich seminaryach na całym świecie, wykłady teologii i tutaj odbywają się w języku kościelnym — łacińskim.

X. Arcybiskup jakkolwiek sam mieszka w domu wynajętym, postarał się nietylko o bardzo piękne seminaryum dla swoich kleryków, o dom mieszkalny dla proboszcza kościoła katedralnego a zarazem parafialnego, ale nadto zbudował wspaniały gmach dla kanoników, w którym wszyscy mieszkają. Gdy raz ich odwiedziłem razem z X. Arcybiskupem, zastałem wszystkich na wspólnym obiedzie. Mieli bowiem zwyczaj razem schodzić się do stołu jak w domu zakonnym do refektarza.

Dobór duchowieństwa, jakiem otoczył się X. Arcybiskup Stadler, bardzo silny wpływ wywarło zarówno na tubylczą ludność rozmaitej wiary, jak i na tych przybyszów, którzy bądź dla urzędu, bądź dla spekulacyj handlowych i przemysłowych w licznych zastępach w Sarajewie osiedli. Przedewszystkiem kościołek seminaryjny jest punktem attrakcyjnym katolickiej ludności, gdyż o każdej porze znajdzie ona do porady duchownej lub spowiedzi kapłana, który będzie władał prócz bośniackiego, niemieckim, węgierskim, włoskim,

francuskim lub angielskim językiem, jeden nawet trochę umie po polsku. Ojcowie, o ile im czas przy teologicznych wykładach pozwala, bardzo gorliwie pracują po za murami seminaryum, zwłaszcza kierowaniem kongregacyj maryańskich męskich, których 4 dotychczas założyli dla rozmaitego stanu i wieku sodalisów.

Gorliwy arcypasterz nie mógł pozostawić odłogiem pola pracy nad wychowaniem dziewcząt. W tym celu powstała najpierw szkoła elementarna a przy niej klasztorek z kościółkiem Sióstr Miłosierdzia Kongregacyi Zagrzebskiej. Od razu szkoła była przepełnioną, tyle dziatwy garnęło się do niej. Obecnie kształci się w niej około 400 dziewcząt. Niebawem okazała się potrzeba innych podobnych zakładów. Sprowadzono »Córki Bożej Miłości« — zakonnice niedawno założonej kongregacyi, zajmującej się wychowaniem panienek. Tuż obok kateralnego kościoła, mają one swój klasztor pod wezwaniem Świętego Augustyna, a w nim szkołę ośmioklasową. Gmach wybudowany w stylu gotyckim, w najpiękniejszej części miasta, jest dla mieszkańców Sarajewa wielkiem dobrodziejstwem. Przeszło 400 córek prawie wszystkich urzędników bez względu na narodowość, schodzi się tam do publicznej szkoły. Gdy w bieżącym roku dawałem w domowej kaplicy zakonnic rekollekcye paniom polskim i wskutek tego często musiałem przebywać w murach zakładu, zadziwiała mnie cisza i spokój dziewczątek, gdy przychodziły lub wychodziły z lekcyi do swych domów. Szkoła »Córek Bożej Miłości« tak dobrą opinią cieszy się w Sarajewie, że nawet innowiercy, nie wyłączając żydów, chętnie posyłają swe córki na naukę. Odbywa się ona w tym zakładzie w języku niemieckim. Te same zakonnice mają jeszcze drugi podobny zakład Św. Józefa połączony



Katolickie seminaryum archidyecezyalne i kościół w Sarajewie.

z internatem na 60 dziewcząt, po większej części sierót, gdzie w 8-klasowej szkole kształci się paręset dzieci, a nadto starsze panienki, kandydatki na nauczycielki ludowe, mają osobne wykłady z programem podobnym naszym seminaryom nauczycielskim. Zakład Św. Józefa jest położony w górnej części Sarajewa, posiada piękny ogród i całe gospodarstwo dla potrzeb domowych. Gdy go zwiedzałem, zastałem wśród ogrodu prześlicznie urządzonego, w altankach zakonnice uczące panienki gry na skrzypcach, inne w muzeach brały lekcye fortepianu. Wykłady w tym zakładzie odbywają się w języku bośniackim. Pokazywano mi ręczne roboty uczennic prześliczne hafty i tkaniny wzorowane jedwabiem i złotem, przeznaczone na wystawę w Peszcie i Wiedniu. Dziatwa bardzo dobre robi wrażenie.

Rząd tutejszy pragnął, aby z dobrodziejswa tych zakładów, a także innych, pozostających pod kierunkiem świeckich nauczycielek, korzystały dziewczęta muzułmańskie. Lecz wszelki przymus był bezskuteczny. Muzułmanie oparli się temu stanowczo. Niezawodnie wyszło to tylko na dobre dziatwie chrześciańskiej, która została ocaloną od stykania się z muzułmankami, od najmłodszych lat oddychającemi zgniłą atmosferą zepsucia i prowadzącymi najswobodniejszą rozmowę o wszystkiem zarówno z matką i innemi mężatkami, jak z hodżią, swym nauczycielem do 12 roku życia. Jednakowoż i o nich myśli X. Arcybiskup Stadler. W tym celu założył kongregacyę, do której mają wstępować same Bośniaczki i utrzymywać katechumenat dla nawracających się muzułmanek, żydówek, lub z innych wyznań. Są to dotychczas pierwociny; dom dla tego zakładu dopiero się buduje; a w obecnej chwili, gdy Bośnia i Hercegowina jeszcze nie zostały przyłączone

do monarchii Austro-Węgierskiej, wobec istniejących ustaw mowy być nie może o nawracaniu muzułmanek. Dotychczas tylko tę swobodę religijną rząd przyznał chrześcianom, iż każdy z nich może zostać muzułmaninem, lecz muzułmanina, chociażby chciał, nie wolno przyjąć na łono św. Kościoła!

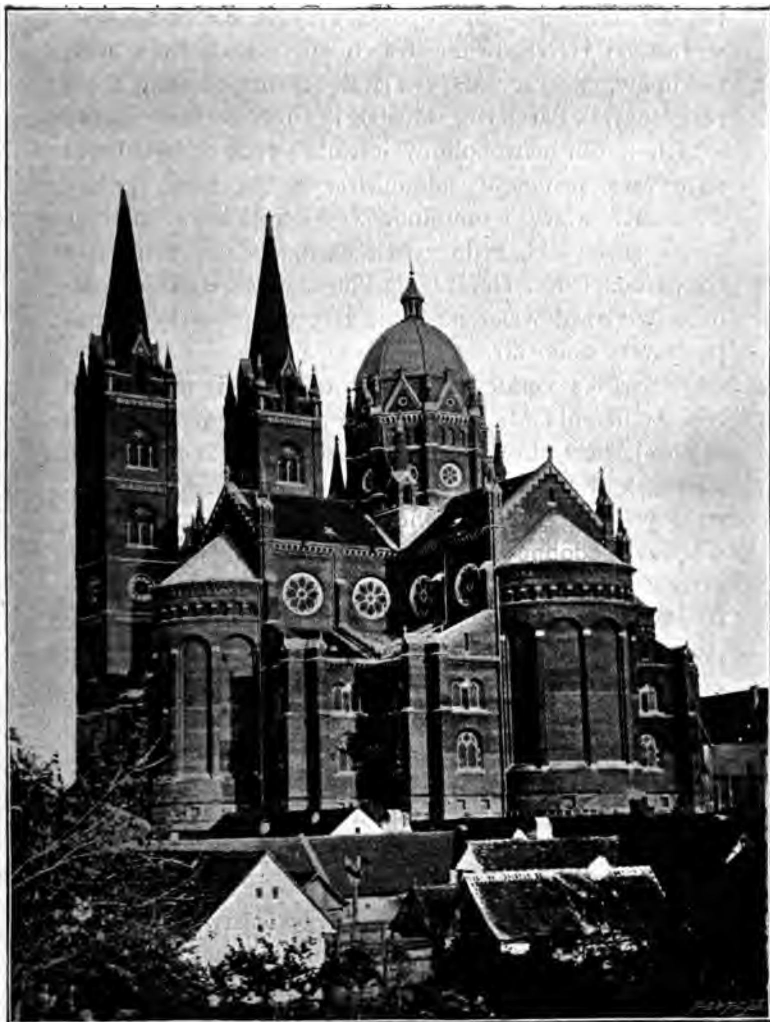
Podobnie jak w Sarajewie, we wszystkich znaczniejszych miasteczkach metropolii Wrhbosneńskiej budują się lub już są wybudowane kościoły i kapliczki, a w kilku miejscach jak w Tuzli, Breške, Bugojno, Brčka, Liwno, Dolać, znajdują się żeńskie klasztory a przy nich szkoły pozostające pod kierunkiem zakonnic. Jeżeli zważymy, że od czasu okupacyi upływa dopiero lat 20, a 16 od czasu objęcia metropolii przez X. Arcybiskupa Stadlera, każdy musi przyznać ogromny wzrost instytucyj kościelnych w tym czasie. Czytelnik może sądzi, że rząd okupacyjny w tym względzie bardzo dopomógł X. Arcybiskupowi. Bynajmniej. W porównaniu do Muzułmanów i Serbów, katolicy po macoszemu dotychczas są traktowani, i ledwie cząstkę tego otrzymują, coby powinni otrzymać, gdyby im taką pomoc dawano, jaką znajdują inne wyznania, nie wyłączając protestantów i żydów. Fundusz potrzebny na utrzymanie tylu instytucyj katolickich, budowę przeszło 100 kościołów i kaplic w ciągu krótkich stosunkowo rządów X. Arcybiskupa Stadlera, został zdobyty głównie jego zapobiegliwością od osób prywatnych i prywatnych instytucyj z zagranicy.

Prócz wymienionych zakładów, jest w Sarajewie także klasztor i kościołek OO. Minorytów, gdzie mieszkają klerycy uczęszczający na teologię do seminaryum archidyecezyalnego. Kościół Franciszkański, który w pierwszych latach po okupacyi Bośni był zarazem i katedrą

Arcybiskupa, starego niepokaźnego miejscowego stylu, a raczej bez stylu, leży na uboczu miasta na wzgórzu. Przy nim klasztor został świeżo wybudowany, a urządzenie jego wewnętrzne bardzo wytworne. Ojcowie zakonu Św. Franciszka jeszcze podziśdzień wyjątkowo cieszą się szczególniejszymi względami u rządu dla zasług położonych około Bośni; to też na budowę swego klasztoru otrzymali 40.000 złr.

O tych zakonnikach będziemy mieli sposobność nieco obszerniej na innem miejscu mówić, przejdźmy kolejno w naszej wędrówce po mieście do mieszkania metropolity serbskiego Sawy Kosanowića. Wybrałem się z tą wizytą razem z Rektorem seminaryum katolickiego. Niestety, nie zastaliśmy go w domu, wyjechał na objazd swej archidyecezyi. Opowiadano mi o nim, że sympatyczny staruszek, jak najlepiej był usposobiony do jedności i zgody, i nieraz płakał całemi nocami, że nie może dla względów politycznych przejść ze swoją owczarnią na łono Kościoła katolickiego. Pomimo, iż już wówczas liczył lat z górą 90, jeszcze jeździł konno podczas wizyty dyecezyalnej. Zastaliśmy natomiast jego pomocnika archimandrytę Magarašewića, dawnego przełożonego monasteru w Slawonii. Przyjął nas uprzejmie i był bardzo rad z tego, żeśmy go odwiedzili. Jak wszyscy serbscy duchowni, tak i archimandryta nosi brodę i długie włosy już posiwiałe od starości. W ciągu rozmowy dopytywał się o J. Em. X. Kardynała Ledóchowskiego i oświadczył, że gotów jest każdej chwili przyjąć Unię z Rzymem, tylko się obawia trudności ze strony rządu.

Po śmierci metropolity Kosanowića, która w rok po tej wizycie nastąpiła, archimandryta Magarašewić poszedł na pensyę, metropolitą Sarajewskim został na-



Nowa katedra w Diakowarze, dawnej rezydencyi biskupów bośniackich.
(Zob. str. 148).

Wice-rektor zawiadomiony o naszem przybyciu, wyszedł naprzeciw i zaprosił na zwiedzenie zakładu. Alumni młodzi chłopcy chodzą w sukniach świeckich. W sutanny ubierają się tylko na uroczystości i gdy jadą do Sarajewa. Mieszkają we wspólnych salach, wspólne też mają muzea do nauki. W sypialniach łóżka przykryte czarno-żółtemi kocami, deseń na nich przedstawia wielkich rozmiarów orła austryackiego. Cała biblioteka zakładu, którą bardzo się chlubił wice-rektor jako rzeczą nader cenną, znajduje się w szafie zajmującej jedną stronę małego pokoju. Książek w niej treści ściśle teologicznej nie znalazłem, lecz być może, że się jaka znajduje. Klerycy po ukończeniu cztero-letniego kursu nauk więcej świeckich jak duchownych, ponieważ często są za młodzi do święceń kapłańskich, bywają wysyłani na ludowych nauczycieli, a gdy pod-rosną, zaraz się żenią, otrzymują święcenia i idą zaj-mować się pracą parafialną.

O wyrobieniu ducha kapłańskiego wśród tej młodzieży, nawet mowy być nie może, zwłaszcza, że jedyny pop, ich wice-rektor jako żonaty, mieszka po za zakładem i tylko dorywczo nimi się zajmuje, o ile pozwalają mu stosunki rodzinne; świeccy zaś profesorowie trudno aby to dali, czego sami ani czują, ani rozumieją. Zresztą bardzo niemiłe na mnie zrobili wrażenie, podobnie jak i cała młodzież gotująca się do wysokiego posłannictwa w serbskiej Cerkwi. Nic więc dziwnego, że wskutek braku wykształcenia duchowego i teologicznego, wyradza się szowinistyczna nienawiść wszystkiego co katolickie, którą się pokrywa nieznajomość wiary. Opowiadał mi następujący fakt naoczny świadek Chrztu dziecka serbskiego. Pop po pytaniu: »czy wyrzekasz się szatana i wszystkich spraw jego« —



Groby Żydów hiszpańskich pod Sarajewem.

dodał następnie z własnej inicyatywy, chociaż tego nie ma w ich rytuale: »wyrzekasz się i przeklinasz rzymskiego Papieża?« i splunął na znak wzgardy — czego nie uczynił wymawiając szatana.

Duchowieństwo serbskie po parafiach na prowincyi do roku ledwie 3 do 4 razy Mszę św. odprawia w największe uroczystości, zresztą nawet w niedzielę, trochę zaśpiewa w cerkwi, a potem pije i bawi się z parafianami na cmentarzu okalającym dom Boży. Naoczni świadkowie z dwu odległych miejscowości, opowiadali mi jak pop w 1½ godziny wysłuchał i rozgrzeszył 200 ludzi, inny w dwóch godzinach tej samej sztuki dokazał. Polak kolonista zapytał Serba w okolicy Bośniackiej Gradiski, czy się spowiada. Na to odpowiedział Serb: »Ja już nie mogę iść do spowiedzi, bom bardzo nagrzeszył. Gdym raz wyznał jeden mój grzech, pop mi powiedział: »ja takich grzechów nie słucham, to za wielkie grzechy« — już dla mnie teraz nie ma rady.« Gdy mu Polak powiedział, że u nas ksiądz może od każdego grzechu rozgrzeszyć, byleby grzesznik żałował i miał chęć poprawy, Serb bardzo temu się dziwił, i mówił: »wy macie dobrych popów, kiedy taką moc mają, my takich nie mamy i żyjemy jak bydle.«

Jednym z monumentalnych serbskich zakładów w Sarajewie będzie internat ze szkołą wyznaniową, którego budowę rozpoczęto w bież. roku, a rząd ofiarował na nią kilkadziesiąt tysięcy złr. Podobne subwencye rządowe na budowę licznych serbskich cerkwi i osobiste zapomogi dla popów, są bardzo częste w Bośni i Hercegowinie, i łatwiej im udzielane niż katolikom.

Dla garstki Żydów Sarajewskich, rząd wybudował synagogę. Przez niskie okna całe wnętrze można okiem

objąć. Ponieważ nie było w niej żadnej żywej duszy, więc bez obawy, że przeszkodzimy komu w modlitwie, weszliśmy do wnętrza. Po środku znajduje się okrągłe wzniesienie, w półkolu siedzenia, a przed niemi pulpit z księgami talmudu. Pod ścianami dokoła synagogi



Rabin Żydów hiszpańskich.

znajdują się również siedzenia, jakby stale, a nad niemi balkon drewniany otaczający od wnętrza całą bożnicę. W miejscu, gdzie u nas W. ołtarz, zawieszono dywan, a nad nim dwie tablice przykazań nakreślonych złotemi hebrajskiemi literami.

Żydzi tutejsi są potomkami tych, którzy w XV i XVI wieku uciekli z Hiszpanii, ztąd podziśdzień nazywają się powszechnie *Spaniol*'ami. Typowo różnią się od naszych Żydów, cerę mają ciemniejszą a wyraz twarzy więcej szlachetny. Dotychczas trudnią się przeważnie



Typ Żydówki hiszpańskiej (Spaniola).

handlem i operacyami giełdowemi; do niedawna brali 100% od wypożyczonych pieniędzy, bank wyłącznie był w ich ręku, to też urośli w potęgę finansową. Jeden ze Spaniolów posiada w Sarajewie 91 kamienic i domów. Na pochwałę tutejszych Żydów można po-

wiedzieć, że z wyjątkiem lichwy, nigdy nie trudnili się brudnemi sprawami, a życie rodzinne bardzo jest u nich rozwinięte i piękne. Ubiorem różnią się od innych, zwłaszcza Żydówki poznać łatwo po nakryciu głowy, składającem się z denka wysokości kilku centymetrów, otoczonego rulonem złotych monet lub blaszek. Twarzy nie welonują na sposób turecki, zresztą ich życie i urządzenie wewnętrzne mieszkań podobne jest do muzułmańskich. W Sarajewie mają swego głównego rabina, którego nazywają *Chacham - baša.* Za miastem mają swój odrębny cmentarz, gdzie charakterystyczne groby zupełnie odrębnego typu, są jedną z osobliwości tutejszych. (Zob. rycinę na str. 163).

Wśród rozmaitych wyznań, stosunkowo najwięcej w Sarajewie jest muzułmanów o tak charakterystycznych i ciekawych cechach, że im musimy obszerniejszą wzmiankę w następującym rozdziale poświęcić.





ROZDZIAŁ VIII.

Sarajewo. II.

Jak muzułmanie święcą *korban bajram* i *ramazan*. Nocne nabożeństwo derwiszów. Muzułmańscy duchowni. Reis-ül-Ulema. Kadi. Łatwość rozwodów. *Szeriat.* Čaršia sarajewska. *Begowa dżiamia.* Najstarszy cmentarz muzułmański. Wizyta u prezydenta miasta Sarajewa; wnętrze jego muzułmańskiego pałacu. Bośniaccy begowie. Krajowe muzeum. Peryodyczne pisma sarajewskie. Zakład kąpielowy w Ilidże. Szkółka rolnicza. Źródła Bosny. Wycieczka w góry.

Podczas mego pobytu w Sarajewie, obchodzili muzułmanie wielkie swoje święto *korban bajram*. Strzał armatni dany z zamku, zwiastował jego rozpoczęcie. Wieczorem zabłysły lampki dokoła minaretów, zewsząd dolatywał wesoły a dziki głos Turków i cygańska muzyka uliczna. Po zachodzie słońca przechadzać się uliczkami zamieszkałemi przez wyznawców proroka, nie bardzo bezpiecznie, bo napastują chrześcian. Wśród miasta spotykałem muzułmanów niosących żywe barany na plecach w sposób rytualny do dżiamiji, co ma przypominać Abrahama ofiarę.

Muzułmanie po ofiarowaniu tych baranów Allahowi, zabijają je dla siebie na ucztę. Bardzo wyglądało komicznie, jak one kręciły głowami na plecach



Muzułmanin niosący barana w rytualny sposób podczas korban bajramu.

ofiarników i żałośnie beczały, przeczuwając ostatnią swoją godzinę. *Korban bairam* trwa przez cztery dni.

W tym czasie muzułmanie ubierają się bogato, ucztują, bawią się, składają sobie wzajemnie życzenia, a nawet przyjmują u siebie chrześcian. W Sarajewie jest zwyczaj nawet u osób najwyżej postawionych, że muzułmanie idą z życzeniami do rodzin chrześciańskich w czasie Wielkanocnym lub na Boże Narodzenie, i wzajemnie chrześcianie odwiedzają muzułmanów podczas bajramu. Wówczas gospodarz częstuje przybyłych kawą, słodyczami, nawet likierem, a wkońcu sługa roznosi lemoniadę, kłaniając się nizko z ręką na sercu położoną, przy podaniu kubka każdej osobie. Wreszcie podają fajki lub papierosy i złotem haftowane ręczniki do otarcia ust i rąk, poczem gospodarz odprowadza swych gości aż do bramy wchodowej. Kobiety przyjmują także, oczywiście tylko płeć żeńską.

Chociaż *korban bajram* jest uroczystością stałą w kalendarzu muzułmańskim, pomimo tego może przypaść w ciągu 32 lat w każdym miesiącu. Wiedzieć bowiem należy, że muzułmanie za podstawę swojej rachuby wzięli rok księżycowy z $354\frac{1}{2}$ dniami, i dzielą go na 6 miesięcy o 29 dniach, a drugie tyleż o dniach 30. Co roku więc o 11 dni wcześniej bajram wypada, i dopiero po latach 33 w ten sam dzień przypada. Wskutek tego muzułmanin, który wedle swej rachuby ma lat 33, wedle naszego systemu ma dopiero lat 32.

Korban bajram przypada w 70 dni po *ramazanie* (ramadan) najbardziej świątecznym czasie muzułmańskim. Jest to rzadkie połączenie postu z karnawałem. Początek i koniec ramazanu zwiastują gwiazdy, które śledzi hodżia, i daje znak strzałem armatnim lub moździeża. Za dnia nie wolno wówczas żadnego przyjmować pokarmu ani napoju, nawet wstrzymują się od picia wody i palenia tytoniu. Gdy ramazan przypada



Szeriat w Sarajewie. (Zob. str. 180).

w czasie skwarów letnich, post od wody dotkliwie daje się odczuwać muzułmanom, toż kto tylko może, kryje się w chłodne nory i śpi dzień cały, gra w karty, szachy, domino, lub używa kąpieli, aby jako tako dzień spędzić. Zato ledwie zgaśnie słońce i zejdzie pierwsza gwiazda na niebie, rozpoczyna się uczta i zabawa trwająca do pierwszej godziny po północy, do znaku, iż znowu rozpoczął się post dzienny, po którym używanie jadła i napoju, i tak w kółko przez cały miesiąc księżycowy. Post ramazanu przestrzegają z nadzwyczajną skrupulatnością zarówno dzieci jak zgrzybiali starcy. Dla skrócenia nudów, chłopcy wymyślają sobie rozmaite gry, między innemi dostrzegłem następującą, iście muzułmańską zabawę: gromadka malców siada wkoło, a każdy wyjąwszy centa, podaje go sąsiadowi do obejrzenia. Ten przygląda mu się dokładnie, liże językiem, a tak przekonawszy się, że czysty, t. j. nie powleczony jaką słodką przynętą, podaje go dalej potakując głową w milczeniu. Po tej kontroli centów, każdy kładzie swój pieniądz przed siebie, wszyscy zaś pilnie śledzą, na czyim pierwsza mucha usiądzie, bo ten szczęśliwiec wygrywa i zgarnia pieniążki. Wszystko to się dzieje w milczeniu nieraz całemi godzinami.

Dopiero po posiłku udają się muzułmanie do meczetów na modlitwę, a płaczliwe śpiewy rozlegają się aż w późną noc. W czasie ramazanowym wolno każdemu »wiernemu« modlić się śpiewem nawet ze szczytów minaretu. To też noce są bardzo ożywione, przypominają raczej karnawał niż post, wszystkie sklepy i kramy pootwierane, w kawiarniach pełno gości, odgłos tamborinów i guzli rozlega się co kilka kroków, ruch jest i gwar zwłaszcza w cygańskiej dzielnicy, gdzie przy świetle księżyca odbywają się najhałaśliwsze tańce

wśród akompaniamentu rozmaitego rodzaju instrumentów muzycznych. Po tym niby poście rozpoczyna się bajram ramazanowy, t. j. hulatyka przez 3 dni, a zarazem najuroczystsze święto muzułmanów. Dopiero w 70 dni po niem, drugi jest korban bajram, o którym wyżej wspomniałem.



Cyganie grający podczas bajramu na ulicy Sarajewa.

W czasie ramazanu odprawiają się zwykle pielgrzymki do Mekki, do czego każdy muzułmanin jest obowiązany przynajmniej raz w życiu. Częściej jednak przybywają tu derwisze wędrowni i inni »duchowni«, a wyłudzając od wiernych pobożne datki, obowiązują się odbyć za nich tę religijną pielgrzymkę i pomodlić się w ich imieniu u grobu »proroka.« Ci, którzy odbyli ową pielgrzymkę, mają prawo nosić biały turban i używać tytułu *hadżi.*

Prócz derwiszów wędrownych, są inni stale zamieszkali przy derwiszowskich dżiamijach, tworząc jak-

by rodzaj muzułmańskiego zakonu. Mieszkają wprawdzie w swych domach z rodzinami tak jak inni muzułmanie, lecz prowadzą życie niby ascetyczne, a właściwie bardziej fanatyczne. W roku 1898 miałem sposobność zwiedzić ich klasztor w Sarajewie i przypatrzyć się ich nabożeństwu. Każdy może się tam dostać co czwartku, kto kupi bilet za jedną koronę w miejscowym magistracie. Wieczorem, dwie godziny po zachodzie słońca, stanąłem z mym towarzyszem O. Hünnigerem w dziedzińcu klasztornym. Chwilę czekaliśmy, dopokąd po raz ostatni muzein nawoływał do modlitwy. Wśród ciszy nocnej, w zaułkach tureckich smutny głos dochodzący ze 100 minaretów, dziwne robił wrażenie i jakąś trwogą przejmował. Po chwili zaczęli się schodzić derwisze do dżiamii, i myśmy weszli bocznemi drzwiami na galeryjkę przeznaczoną dla widzów. Jej część oddzielona, z osobnem wejściem, była zasłonięta bardzo gęstą kratą, tam miejsce dla muzułmanek. Zwyczajnie nie pokazują się one w meczecie, i nie biorą udziału w żadnem nabożeństwie, jako istoty — w mniemaniu muzułmanów — bez duszy, nie przeznaczone do nieba. Lecz w dżiamijach derwiszów wyjątkowo mogą swą ciekawość zaspokoić, i tym razem było ich kilka. Wnętrze meczetu podobne do innych. Wśród słabego światła czterech świec woskowych, dostrzegam nad *mirhabem* zawieszoną podobiznę meczetu znajdującego się w Mecce. Na podłodze rozścielone skóry baranie. Wchodzi około 20 derwiszów młodych i starych z obliczem o poważnym nastroju, każdy staje na swej skórze baraniej i poczyna bić pokłony ku stronie Mekki, względnie mirhabu, gdzie przysiadł klęcząc szeik, przewodnik modlitwy. Po pokłonach, szeik cichym głosem śpiewał, inni mu odpowiadają, następnie



Widok z Čaršii. (Zob. str. 181 i nast.).

wszyscy rzucają się twarzą na ziemię i modlą się kilka minut. Na dany znak, derwisze stają w dwa rzędy, szeik wyciąga sznurek paciorków złożony z 99 ziarn, coś odmawia, inni powtarzają *amiń* i patrzą w swe dłonie. Następnie rozstępują się w półkole — znowu patrzą w swe dłonie, a przetarłszy oczy, kręcąc głową, monotonnie śpiewają głosem ponurym, wolnym, później tępem prędszem jedne i te same słowa, o ile dosłyszałem *la illaha Allah-hu* (Bóg tu). Po kilku minutach wnosi derwisz kadzidło i stawia przed szeikiem. W miarę jak odurzająca i smrodliwa woń dymu coraz więcej przesyca powietrze, derwisze namiętniej wołają i prędzej słowa *la illaha* wymawiają, każdym razem obracając swą głowę. Zdawało mi się, że derwisze ze znużenia upadną na ziemię i krwią się zaleją. Wtem na znak szeika wszyscy przestali wołania, po pauzie powstali, utworzyli koło i stojąc poczęli tak samo coraz namiętniej i coraz szybciej wołać *Allah* (Bóg), przyczem wyginali się w boki za każdem słowem. Ta sama scena powtórzyła się przy wymawianiu 99 razy słowa *hei-hu* (tutaj), lecz z ruchem ciała poprzód siebie aż po pas, a tak namiętnie, tak strasznie dziko, że mrowie przechodziło mię całego na widok takiego nabożeństwa. Nie ludzkie głosy, zwierzęce podrygi połączone ze znużeniem fizycznem ciała aż do szału, wśród półcienia, a wszystko razem owiane niby poważnym nastrojem, robiło wrażenie jakiegoś tajemniczego szatańskiego kultu. Rzecz godna uwagi, że derwisze w miarę większej cyfry widzów, większe urządzają nabożeństwo: dodając taniec z dzikimi skokami, który dawniej kończył się często omdleniem. Dziś ich taniec jest nieco spokojniejszy, a kończą nim nabożeństwo gdy więcej jest widzów. Wtedy gdy ja się znajdowałem na galeryi

z małą garstką ciekawych cudzoziemców, derwisze po opisanem nabożeństwie usiedli w koło — szeik śpiewał, inni w dłonie patrzeli powtarzając »amiń«, wybili parę pokłonów i rozeszli się w milczeniu. Przebieg całego nabożeństwa trwał 1½ godz.; wszystko dla dokładności notowałem na miejscu, a zarazem aby mieć jego autentyczny dokument.



Derwisz wędrowny na ulicach Sarajewa. (Str. 173).

Podobnie jak u żydów szabas, tak u muzułmanów piątek jest dniem świątecznym. Głównie polega na tem, że *imam* odczytuje w meczecie ustęp z koranu i przewodniczy modlitwie; zresztą piątek jest u nich tak samo dniem roboczym jak każdy inny. Daremnie też szukaćby było w meczecie natłoku ludzi i uroczystych nabożeństw. Schodzą się i wychodzą mężczyźni wedle upodobania do wnętrza bożnicy lub tylko do jej przedsionka, umywszy się wprzód w zbiorniku wody, jaki prawie zawsze można znaleźć przed każdą dżiamiją. Między uroczystościami

religijnemi, stosunkowo najokazalej odbywa się obrzezanie chłopców w 6, 7 lub 8-ym roku ich życia, lecz jest ona raczej familijną niż kościelną uroczystością. Wówczas gospodarz domu sprasza nieraz sto i więcej gości bez różnicy wyznania na wspaniałą ucztę.

Wiadomo, że na czele całej czeredy muzułmańskich duchownych, prócz sułtana, jest szeik-ül-Islam, któremu nawet sam padyszach ulega. Rząd okupacyjny chcąc zlokalizować wpływy konstantynopolitańskie, zamianował w porozumieniu z sułtanem najwyższego dostojnika duchownego wyłącznie dla Bośni, z tytułem Reis-ül-Ulema, z płacą równającą się pensyi X. Arcybiskupa Sarajewskiego (8000 złr.). Reis-ül-Ulema dla zachowania tradycyj muzułmańskich, żyje w wielożeństwie, miałem nawet sposobność poznać jego syna, urzędnika w starostwie sarajewskiem. Niżsi duchowni jak imami, muezini, kaimi (słudzy meczetu), nie mając wiele zajęcia na swym urzędzie, oddają się jakiemukolwiek innemu zawodowi w handlu lub przemyśle. Wykształcenia do funkcyj duchownych muzułmańskich, nie potrzeba prawie żadnego, ponieważ ograniczają się do kilku zewnętrznych form i na czytaniu koranu, niezrozumiałego dla samych imamów. Nieco więcej wykształcenia domaga się urząd *kadi*'ego, t. j. sędziego w muzułmańskich sprawach małżeńskich i spadkowych. Przy każdem starostwie jest co najmniej jeden kadi, a ma dosyć do roboty, gdyż rozwody u muzułmanów są bardzo częste.

Polacy zamieszkali w Sarajewie, opowiadali mi o swoich znajomych, z których jeden 20-letni młodzieniec już ma czwartą żonę, drugi 35-letni ożenił się z 8-letnią dziewczynką, lecz ta mu umarła po 2 miesiącach, inny starszy muzułmanin 62 razy żenił się



Groby muzułmanów w Sarajewie. (Zob. str. 184).

i rozwodził. Byle jaki błahy powód dla mężczyzny jest dostatecznym do rozwodu; wystarcza, że wobec dwu świadków oświadczy przed kadim, że ta lub owa niewiasta już nie jest jego żoną. Również i niewiasty muzułmańskie często dają powód do rozwodu, lecz musi być bardziej uzasadniony. Żyje jeszcze w Sarajewie muzułmanka, która już ma 14-tego męża. Wszystkiemi temi sprawami, jak wspomniałem, zajmują się kadi'owie. Dla ich wykształcenia w prawie muzułmańskiem, rząd okupacyjny założył specyalną szkołę, *szeriat*'em zwaną, rodzaj uniwersytetu, gdzie kandydaci na kadich wspólnie mieszkają. Jego budowa jest w najczystszym stylu maurytańskim, podobnie jak i kilka innych rządowych lub miejskich budynków. Dla dokładnego obeznania się z tą piękną architekturą, kilku artystów kosztem rządu bośniackiego w Afryce badało styl arabski. Miałem sposobność zwiedzić szeriat. Po pięknych kamiennych schodach wchodzimy przed bramę, gdzie sługa w bogatym tureckim stroju wziął nas w swą opiekę i sprowadził przełożonego zakładu. Wchodzimy na czworoboczny dziedziniec, otoczony marmurową kolumnadą i krużgankiem. Kopułki sklepienia malowane w desenie o prostych liniach w najmilszych i wesołych barwach. Pośrodku dziedzińca bije wśród basenu fontanna, rzecz nieodzowna dla muzułmanów, skoro koran przepisuje kilkakrotne dziennie umywania. Turek prowadzi nas najpierw do małego meczetu zakładowego, dokąd softowie (uczniowie) z brzaskiem dnia muszą się udać na modlitwę, w przeciwnym razie niedostają śniadania. Celki uczniów zgrabne, pięknie urządzone, lecz bardzo małe. Na biurku zamiast obrazu, u każdego softy widziałem lusterko. Młodzież trochę była zastraszona mojemi odwiedzinami, zdaje się raczej obecnością prze-

łożonego szeriatu, wzrok miała mdły, trochę barani. Mieli na sobie białe turbany, suknie długie ciemnoniebieskie, pas opasujący biodra pstro-pomarańczowy, bufiaste szarawary, zresztą jak inni wyznawcy »proroka.« Kolejno przeszliśmy biblioteczkę, salę jadalną, wykładową i konferencyjną z meblami europejskiemi



Softowie bośniaccy szkoły handlowej w Sarajewie.

a także tureckiemi, dla tych co nie umieją jeszcze po europejsku siedzieć. Softowie po ukończeniu szeriatu otrzymują tytuł *effendi*, czyli »uczonego«, lecz wpierw muszą złożyć egzamin przed rządową komisyą.

Z szeriatu poszedłem w bardzo charakterystyczną dzielnicę czysto muzułmańską, zwaną Čaršia, gdzie

wśród przeszło 50 ulic i uliczek, znajdują się same sklepy a zarazem warsztaty tureckie. Sklep obok sklepu z wyrobami glinianymi, fajansu lub porcelany, w innej uliczce widzę samych szewców i kuśnierzy, to znowu bednarzy, kowali lub snycerzy. Prawie każde rzemiosło ma swoją ulicę. Turek obok Turka poważnie siedzi na dywanie, pali fajkę i popija kawę wśród otwartego na oścież sklepu, tak, że wszystkie towary można objąć okiem, obok niego synowie lub czeladnicy zajęci robotą, nic sobie nie robią z przechodniów gdy staną i obserwują uliczny przemysł. Warto przypatrzyć się niektórym krajowym wyrobom ceramicznym, snycerskim, zwłaszcza cyzelowaniom, kilimkom, haftom o najrozmaitszych rodzimych wzorach. Gdy w dwa lata po okupacyi Bośni hrabia Stanisław Mieroszowski, zajęty wówczas w tym kraju, proponował księciu Wirtemberskiemu, ówczesnemu generał-gubernatorowi Bośni, urządzenie wystawy z oryginalnych przedmiotów południowo-słowiańskich, spotkał się z uśmiechem politowania. A jednak w kilka lat później to, co widzimy w Čaršii Sarajewskiej, ściągało wielu widzów na wystawach w Brukselli, w Wiedniu i w Peszcie. Zresztą samo zewnętrzne urządzenie sklepów, ustawienie w nim gratów na sprzedaż, odrębne urządzenie warsztatów, a wreszcie i Turek zadumany z założonemi pod siebie nogami, sprawiają widok zupełnie nieznany w naszych stronach, i złudzenie pobytu nie w Europie, lecz w Azyi.

Prawie w samym środku Čaršii znajduje się najpiękniejsza i największa dżiamija na półwyspie bałkańskim po sławnym meczecie Sofia w Konstantynopolu (dawny kościół Św. Zofii) i Selima w Adryanopolu. Wybudował ją Usref-beg najznakomitszy Pasza Bośni (1501—1525, następnie od r. 1528—1529). Kolumny



Widok na arcybiskupią katedrę i cerkiew serbskiego metropolity w Sarajewie.

przed meczetem mają pochodzić z dawnego katolickiego kościoła, wnętrze bardzo gustownie malowane, kryje w swych murach wielką świętość turecką: dywan, którym był przykryty grób Mahometa. W r. 1877, dla zachęcenia muzułmanów do walki z giaurami, przysłano tę »świętość« z Konstantynopola do Sarajewa. Lecz Mahomet cudu nie zrobił — muzułmanie musieli uledz. Przed meczetem znajduje się tradycyjna studnia z basenem w cieniu prastarej rozłożystej lipy, obok wkopany w ziemię kamienny słup; rzecz ważna dla tutejszej ludności. Oto doszło do wiadomości któregoś Paszy, że kupcy używają fałszywej miary w sprzedaży towarów. Aby zapobiedz zdzierstwu, kazał Pasza wystawić słup wysokości jednego arszyna (dawna miara turecka) i odtąd każdy z kupujących mógł się przekonać, czy nie został oszukanym.

Najstarszym pomnikiem tureckim w Sarajewie, jest bezsprzecznie *szehidler* — cmentarz »męczenników« t. j. muzułmanów, którzy w walce z chrześcianami polegli. Wśród dzikich skalistych rozpadlin poniżej fortu nad prawym brzegiem Miliacki, przechowały się dotychczas groby z napisami, lecz wszystkie w takiem samem zaniedbaniu jak w innych stronach na tureckiej ziemi. (Zob. rycinę na str. 179).

Wśród wędrówki po mieście, złożyłem między innemi wizytę prezydentowi miasta, muzułmaninowi, którego nazwisko rodzinne brzmi: Mehmed beg Kapetanowić-Ljubušak. Jest to nabab bośniacki, na tysiące liczy kmetów, od których $^1/_3$ część dochodu rolnego *in natura* odbiera. Jeden ze znajomych wyższych urzędników, ofiarował się zapoznać mnie z prezydentem. *Rendez-vous* ułożono w jego pałacu. Na schodach oczekiwał nas syn gospodarza Riza beg i zaprosił do

salonów. Wejście i przedpokój dość pospolite, lecz salony piękne. Pierwszy pokoik wysłany starożytnemi kilimkami, parę w nim fotelików i krzeseł europejskich, zresztą »dywan,« t. j. kanapka niska, obiegająca dokoła 3 ściany. Na nich pozawieszane stare ryciny kolorowane, francuskiej roboty, przedstawiające dygnitarzy tureckich w narodowych strojach. Mehmed beg, t. j. gospodarz domu, który niebawem się zjawił, pokazywał nieco później owe ryciny jako osobliwość. Osobliwością w każdym razie żadną nie były, to tylko było czemś wyjątkowem, że muzułmanin miał u siebie jakie takie obrazy, których wogóle zupełny brak w ich mieszkaniach. Drugi pokój urządzony zupełnie po turecku; prócz »dywanu« wybitego czerwonym adamaszkiem, żadnych niema mebli, ściany tapetowane puste, tylko jedna na nich tablica czerwona ze złotym napisem tureckim: »Jeden jest Bóg i Muhamed jego prorok« ręczna robota Riza bega. Najpiękniejszą ozdobą to sufit drewniany, rzeźbiony i malowany w rozmaite arabeski, kwiaty, wazy z gustownym doborem kolorów, tu i owdzie rozrzucone wypukłe rozety, a pośrodku nowa złocista żyrandola z elektrycznem światłem. Inne salony podobne do opisanych, prócz jednego mniejszego, gdzie beg się modli. Ku Mecce zwrócona nysza, przed nią rozpostarty dywan i poduszka jako instrumenta do muzułmańskiej modlitwy. Okna szerokie jak w werandzie, we wszystkich salonach. Dla mnie i mego towarzysza przyniesiono krzesła, beg Mehmed usiadł na dywanie. Chciał siedzieć po europejsku, lecz w ciągu rozmowy, raz jedna, raz druga noga mimowolnie chowała się pod niego, widocznie jeszcze nie był przyzwyczajony do europejskiego siedzenia. Zarówno ojciec jak syn, są trochę literatami, a młody Riza uraczył mnie swo-

jemi *Pjesme* wydanemi w Sarajewie. Po gawędce i wypiciu nieodzownej kawy i lemoniady, przeszliśmy do ogrodu starannie w stylu włoskim utrzymanego. Pośrodku tryska fontanna, w klatce sokół zadumany, wyczekuje czasu polowania; siadamy w altance, napawając wzrok pięknym widokiem, lecz jakimś smętnym. Pomimo wielkiej uprzejmości bega, i widocznego zadowolenia, że go odwiedziłem, cała wizyta wydała mi się zimną, jakąś bez życia, czuć, że się nie było w domu chrześciańskim. Dwu innych begów bośniackich opowiadało mi, że ród bega Kapetanowicza pochodzi z Imoski w Dalmacyi, gdzie nazywali się Puzdrowiczami. Jeden z nich pojąwszy za żonę majętną muzułmankę, przyjął islam, i jest protoplastą dzisiejszego prezydenta miasta Sarajewa. Zresztą wszyscy bośniaccy begowie (jeśli wyjmiemy zaledwie kilka rodzin) są potomkami dawnych rodzin słowiańskich od wieków tu zamieszkałych. Turcy wkroczywszy do Bośni, zastali ich po większej części nie katolikami lecz paterenami, którym było rzeczą obojętną zostać przy swych dawnych wierzeniach, czy przyjąć islam, byleby tylko utrzymać się przy rodowym majątku. Aczkolwiek także między katolikami bywały wypadki apostazyi, lecz po większej części wytrwali w wierze świętej, i albo zostali wciągnięci w szeregi poddanych, albo emigrowali do sąsiedniej Dalmacyi lub Kroacyi. Majątki ich rząd turecki brał na rzecz skarbu sułtana.

Z innych ciekawych pomników tureckich, chyba dawny pałac paszów z koszarami i twierdza dominująca nad miastem, godną jest oglądania nie tyle dla swoich murów, podobnych do innych tylu twierdz, jak raczej dla swego położenia na skale wysokiej, zkąd widok na miasto prześliczny. Dopiero ztamtąd patrząc



Rodzina katolicka z okolic Sarajewa.

na Sarajewo, poznaje się, jak słusznie Turcy nazwali je bośniackim serajem. Nowsze budowle rządowe wykończone dopiero w ostatnich latach, jak pałac »rządu narodowego«, sądu, ratusz, imponują swoją wielkością i pięknem urządzeniem. Kolumnady granitowe, marmurowe schody, freski, złocenia, sztukaterye z marmuru lub gipsu, pochłonęły miliony. Podobne budowle w Wiedniu lub innej jakiej stolicy byłyby odpowiednie, lecz na stolicę kraju, który ma zostać tylko prowincyą, zdają się za zbytkowne, zwłaszcza, wobec początkującego przemysłu, nierozwiniętego rolnictwa i handlu. To też spotkałem się z wielu zarzutami Turków i nie Turków, że grosz publiczny w Sarajewie zbyt się szafuje, ze szkodą prowincyi. Być może, że rząd okupacyjny miał na oku nie dzisiejsze potrzeby i wymagania, lecz wieku przyszłego, w którym to, co dziś nazywa się zbytkiem, ze wzrostem potrzeb ludzkich okaże się koniecznością.

Wielkiej zasługi i doniosłości dla całej Bośni i Hercegowiny jest założenie przez rząd dzisiejszy narodowego muzeum. Za czasów tureckich nikt nie zajmował się starożytnościami i wogóle jakimikolwiek zabytkami odnoszącymi się do historyi kultury lub historycznego znaczenia, w które jednak kraj bardzo jest bogatym. W pierwszych latach po okupacyi, rozmaici urzędnicy, oficerowie, inżynierowie, archeologowie na własną rękę robili zbiory, a co znaleźli ciekawszego, albo dla siebie zatrzymywali, albo wywozili z kraju. Bardzo wiele cennych bośniackich zabytków otrzymało dworskie muzeum historyi naturalnej w Wiedniu, tamże zbiory towarzystwa antropologicznego, i narodowe muzeum w Zagrzebiu. Dopiero w r. 1885, z inicyatywy ministra wspólnych finansów Kallaya, powstało stowa-

rzyszenie muzealne, mające na celu założenie krajowego muzeum na cenniejsze zbiory z dziedziny archeologii, historyi, etnografii, sztuki i przemysłu krajowego. W dwa lata po zawiązaniu się towarzystwa, tyle nagromadzono okazów, że dwie wynajęte sale nie mogły wszystkiego pomieścić, i potrzeba było myśleć o wybudowaniu osobnego gmachu. A ponieważ w Bośni po inicyatywie zaraz następuje wykonanie, już w styczniu 1888 roku uroczyście otworzono »*bośniacko-hercegowińskie krajowe muzeum w Sarajewie.*« Rząd objął nad niem opiekę, zamianował urzędników, i stale wspiera materyalnie pożyteczny ten instytut. Mówię, że instytut, gdyż nie ograniczono się tylko do zbiorów, lecz założono ilustrowane pismo peryodyczne p. t.: »*Glasnik zemaljskog muzeja*« naukowy kwartalnik, w którym najlepsze pióra zarówno krajowców jak i cudzoziemców zamieszkałych w Bośni, składają się na omawianie wszystkiego co ma styczność z miejscową archeologią, etnografią, historyą, sztuką i t. d. Dla szerszych kół naukowych po za granicami Bośni i Hercegowiny, wszystkie powyższe prace zamieszczane w »*Glasnik'u*« są tłomaczone na język niemiecki i wydawane w Wiedniu od r. 1893 w rocznikach przez to samo muzeum Sarajewskie p. t.: *Wissenschaftliche Mittheilungen aus Bosnien und der Herzegowina.* Dziś Sarajewskie muzeum mieści się w 46 salach i pokojach, a gmach obszerny już teraz po 10-letniem założeniu, wcale nie wystarcza na pomieszczenie nagromadzonych zbiorów, kryjących się tymczasowo w pakach.

Aby mieć jaki taki obraz bogactw znajdujących się w muzeum, wystarczy powiedzieć, że z czasów przedhistorycznej epoki posiada około 20.000 okazów. Wśród nich bardzo ciekawe są zabytki znalezione w r. 1893

wśród budowli palowych z okolic Bihaća, dające niejako cały obraz ówczesnego życia mieszkańców. Miłośnicy zabytków rzymskich, mogą tu znaleźć w 240 numerach działu *lapidarium* mnóstwo napisów, mozajek, rzeźb, odnoszących się do stosunków wojskowych i komunikacyjnych ówczesnych czasów. Bogate zbiory monet rzucają światło na ciemną historyę illiryjską, bośniacką, serbską i bułgarską. Około 1200 denarów słowiańskich z XIII i XIV stulecia, greckie, rzymskie, bizantyńskie i raguskie, weneckie i hiszpańskie *escudos,* a nawet afrykańskie monety wielkiej rzadkości, wszystkie znalezione w tych krajach, obfity dają materyał historyczny. Nie mniej interesujące są okazy (300 sztuk) pieczęci mających związek z historyą Bośni.

Zbiory etnograficzne są najbardziej ciekawemi rzeczami w muzeum. Nie potrzeba jeździć po Bośni, aby się zapoznać z życiem ludu, tak w najdrobniejszych szczegółach wszystko jest tu zebrane i przedstawione. Obecnie posiada muzeum kilkadziesiąt figur woskowych w kostiumach z Bośni i Hercegowiny, Albanii, Bułgaryi. Wszedłszy do sali przeniesionej z mieszkań tubylców, doznałem wrażenia jakobym się znajdował wśród towarzystwa osób żywych. W bogatych gabinetach historyi naturalnej łatwo się obeznać z całą fauną, florą i geologią kraju, i przekonać się, że w Bośni nietylko śliwki i tytoń rosną.

Miło było widzieć, jak w niektóre dnie wolne od opłaty, całe zastępy Bośniaków obojga płci i różnego wieku, spieszyły podziwiać bogactwa i piękności swego kraju. Nie ulega wątpliwości, że założenie muzeum, wielce się przyczyniło do podniesienia ducha między tubylcami, a także do większego poszanowania kraju słowiańskiego daleko za granicami austro-węgier-



Muzułmanki na ulicy w Sarajewie.

skiej monarchii. Że ruch umysłowy z zadziwiającą szybkością wzrasta tutaj, okazują nietylko liczne szkoły przepełnione młodzieżą, ale i obfitość pism rozmaitych odcieni, mogących się jednak utrzymać. »*Sarajewski list*«, »*Bošnjak*«, »*Nada*«, »*Glasnik zemaljskog muzeja*«, »*Glasnik jugoslavenskich Franjevaca*«, »*Vrhbosna*« wydawane po bośniacku łacińskimi głoskami; »*Nada*«, »*Bosanska Vila*«, »*Dabro bosanski Istočnik*« drukowane cyrylicą; wreszcie turecki »*Vatan*«, »*Bosnische Post*« i »*Wissenschaftliche Mittheilungen*«, dają dowód ożywienia literackiego. »Nada« wychodząca cyrylicą i łacińskiemi głoskami co 2 tygodnie *in folio*, bardzo bogato ilustrowane pismo, mogłoby rywalizować tak co do wyboru artykułów, jak i do piękności rycin z najlepszemi pismami belletrystycznemi, wychodzącemi w języku polskim. Zresztą między językiem literackim kroackim a bośniackim niema różnicy i mnóstwo dzieł z Zagrzebia do Sarajewa i odwrotnie przychodzi, gdyż i Sarajewo w sześciu swoich drukarniach nie dozwala maszynom spoczywać.

Nie dałbym prawdziwego obrazu stolicy, gdybym pominął milczeniem *Ilidże*, która to nazwa usty Bośniaka bez różnicy wyznania z radością i pewną dumą jest powtarzaną. Kto znużony pracą w biurze lub warsztacie, pragnie wypocząć wśród wiejskiego powietrza, kto rozweselić się czuje potrzebę, gdy go melanholia napadnie, lub znaleźć ulgę w dotkliwych cierpieniach, spieszy do Ilidże. Półtoragodzinny spacer pieszy można skrócić fiakrem lub koleją i w paru minutach stanąć w ulubionem miejscu Sarajewian.

Ciepłe źródło mineralne w Ilidże znanem było jeszcze Rzymianom, jak się okazuje ze świeżo tamże odkrytych resztek rzymskich budowli, mozajek, monet.

Za czasów rządów tureckich, wysoko je ceniono, lecz aż do okupacyi urządzenia były bardzo prymitywne, mogące zaledwie wystarczyć mało wymagającym tubylcom. Dopiero od kilku lat, minister Kallay podniósł wielkim nakładem Ilidże, czyniąc je podobnem do wielkich miejsc kąpielowych w Europie. Mówią, że całe urządzenie miało kosztować miliony; zato Sarajewianie mogą się rozkoszować prześlicznym parkiem powstałym na pustych łąkach, zwierzyńcem, doskonałemi mieszkaniami w hotelach o pałacowym stylu, bawić w salonach bogato urządzonych, czytelniach i t. p., lecz przedewszystkiem używać najrozmaitszych łaźni, mogących zaspokoić najwybredniejsze gusta. W środku basenu tryska słup wody, wydający na dobę 13.800 hektolitrów. Temperatura wody dochodzi 58° C., a badania chemiczne wykazały między jej składnikami sól glauberską, rozmaite chlorki, a mianowicie: chlorek-wapna i kwas węglowy. Naukowe powagi wiedeńskie bardzo zachwalają kąpiele w Ilidże; to też nietylko z rozmaitych stron Bośni i Hercegowiny, ale i z zagranicy spieszą kuracyusze po zdrowie na *Sarajewsko-polje*. Cała okolica między Sarajewem a Ilidże, przypomina mi nieco swem położeniem Błonia pod Krakowem, sam zakład z parkiem Wolę Justowską. Nie brak do podobieństwa i toru wyścigowego, na którym co roku biegają konie także zagraniczne. Obok parku rząd założył szkołę rolniczą, w której wychowuje 24 synów włościańskich i kształci w poprawnem gospodarstwie. Miło mi było usłyszeć, że baron Romaszkan z Horodenki w Galicyi, przysłał dla tego zakładu 5 rasowych koni, również owce mołdawskie.

Wracając z Ilidże do Sarajewa, wstąpiłem do źródeł rzeki Bosny, która z pod skały 60—70 korytami

wypływa i od razu tworzy wspaniałą rzekę, wzrastającą bezustannie wśród swego biegu przez całą Bośnię, aż wpadnie do Sawy, łączącej swemi wodami większość południowych Słowian.

Ostatni dzień mego pobytu w Sarajewie poświęciłem na wycieczkę, jaką odbywało całe seminaryum katolickie z gremium swoich profesorów. Wybraliśmy się w góry, kilka godzin drogi odległe od stolicy Bośni, na szczyt wysokości 1600 metrów nad poziomem morza. Niektóre rośliny storczykowate i inne, jakie u nas chowają się w wazonikach i pielęgnują w cieplarniach, znalazłem tutaj dziko rosnące, tylko o wiele piękniejsze. Bogactwo tutejszej flory zadziwia botaników europejskich, i wielu zgłasza się po okazy rzadsze do O. Brandisa T. J., znakomitego znawcy przyrody, który w swych zielnikach tysiące gatunków i odmian przechowuje w Trawnickiem kollegium. Nie małą zasługę około poznania flory bośniackiej położył p. Dr. Karliński, który obok swego zawodu lekarskiego także zajmuje się botaniką i swe cenne spostrzeżenia ogłasza w *Wissen. Mittheilungen aus Bosnien und der Herzegowina.* Zauważyłem, że szczyty gór w tutejszej okolicy zwykle mają głębokie zagłębienia lejkowate, kończące się nieraz przepaścią niezgłębioną. Prawdopodobnie są to wygasłe kratery wulkaniczne. Opowiadano mi, że podobne lejkowate zagłębienia znajdują się także w innych stronach Bośni.

W czasie wycieczki miałem sposobność lepiej poznać młodzież duchowną, pierwsze latorośle świeckiego duchowieństwa bośniackiego. Mogę śmiało wyznać, że duch i sposób obejścia się, wcale nie ustępuje naszemu klerowi. U niektórych znalazłem głębsze i szersze umysły jakieby w naszym kraju mogły się



Portyk begowej dźiamii w Sarajewie. (Zob. str. 182).

odznaczać. Jeżeli gdzie, to w Bośni takich wielu potrzeba. Wobec ogólnego indyfferentyzmu wśród warstw dziś dominujących, mających na oku przedewszystkiem materyalne podniesienie kraju okupacyjnego, i wobec zepsucia idącego w parze ze słabą wiarą, do tego podkopywaną przez stosunki z ludźmi najrozmaitszych wierzeń: praca nad odrodzeniem duchowem Bośni jest wielką i trudną. Na szczęście, do warstw niższych nie dotarł jeszcze ferment rozkładowy, psujący podstawy porządku społecznego w Europie. Pobożny i spokojny lud po wsiach i miastach, dalekim jest od nowinek Zachodu, szczerze jest przywiązanym do Kościoła św. i swych pasterzy Ojców Minorytów, którzy przez cztery wieki niewoli tureckiej umieli w nim utrzymać wiarę świętą pomimo srogiego prześladowania. Utrzymanie katolicyzmu w Bośni, jest ich wyłączną zasługą, a zarazem jedną z najpiękniejszych kart w dziejach serafickiego zakonu.

Chciejmy nieco bliżej poznać tych opiekunów bośniackiego ludu i zróbmy wycieczkę do ich najstarszych klasztorów.





ROZDZIAŁ IX.

Fojnica.

Przejazd przez Wisoko. Wspomnienia historyczne. Popas w Kiseljaku. Woda mineralna. Narodowy pieśniarz. Tyb żebraka. O. Batinić. Bogactwa okolicy. Kościół i Klasztor fojnicki. Legenda o wizerunku Matki Boskiej. Srebrne wyroby fojnickie. Skarbiec i archiwum OO. Minorytów. Adh-Namé sułtana Mehmeda II. Firman Skender-Paszy. Herbarz bośniacki. Rękopisy kreślone bosančicą. Jej geneza. Z przeszłości klasztornej. Wychowanie zakonnej młodzieży.

Podczas pobytu w Sarajewie, OO. Minoryci bardzo prosili, abym wśród wędrówki po Bośni, nie pominął zwiedzenia ich klasztoru w Fojnicy, Kreszewie i Sutisce. Tem łatwiej na to się zdecydowałem, ponieważ dawno pragnąłem zblizka przypatrzyć się bośniackim synom Św. Franciszka, którzy w te strony zawitali ze słowem Bożem w samych początkach istnienia swego zakonu, i doniosły wpływ wywierali na katolicyzm w Bośni. A gdzież lepiej można poznać tych prawdziwych apostołów południowej Słowiańszczyzny,

jak nie w centrach starodawnych, gdzie niby w kolebce prawie od lat dziecinnych kształci się młodzież zakonna? W Fojnicy nowicyat, w Kreszewie studyum filozoficzne, w Sutisce nauki teologiczne — więc wszystko należy zwiedzić.

Rozpocząłem od Fojnicy. Koleją żelazną brzegiem rzeki Bosny w godzinę drogi stanąłem w miasteczku Wisoko, liczącem około 5000 ludności, przeważnie muzułmańskiej. Trzynaście meczetów świadczy najwymowniej, że wyznawcy »proroka« rej tutaj wodzą, lecz i cerkiew dominująca nad miastem nam mówi o istnieniu także ludności chrześcijańskiej. Kiedyś Wisoko odgrywało niepoślednią rolę w historyi bośniackiej. Tutaj Stefan Twrtko I, pierwszy ban, który włożył na swą głowę królewską koronę, nadał w r. 1355 Rzeczypospolitej raguzkiej wolność handlu w Bośni, a jego następca król Stefan Ostoja potwierdza w r. 1402 przywileje Zary i Sebenika. Tu również w r. 1404 na sejmie magnatów złożono z tronu Ostoję, oddając koronę królewską Stefanowi Twrtkowi II.

Dziś o swej przeszłości Wisoko mało co wie. Tylko jedna pozostała sława, odziedziczona przez przodków: z wyrobu najrozmaitszych tureckich sandałów. Kuśnierze wisoccy nie mniejszą cieszą się wiekową chwałą, jak cała armia szewców. Wzdłuż głównej ulicy, którą przejeżdżałem, z obydwu stron wisiały skóry, najczęściej safiany, przeplatane otwartymi sklepami obuwia, gdzie obok gotowego towaru, tutejszym zwyczajem, znajdują się warsztaty kunsztu szewskiego. Gdyby kto ciemną nocą jechał przez Wisoko, a nawet obok przejeżdżał, łatwoby poznał z samej woni, jakim zajęciom oddają się dzisiejsi obywatele miasta.

OO. Minoryci z Fojnicy, zawiadomieni o mojem przybyciu, wysłali na stacyę kolejową Wisoko bryczkę, więc wygodnie odbywała się podróż nową drogą wśród okolicy, jak wszystkie w tych stronach, górzystej, pięknej,



Wieśniak hercegowiński.

wydającej się jeszcze bardziej uroczą przy wiosennym pogodnym poranku. Pierwszy popas wypadł w *Kiseljaku.* Mała mieścina położona nad rzeką Fojnicą, już dziś jest głośną dla swych wód mineralnych, a stać się może jeszcze sławniejszą później, gdy tutaj zbudują

większych rozmiarów zakład kąpielowy, i świat lepiej pozna skuteczność »Kisielaku.« Podobno między wszystkiemi wodami w Austro-Węgrzech, Kisielak co do wartości trzecie z rzędu miejsce zajmuje i ma być o wiele skuteczniejszym od Vichy i Giesshüblera.

Han, miejsce popasu, niebawem po moim przyjeździe zapełnił się mężczyznami, którzy kołem otoczyli cygana siedzącego na tapczanie, aby przysłuchać się jego pieśniom epicznym o bohaterach bośniackich, jakie nucił melancholijnym tonem — niby ukraińskie dumki przy dźwiękach »guzli.« Nie był to stary dziad, jak u nas lirnicy, lecz w sile wieku zdrowy mężczyzna, ludowy poeta, dobrze widziany na każdem zebraniu. U Bośniaków, jak wogóle u południowych Słowian, muzyka zwykle służy tylko jako akompaniament do epicznych utworów śpiewnie recytowanych, lub do narodowego tańca zwłaszcza »kolo«, ulubionej zabawy nawet w czasie największych uroczystości. Poważne tony, acz dość monotonne, może nie zadowolą ucha przybysza z Zachodu, lecz nie są pozbawione wdzięku rodzimego, może mającego pokrewieństwo ze starożytną muzyką grecką. Zresztą, cel muzyki bośniackiej jest zupełnie inny jak u nas. Ona tylko towarzyszy słowom, aby silniejszym tonem podniecić fantazyę, a zarazem zwrócić uwagę słuchacza na ważniejsze epizody w opowiadaniu gęślarza. Podczas podróżnego obiadu, zbliżył się do mnie żebrak miejscowy. Typ zupełnie odrębny od naszych dziadów. Podobieństwo jedyne w łachmanach, których strzępy ledwie część ciała zdołały mu okryć. Wyraz twarzy tak miał poważnie łagodny, tak nie natrętny, lecz ze spokojem wyczekujący mojej decyzyi, że od razu schwycił mnie za serce, i uważałem się za szczęśliwego, mogąc po-



Park w Ilidże pod Sarajewem. (Zob. str. 192).

dzielić się z nim obiadem. Żebrak zanim jeść zaczął, w kąciku usiadł i nie zwracając na nikogo uwagi, począł długo się modlić. Gdy spożył dary Boże, znowu się modlił, a tak szczerze, tak pięknie, że wartoby było go odmalować.

Spostrzeżenia nad otoczeniem przerwało przybycie gwardyana fojnickiego klasztoru Ojca Batinić. Bawił w Kiseljaku na kuracyi, pijąc wodę tutejszą. Po chwili zaprzęgnięto konie i pojechaliśmy do jego prowizorycznego mieszkania. Dotychczasowy dom Boży urządzono po r. 1878 ze szopy na zboże, w której składano dziesięciny *in natura* rządowi tureckiemu jako podatek. Rząd okupacyjny takiego podatku nie przyjmuje, więc i szopę jako niepotrzebną, oddano na kościół. Była to zwykła drewniana buda, rodzaj stodoły, i tam dla potrzeb ludności przechowywano Najświętszy Sakrament. Lud był zadowolony, że choć taki ma kościołek, lecz OO. Minoryci na to w obecnych stosunkach pozwolić nie mogli, zebrali fundusz i wystawili nowy na wzgórzu, w dominującem na całą okolicę położeniu, piękny z kamienia i cegły. Gdy w r. 1898 znowu byłem w tych stronach, mogłem odprawić Mszę św. już w nowym kościele. O. Batinić jest miłym typem syna Św. Franciszka. Uprzejmy, pokorny, skupiony zakonnik, najmilsze na mnie zrobił wrażenie, zwłaszcza, gdy później dowiedziałem się, że jest autorem cennego historycznego dzieła o pracach OO. Minorytów w Bośni i Hercegowinie [1]).

Uprzejmy właściciel hanu, do którego zajechałem, do bryczki włożył mi gąsior wody kisielaku, mogliśmy

---

[1]) Djelovanje Franjevaca u Bosni i Hercegovini za privih šest viekova njihova boravka. Nacrtao Fra Mijo Vjenceslav Batinić bosanski Franjevac. U Zagrebu. Svezak I, 1881. II, 1883. III, 1887.

się więc uraczyć z Ojcem Gwardyanem doskonałym napojem skoro on przystępując do spółki, dał doń wina dobrego. Po chwili ruszyliśmy w dalszą drogę do Fojnicy. Czternastokilometrowy gościniec wije się wśród gór nad brzegiem Fojnicy obfitującej w raki i pstrągi.



Serbowie ze Sarajewa.

Piękne wzgórza Cvetnicy i Krusowskiej-Kosy, dochodzące niemal 800 metrów wysokości i jeszcze wyższe szczyty Stogić Planiny, oddawna znane są z bogactwa kruszców: żelaza, miedzi, srebra i rtęci. Dwa miasta w tej okolicy Fojnica i Kreszewo, przez całe

stawiono Wniebowstąpienie Pańskie. Całość przedstawia się okazale i gustownie. W jednym z bocznych ołtarzy znajduje się cudowna statua Matki Boskiej.

O niej opowiadali Ojcowie następującą historyę: Gdy Turcy wpadli do Bośni i zajęli Fojnicę, konno wtargnęli do wnętrza kościoła. Jeden z Turków na widok statuy, pyta: »Co to jest?« Gdy mu wyjaśniono, Turek zbluźnił i ciął pałaszem w lewą rękę, na której znajdowało się Dzieciątko Jezus. Tradycya mówi, że wówczas krew trysnęła z ręki, Matka Boża przełożyła Dzieciątko na rękę prawą, co widząc Turek, padł u Jej stóp nieżywy.

W kościele wisi parę lamp srebrnych; wszystkie prześlicznej ażurowej roboty, zostały wykonane z miejscowego kruszcu i przez fojnickich artystów. Jedna z nich gorejąca przed Najświętszym Sakramentem, bardzo wielkich rozmiarów, odznacza się gustowną robotą. W skarbcu znajduję wiele innych kościelnych przyborów, jako to: kadzielnice, kielichy, monstrancye, relikwiarze, krzyże, wszystko ze srebra fojnickiego, dzieła rąk miejscowych złotników. Bogate ex-vota, stare ornaty, antypedya kapiące od złota, świadczą o dobrym guście i zamożności ofiarodawców, w których rzędzie była kiedyś i królowa Katarzyna, żona Tomaszewicza, ostatniego z dynastów bośniackich, która po inwazyi tureckiej schronienie znalazła w Rzymie, tamże umarła i pochowaną została w kościele zwanym *Ara-coeli*. Cenniejsze od złota i srebra skarby przechowuje biblioteka, a zwłaszcza archiwum OO. Minorytów. Między osobliwościami przechowują Ojcowie *Adh-Namé* z roku 1463, czyli »orędzie cesarskie« sułtana Abdul-Mehmeda II zdobywcy Bośni, nadające OO. Minorytom bośniackim wolność opowiadania Ewangelii. Dokument

po turecku spisany, wygląda jak bulla papieska, i jest przechowywany w srebrnej szkatułce oszklonej. Tradycya zakonna podaje, że po zdobyciu twierdzy Jajce i ścięciu króla Stefana Tomaszewicza, gdy sułtan Mehmed powracał do Sarajewa, w miejscu zwanem *Milodrażewo polje* pod Fojnicą, rozbił swe namioty. Jego żołnierze schwytawszy O. Anioła Zwiezdowića, gwardyana fojnickiego klasztoru, przyprowadzili do obozu przed Mehmeda. O. Anioł z taką odwagą wystąpił przed sułtanem, że mu zaimponował i uzyskał *Adh-Namé,* którem katolikom udzielono wolność wyznania. Wzamian za to zobowiązał się O. Zwiezdowić wpłynąć na chrześcian uciekających z Bośni, aby powrócili do swoich wiosek. Był to wielkiej doniosłości dokument, a jakkolwiek bardzo był gwałcony przez paszów bośniackich, zawsze był tarczą w ręku OO. Minorytów, którą się zasłaniali przed silniejszemi pociskami nieprzyjaciół wiary. Zdawałoby się rzeczą dziwną, dlaczego sułtan upojony zwycięstwy, nie zgniótł od razu wszystkiego co chrześciańskie w Bośni. Byłby może na to się zdecydował, gdyby chrześcianie swoją emigracyą nie grozili wyludnieniem zdobytego kraju, a tem samem pozbawiliby nowego pana źródeł dochodu z haraczów i danin. Tem się tłómaczy łatwość w udzieleniu *Adh-Namé* O. Zwiezdowiczowi, co nie uwłacza jego zasłudze w zdobyciu firmanu, gdyż on właśnie miał odwagę wypowiedzieć w oczy sułtanowi, co czeka Bośnię, gdy zacznie prześladować chrześcian [1]).

Widocznie wezyrowie pomimo firmanu Mehmeda prześladowali chrześcian i OO. Minorytów, skoro tenże sam O. Zwiezdowicz w dwa lata przed śmiercią uprosił

---

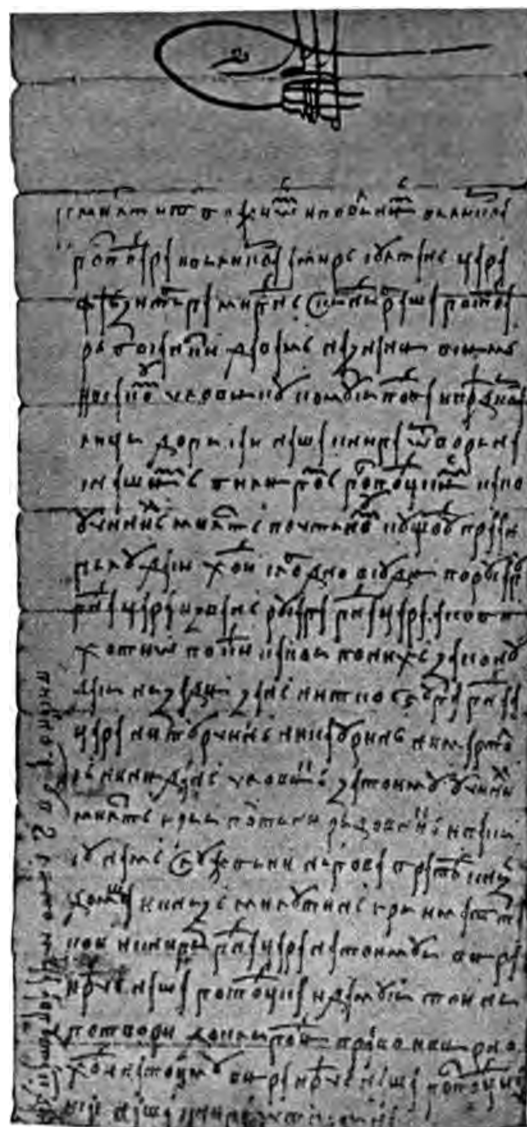
[1]) Cf. Fr. Mijo Batinić l. c. Svezak I, str. 131 i nast.

sobie za czasów sułtana Bajasita II, nowy podobny firman od ówczesnego wezyra Bośni *Skender-Paszy,* spisany w roku 1486 pismem i językiem bośniackim. Dokument, którego podobiznę fotograficzną załączamy na str. 209, należy do najcenniejszych w fojnickiem archiwum. Godnem jest uwagi, że najwyższy dostojnik turecki w Bośni, używa w urzędowem orędziu języka bośniackiego, a jak mówią znawcy, wcale poprawnie. Niezbity mamy w tem dowód, że nawet Turek szanował język kraju podbitego i to przeszło 400 lat przed erą naszej cywilizacyi.

Nie mniej cennym historycznym dokumentem, acz dla innych względów, jest *księga herbów* dawniejszej szlachty bośniackiej. Podaje nam ona herby tych familii, które wskutek inwazyi tureckiej wyemigrowały w cudze kraje, zachowując swe imie rodowe i herb, również rodzin, które przechodząc na islam wprawdzie zmieniły swe nazwy, jednak zachowały tradycye swego szlachectwa, i w końcu rodów, o których pamięć z biegiem czasu zaginęła. Wielu przecenia herbarz fojnicki, twierdząc, że jest oryginałem z r. 1340, spisanym i malowanym przez popa Rupcića; inni odmawiają mu heraldycznej wartości. Bądź cobądź jest on bardzo cennym zabytkiem i heraldycy z powołania bliżej określą stopień jego wartości historycznej. Najprawdopodobniej jest on kopią herbarza sporządzonego przez rodzinę Ohmučević w XV wieku, z końcem królestwa bośniackiego lub w pierwszych początkach panowania Turków [1]). Herbarz jest malowany na gru-

---

[1]) Cf. Wissenschaftliche Mittheilungen l. c. II Bd. p. 337—341 der Maler des Wappenbuches von Fojnica von Dr. Ciro Truchelka. (Wien, 1894).



Rękopis Skender-Paszy nadający przywileje OO. Minorytom w Fojnicy. (Zob. str. 208).

bym papierze w formacie wielkiej 4-ki i zawiera 141 kart. Na pierwszej stronie jest wizerunek Matki Bożej otoczonej chmurkami, pod nią wielki półksiężyc, a jeszcze niżej oznaki herbowe. Z drugiej strony tejże karty przedstawiono monogram Chrystusa także wśród chmur, poniżej ŚŚ. Kosmę i Damiana. Na pierwszej stronie następnej kartki znajduje się tytuł dzieła, a na drugiej Św. Hieronim klęczący pod krzyżem. Na dalszych 11 kartkach wymalowano herby państw bałkańskich, po nich następują herby szlachty bośniackiej, również niektóre serbskiej i albańskiej jak Dukaginów i Kastriotów.

Wertując stare regestra klasztorne, znalazłem ciekawe szczegóły odnoszące się do wartości pieniędzy przed stu laty, z których się okazuje, że wzrosła od tego czasu prawie 10 razy [1]).

Między rękopismami znajduję najwięcej kazań starannie pisanych, odrębnem pismem słowiańskiem, zwanem *bosančica*. Wiadomo, że odróżniamy dwa główne słowiańskie sposoby pisania: głagolicę i cyrylicę. Głagolica powstała u Słowian południowych razem z wprowadzeniem Chrześciaństwa. Jest ona oryginalnem słowiańskiem pismem, zupełnie wystarczającem na oddanie wszystkich słów i tonów. Pojedyncze litery tego pisma składają się z rozmaitych dekoracyjnych cząstek, które wymagają w pisaniu szczególniejszej uwagi, a swą

---

[1]) W roku 1798, dzienna płaca robotnika wynosiła 1 grosz. W tymże roku za 509 oka soli płacono 35 groszy i za 1 oka oliwy 1 grosz (dziś płacą za 1 oka 70 centów); za konia 90 groszy; 4 podkowy 1 grosz; 50 talerzy 5 groszy; 90 oka cebuli 3 grosze; 90 oka mięsa 15 groszy; 57 oka ryby 14 groszy.

1 oka bośniacka = 1·28 kilograma; 1 grosz bośn. = 16 dzisiejszym helerom czyli 8 centom w. a.

malowniczością i epigraficznym charakterem, nadają się do napisów i dzieł liturgicznych [1]). Gdy jednak zaczęto używać głagolicy do codziennego użytku, przy zwykłem prędszem pisaniu okazały się niedogodności. Wskutek tego niejednokrotnie zaczęto posługiwać się alfabetem cyrylickim, z którego utworzył się następnie bośniacki, nazwany *bosančica*.

Ani cyrylica ani bosančica nie są oryginalnem pismem, lecz przeróbką pisma greckiego, co okazuje się przedewszystkiem na starych słowiańskich napisach »lapidarnych.« Pomimo tego, bośniackie pismo w ciągu biegu czasów rozwinęło się samoistnie, co najwięcej okazuje się w potocznem pisaniu, i to tak dalece, że ledwie można w niem dostrzedz ślady źródła, na którem się rozwinęło. Podczas gdy cyrylica rozwijała się odstępując od greckiego alfabetu i przyjmując łaciński, i ustaliła alfabet z wzrostem drukowanej literatury słowiańskiej, bosančica pozostała pismem ludowem, bez literatury, służąc tylko codziennym potrzebom ludu. W braku stale oznaczonych form pisania, stosowała się do indywidualizmu jednostek. Wskutek tego nawet ci co używali bosančicy, nie zawsze umieli wzajemnie czytać swe pisma. Sami Bośniacy dwa rodzaje rozróżniają bosančicy: klasztorną i begowską. Pierwsza rozwinęła się wśród ludzi stojących znacznie bliżej kultury europejskiej, niż na dworach i zamkach begowie. Ćwiczenie się w niej było znacznie większe i dokładniejsze, a wśród takich okoliczności forma pisowni ustalała się i przybierała pewną piękność w liniach. Przeciwnie działo się z pismem u szlachty muzułmań-

---

[1]) O używaniu głagolicy w liturgii, nieco mówiłem w dziele p. t. *W Dalmacyi i Czarnogórze*. Kraków, 1896. Str. 60 i 312.

skiej. W begowej bosančicy litery są tylko znakami pojedynczych głosów, powiązanymi bez żadnej reguły. Beg muzułmański nie pyta ani o ortografię, ani o gramatykę, nie oddziela słowa od słowa; pisze jak wymawia jednym ciągiem. Delikatniejsze fonetyczne odcienia uchodzą jego ucha, zmieniając nietylko kształty jego liter, lecz i same litery.

Większe lub mniejsze stosunki z Wschodem lub Zachodem pojedynczych rodzin, gdzie najczęściej w braku szkół nauka pisania przechodziła przez całe generacye z ojca na syna, stopień wykształcenia jednostek, wreszcie wprowadzenie tureckich słów, a więc i nowych tonów do języka bośniackiego: wszystko razem łatwo nam wyjaśni, dlaczego alfabet w rozmaitych rękopisach bosančicą tak bardzo się zmieniał. Dziś już nie wielu ludzi posługuje się tem słowiańskiem pismem, a za lat kilkadziesiąt, będzie ona zagadką do rozwiązania jedynie przez paleografów.

W klasztornem archiwum obok zbioru rękopisów, znajduje się nie mniej cenna kolekcya monet po większej części rzymskich, lecz prawie wyłącznie tylko srebrnych i złotych.

Gdyśmy kończyli oglądanie klasztoru, dano znać do stołu. W refektarzu zebrała się młodzież zakonna, nowicyusze obok starych Ojców wąsatych. Wskazano mi miejsce honorowe, obok usiadł staruszek 81-letni, lecz pełen siły bośniacki Minoryta o zawiesistym wąsie spadającym aż na piersi. Jeszcze dzisiaj wszyscy tutejsi Minoryci noszą wąsy. Za tureckiego panowania Ojcowie nie wychodzili po za mury klasztorne w sukniach duchownych, więc do świeckich sukni dostrajali wygląd twarzy.



Urządzenie kolei zębatej przed przekryciem pod górą Iwan.
(Zob. str. 241 i nast.).

Po zwykłych modlitwach odmawianych przed jedzeniem, jeden z nowicyuszów donośnym pięknym głosem śpiewał parę wierszy z Pisma św., poczem Ojciec Gwardyan dał znak na przerwanie zakonnego milczenia i rozpoczęła się swobodna gawędka. Nowicyusze na osobnem miejscu siedzieli z kapturami na głowach, oni też usługiwali przy stole. Rozmowa toczyła się w języku bośniackim i łacińskim; w całym klasztorze jeden tylko Ojciec mówił także po niemiecku, a drugi po włosku.

O przeszłości fojnickiego klasztoru nie umieli mi dać Ojcowie dokładnych informacyj. Prawdopodobnie został założonym w samym początku przybycia Ojców Minorytów do Bośni w XIII wieku. W r. 1463 zniszczony do szczętu przez Turków, na nowo został odbudowany. Lecz w r. 1521 znowu muzułmanie zrównali go z ziemią pod pretekstem, że zanadto silne z kamienia miał mury, a natomiast dozwolono wystawić inny z niepalonej, lecz tylko suszonej na słońcu cegły i miękkiego drzewa. Większe nieszczęście groziło Ojcom fojnickiego klasztoru, gdy w r. 1635 Pasza bośniacki począł srożej prześladować katolików. Ponieważ firman sułtana Mehmeda II trwał w swej mocy i zabraniał prześladowania, potrzeba było je uzasadnić jakiemś przestępstwem. Otóż rzucono potwarz na OO. Minorytów, że poświęcili studnię służącą do rytualnych muzułmańskich omywań. Wskutek domniemanej »zbrodni« uwięziono wszystkich Ojców fojnickich, a Pasza wydał wyrok spalenia ich żywcem na stosie. Daremne były zabiegi, aby wykazać oszczerstwo; wkońcu tyle tylko Ojcowie mogli uzyskać, że karę śmierci zamieniono na haracz 7000 skudów [1]), z których Pasza 4000

[1]) 1 skud = 5 naszym koronom.

otrzymał, resztę zaś inni urzędnicy tureccy [1]). W następnych wiekach jeszcze parę razy burzono i stawiano klasztor fojnicki; ten który jest obecnie, najnowszej sięga epoki bieżącego stulecia, a sam kościół dopiero przed paru laty ukończono.

Podziwiać należy pobożną hojność katolików fojnickich, na tylokrotne nieodzowne wydatki przy budowie klasztoru. Jest ona również dowodem zamożności tamtejszego ludu i dobrego wpływu Ojców na swoich parafian.



Wieśniaczka z okolic Newesinje.

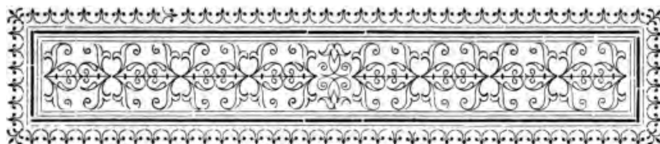
Nowicyusze dodatnie na mnie zrobili wrażenie; widać było u nich pewną swobodę w obejściu i naturalność w praktykach życia zakonnego. Bo też prawie od kolebki oddychają atmosferą zakonu Św. Franciszka. Oni ich chrzcili, uczyli katechizmu w latach dziecinnych, przygotowali do pierwszych Sakramentów. Gdy chłopcy podrośli, szli do kościoła służyć swym Ojcom duchownym do Mszy św. i innych funkcyj kościelnych. Wreszcie awansując na studentów mieszkali w klasztorach, w rodzaju bursy, gdzie czas wolny od nauki obracali na posługę klasztorną. Wreszcie szli do małego gimnazyum w Gučia-Gora, w okolicy Trawnika, zostającem pod kierunkiem OO. Minorytów, a ztamtąd do nowicyatu. Mniej więcej wszyscy taką karyerę prze-

[1]) Cf. P. Fermendžin: *Acta Bosnae* l. c, str. 423 i nast.

chodzą, zanim dostaną się do nowicyatu i przywdzieją habit zakonny. W nowicyacie uzupełniają klerycy swoje wiadomości w językach klasycznych i historyi ulubionym przedmiocie Bośniaków. Następnie, jeśli nie idą za granicę do Węgier lub do Włoch, czasem do Innsbrucka na wyższe studya filozoficzne i teologiczne, kształcą się w tychże naukach u siebie, albowiem w konwencie Kreszewskim (Kreševo) odbywają się wykłady filozofii scholastycznej, w Sutisce teologii.

Zaglądnijmy i do tych prastarych klasztorów.





ROZDZIAŁ X.

Kreszewo.

Droga do Kreszewa. Położenie i wygląd miasta. Klasztor OO. Minorytów. Pobożność mieszczan; ich przemysł domowy, mieszkania i ubiory. Rezydencya biskupów. Zamek bogomilskich pseudo-papieży. Wspomnienia z czasów prześladowania. List papieża Grzegorza XIII do Ojców Kreszewskiego konwentu. O. Martić poeta.

W drugiej połowie marca roku 1898, po forsownej missyi wśród kolonistów polskich w dyecezyi banialuckiej, wstąpiłem na wypoczynek do Kreševa, do konwentu OO. Minorytów, gdzie, jak wyżej wspomniałem, znajduje się studium filozofii dla bośniackiego kleru zakonnego. Wypadało mi jechać na Jajce, Trawnik, Wisoko, do Kisielaku. Tym razem przybyłem do tego miejsca nocą, a choć nie zastałem dawnych mych znajomych, gościnny proboszcz Minoryta znalazł wygodny pokoik w ciasnem swem prowizorycznem mieszkaniu, ogrzał i nakarmił, a w dodatku, dnia następnego w nowo wybudowanym kościele, gdy zabrakło służącego, do Mszy św. sam mi służył.

Z Kisielaku do Kreszewa droga była dla mnie nową. Turczyn wiózł prostym wozem trzęsącym po okropnych wertepach, dzikimi lesistymi górami. Gdy przebyliśmy kilka kilometrów, okolica coraz bardziej stawała się piękną i ludną. Oko mogło swobodnie coraz szerszy obejmować widnokrąg. Na popas wstępujemy do hanu katolickiego. Lud, który się tam zgromadził wskutek ulewnego deszczu, był pełen swobody i delikatnej uprzejmości, robiąc wrażenie, iż nosi na sobie piętno cywilizacyi, jakie nawet u najprostszych ludzi wyciska prawdziwy chrystyanizm. W miarę jak się zbliżamy do Kreszewa, dwa pasma gór stożkowatych zaczynają się ścieśniać. W ich ostrym kącie już zdala widać jak się miasto rozsiadło. Przez cały czas drogi jechaliśmy brzegiem rzeki, z którą się łączyły rozliczne dopływy strumyków spadających jak wstęgi z górskich wąwozów. Lud okoliczny chwyta je w mniejsze lub większe koryta, ustawia młynki, których kilkadziesiąt po drodze widziałem. Ciekawością zdjęty zaglądnąłem, jak taki młynek wygląda: oto maleńka buda drewniana zamyka w sobie nasze zwykłe żarna, z tą tylko różnicą, że są one obracane, nie jak w naszych stronach przez gosposię domu, lecz siłą wody spadającej na drewniany kołowrotek. Prawie każda rodzina do własnego użytku ma swój osobny młynek, zamykany kłódką.

Po czterech godzinach drogi wjeżdżamy w miasto długą ulicą brukowaną, lecz na sposób turecki, t. j., że nie ociosane bryły kamienne rzucone na ulicę, silne koła wozów bośniackich szlifują, nadając im formę łysych głów. Po obydwu stronach kreszewskiego *corsa,* szeregiem stoją piętrowe schludne domki w stylu zupełnie tureckim; a więc na dole sklepy na oścież otwarte,



Nad Neretwą przy Glogošnicy. (Zob. str. 241 i nast.).

tak jakby bez przedniej ściany, piętro z licznemi oknami szersze od parteru. Pomimo deszczu, wszystko malowniczo i czysto wygląda. Miasto kończy się klinem, gdzie dwa pasma gór ze sobą się łączą. Konie zatrzymują się, dalej idziemy szeroką brukowaną ścieżką, lecz dosyć stromą, ku klasztorowi, zbudowanemu na jednem ze wzgórz dominujących nad Kreszewem. Położenie prześliczne i sam klasztor imponuje swymi rozmiarami. Wchodzimy na pierwszy dziedziniec przed skrzydłem zabudowań, z lewej strony przepaść, z prawej skały. Pomiędzy skałą a budynkiem utworzono tunel, którym dostajemy się na drugi dziedziniec obszerniejszy i przed główny front konwentu dwupiętrowego. Zaraz zjawił się Ojciec wikary klasztoru Bosiljko Bekavać i po szerokich wspaniałych schodach, po bardzo schludnych korytarzach wprowadził do gościnnego pokoju. Niespodziewałem się na bośniackiej ziemi znaleść tak pięknie urządzony dom zakonny. Przytem wszędzie taką czystość znalazłem, jakiej dotychczas nigdzie nie dostrzegłem w podobnych konwentach, nawet za granicą. O. Gwardyan Stiepan Momčinović, sympatyczny Minoryta, Kreszewianin, lecz jako dawny missyonarz z Konstantynopola, z pewnym pokostem szerszej cywilizacyi, swoją uprzejmością tak mnie nastroił, że odrazu czułem się jak w domu.

Bardzo miłego doznałem wrażenia, gdy pod wieczór chłopaczek, kandydat franciszkański, począł dźwięcznym a silnym głosem śpiewać na korytarzach piękną nutą: *Aqua benedicta deleantur nostra delicta.* Tak śpiewa codziennie wieczorem na każdym korytarzu, następnie wchodzi do celi, wnosi naczynie z wodą święconą, klęka i prosi o błogosławieństwo. Kapłan skrapia wodą celę, błogosławi chłopca, na co ten odpowiada dobry wieczór

i odchodzi. Podobny zwyczaj zachował się w 3 najstarszych konwentach OO. Minorytów bośniackich. Lud tutejszy bardzo jest pobożny. Pomimo, że w Kreszewie nie ma więcej katolików jak 2000, przecież obecnie jest w rozmaitych stronach 20 kapłanów Kreszewian, a niedawno było ich równocześnie aż 35.

Podczas Mszy św. Kreszewianie modląc się, ręce trzymają podniesione, jak »orante« na katakumbowych rzymskich freskach; w czasie podniesienia, gdy kapłan przyklęka oddając cześć Najświętszej Hostyi, lud ręce spuszcza, schyla głowę i ziemię całuje raz i drugi na znak czci Najśw. Sakramentu. W niedziele i święta począwszy od *Sanctus* aż do Komunii kapłana, lud śpiewa całe życie Chrystusa Pana, a najdłużej sceny z męki Zbawiciela. Nowatorzy chcieli znieść ten zwyczaj uświęcony wiekową tradycyą, jako przeciwny rubrykom, lecz X. Arcybiskup Stadler polecił go zachować.

Nazajutrz po przybyciu zwiedzam miasto. Osobliwości w szerszem znaczeniu niema tu żadnych, prócz źródła z wiecznie letnią wodą, które bije ze skały wśród groty zawsze pełnej zieleni. Nawet podczas mrozów temperatura wody nie zmienia się (około + 16° R.) i może służyć do kąpieli. Dla obcego nie bez interesu są same mieszkania mieszczan. Prawie wszyscy zajmują się kowalstwem i wyrabiają gwoździe i podkowy. Miejscowa ruda żelazna posiada 70% czystego kruszcu i należy do najbogatszych w całej Bośni. Dawniejszymi czasy, kiedy w tych stronach żadnej fabryki nie było, mieszczanie żyli w dostatku, bo przemysł domowy dostatecznie się opłacał. Od lat kilku, zwłaszcza gdy założono fabryki w okolicy Visoka, w Varešu, gdzie się jeszcze obfitsze znajdują kopalnie rudy żelaznej, domo-

rodni fabrykanci podków i gwoździ nie mogą utrzymać fabrycznej konkurencyi. W ciągu kilku ostatnich lat, 35 rodzin Kreszewskich wyemigrowało, nie mając żadnego zarobku w swem mieście. Pomimo tego, znalazłem tutaj zamożność, jakiej w naszych stronach wśród tej samej warstwy społeczeństwa daremnieby się szukało. Zwiedziłem co najmniej 10 mieszkań w rozmaitych punktach miasta. Domy prawie wszystkie są piętrowe: na dole warsztaty, sklepy i składy, na piętrze *soby*, t. j. pokoje mieszkalne. Co najmniej każdy ma dwie *soby* na piętrze, często 3 lub 4 pokoje. Nigdzie ze sobą nie są bezpośrednio połączone, lecz z osobnem wejściem ze sieni, na sposób turecki. Schludność wszędzie zastałem nadzwyczajną. Ściany, podłogi i powały, wszystko lakierowane olejną farbą, lub co najmniej czyściutko wymyte, na tem leżą lub są porozwieszane dywany ręcznej roboty, lub maty. Mieszkańcy zostawiają *nannule* na dole, lub w piętrowym przedsionku, a wchodzą boso lub w pończochach do *soby*. Jedna z mieszczek nie należąca wcale do najzamożniejszych, prezentowała mi całą swą garderobę: znalazłem pstre suknie jedwabne, kilka kolorowych aksamitnych staników bogato haftowanych złotem, z których jeden maleńki kosztował ją 75 złr., pantofelki skórzane haftowane jedwabiem i złotem, wyszywane koralami i t. d., co wszystko przedstawiało wartość kilkuset złr. austryackiej waluty. Każdy pokoik zawieszony obrazami Świętych, ma 4—5 okien okratowanych, aby dzieci nie wypadały na ulicę.

W kilku domach zastałem krosna i tkalnie. Zajmują się tym domowym przemysłem po większej części dziewczęta, a niektóre z nich umyślnie dla wykształcenia się bawiły przez parę miesięcy w Sarajewie, gdzie na większą skalę wyrabiają prześliczne »smyrneńskie«



O. Martić. (Zob. str. 229).

i »perskie« dywany. Wzory i kolorowe wełny otrzymują pracownice również ze Sarajewa. Widziałem dywany wykończane przez dwoje dziewcząt, za które spodziewają się otrzymać 80 do 100 złr. Są to jednak wyjątki; z nich najzgrabniejsze w całem Kreszewie uważają się za szczęśliwe, jeśli po 11½ godzinnej pracy mogą dziennie zarobić 80 ct., inne i tego zarobku nie mają.

Kiedyś przed wiekami, Kreszewo było najsławniejszem a może i największem miastem bośniackiem, i siedzibą biskupów. O. Farlati wspomina [1]) o czterech pierwszych biskupach: Władysławie (r. 1141), Mikowanie (r. 1150), Radagoście (r. 1171 lub 1197) i Danielu (około r. 1200), którzy po długiej przerwie rozpoczynają szereg katolickich pasterzy w Bośni, chociaż w latach następnych biskupi zmieniali z biegiem czasu i okoliczności miejsce swego pobytu. Niestety, biskup Daniel sprzeniewierzył się swemu posłannictwu i został stronnikiem herezyarchów. Były to czasy bana Kulina, chwilowo świetne pod względem materyalnym dla Bośni, lecz zarazem najsmutniejsze pod względem religijnym. Prześladowanie Kościoła przez bana i jego wspólników, spowodowało papieża Innocentego III do szukania opieki nad katolicyzmem we Węgrzech i wysłanie legata Jana de Casamaris, który na czas pewien zażegnał niebezpieczeństwo odstępstwa całej Bośni. Jednak nie mógł zapobiedz wyborowi bogomilskiego pseudo-papieża, który swą władzę nietylko nad Bośnią, lecz także nad całą Illiryą, Włochami i dzisiejszą Francyą wykonywał przez swego wikaryusza imieniem Bartłomieja, i rezydencyę swoją w Kreszewie założył.

Po dziśdzień istnieją ruiny zamku, w którym bogomilscy pseudo-papieże mieszkali. Skorzystałem ze spo-

---

[1]) Illirici Sacri Tomus IV, p. 37 i nast.

sobności zwiedzenia tych ruin i w dniu 23 marca bieżącego roku (1898), w towarzystwie jednego Minoryty zrobiłem do nich wycieczkę. Droga prowadziła pod górę wąwozem nad strumykiem »Biskupi« tak nazwanym, ponieważ dla Kreszewskich biskupów czerpano zeń wodę do picia, i obok »źródełka dziewiczego« o krystalicznej wodzie, tryskającej wprost z twardej skały wąziutkim otworem. Obfity śnieg spadł świeżo w nocy, więc brodziliśmy w nim po kolana, spinając się po górach. Ledwie zdołałem wydostać się na najwyższy szczyt gór, na którym znaleźliśmy ruiny dawnego zamku z basztami. Dzisiaj jeszcze *grad*'em go nazywają (gród). Dobrze można określić, gdzie były mieszkania, gdzie mury obronne i wieże. *Grad* dominował nad całą okolicą, i zdawał się nie do zdobycia. Widok z jego szczytu mieliśmy prześliczny: dokoła góry koniczne lasem pokryte, tylko od strony miasta przestrzeń otwarta, w niej klasztor dominujący nad grupami domów, rozsiadłych wzdłuż długiej prostej jak strzała ulicy. Tu było centrum bogomilskiej herezyi, tu patereni, albigensi, kattarowie otrzymywali rozkazy od swej najwyższej władzy daleko na Zachód. Dziś *grad* »niezdobyty« w ruinach; o tej herezyi tylko stare księgi wspominają; upadła jak wszystkie inne, odłączone od Kościoła św., który jeden na niewzruszonej opoce Piotrowej spoczywa.

Pseudo-papieże bogomilscy *didami* nazwani, i ich kapłani (stronnyki), po zburzeniu kościoła i rezydencyi katolickich biskupów, dość długo tutaj się utrzymali, gdyż akta historyczne z pierwszych lat XV w. jeszcze o nich wspominają [1]).

---

[1]) Cf. Fermendzin: *Acta Bosnae* str. 71; *Franjevacki Glasnik* g. 1896, str. 183 i n.; Farlati: *Illirici Sacri* T. IV, p. 45.

Około roku 1446 zdaje się, że tych *didów* bogomilskich już nie było więcej, skoro w Kreszewie rezydował biskup Willemirus Wladimirowicz obrządku gr.-kat. jedyny tego rytu, jakiego znalazłem w znanych nam współczesnych źródłach [1]).

W późniejszych czasach, zanim biskupi bośniaccy przenieśli się do Diakowaru, mieli zazwyczaj w Kreszewie swą rezydencyę, a dwu z nich leży pochowanych w podziemiach Kreszewskiego kościoła Św. Katarzyny aleksandryjskiej męczenniczki. Przed okupacyą Bośni był on największym i najpiękniejszym kościołem w całym kraju, i jeszcze dziś bardzo pokaźnie wygląda. Dwie boczne nawy od środkowej oddzielone są kolumnami, z których kilka pochodzi z dawnej bożnicy bogomilskiej, jaka kiedyś stała na *gradzie*.

Jak wszystkie inne kościoły i konwenty franciszkańskie, tak i ten Św. Katarzyny ulegał rabunkom i zniszczeniu. Przed XV wiekiem Bogomiłowie zamienili go w gruzy, w późniejszych czasach niejednokrotnie Muzułmanie. Ile przytem szykan i znęcań doznali OO. Minoryci, ile kar musieli płacić za lada cień winy, kroniki zakonne bogatego pod tym względem mogłyby dostarczyć materyału [2]).

X. Biskup Maryan Maravić, w swem sprawozdaniu o stosunkach i potrzebach Kościoła w Bośni, skreślonem dla św. Kongregacyi *de Propaganda fide,* wspomina, że gdy w r. 1654 na Św. Marcina bierzmował w Kreszewskim kościele, kilku Turków było obecnych i bardzo zgorszyło się z jego ubioru, a mianowicie

---

[1]) Farlati: l. c. str. 68.

[2]) Obszernie o tem wspomina Sarajewski dwutygodnik *Franjevacki Glasnik* z lat 1896, 1897 i 1898 p. t.: »Povjestničke crtice o Kreševu i samostanu sw. Katarine dj. i muč.«



Miasto Konjica, pamiętne sejmem bośniackim z r. 1446. (Zob. str. 236).

z infuły, jaką miał na głowie. Turcy uważali ją za koronę doży weneckiego. Żadne tłumaczenia nie pomogły. X. Maravić musiał zapłacić jako karę 50 skudów, i ledwie że uszedł z życiem [1]).

Dziś już minęły wszelkie niebezpieczeństwa. OO. Minoryci swobodnie oddają się pracy około swych parafian, których liczba dochodzi w mieście i okolicznych siołach do 6000, podczas gdy Muzułmanów jest tylko kilkunastu.

W klasztornem archiwum, mówili mi Ojcowie, nic szczególnego nie znajduje się. Wszystkie cenniejsze rękopisy przeniesiono do Fojnicy i Sutiski. Jeden tylko dokument zachowali, bardzo cenny i charakterystyczny: list papieża Grzegorza XIII do Ojców Kreszewskiego konwentu. Oto gdy doszło do wiadomości Ojca św. o jakichś nieporządkach w klasztorze, wysłał biskupa w charakterze wizytatora, aby w konwencie Kreszewskim ład zaprowadził. Gdy biskup wywiązał się ze swego zadania ku ogólnemu zadowoleniu, niebawem i generał Minorytów postanowił wysłać zakonnego wizytatora do Bośni. Ojcowie Kreszewskiego konwentu nie byli z tego zadowoleni, i prosili Ojca św., aby wpłynął na zmianę decyzyi generała. Lecz papież po ojcowsku im odpowiedział, że nie powinni się martwić postępowaniem swego przełożonego, ponieważ on pełni tylko swój obowiązek, wysyłając wedle przyjętego w zakonie zwyczaju swego zastępcę. Jeśli znajdzie ład i porządek, cieszyć się będzie, a jeśli coś spostrzeże do naprawienia, nikt przecież nie będzie robił mu trudności, skoro wszyscy dobra pragniemy [2]).

[1]) Cf. Fermendzin: *Acta Bosnae* p. 478, nota 3.
[2]) Cf. Tamże p. 312—313.

Nie pierwszy to raz OO. Minoryci bośniaccy bezpośrednio pisali do Ojca św. W archiwum sekretnem papieskiem w Watykanie i temże Kongregacyi Propagandy, bardzo wiele znajduje się listów już to przełożonych całej zakonnej prowincyi *Bosnae argentinae,* już to gwardyanów, a nawet zwykłych proboszczów z zakonu OO. Minorytów, pisanych z iście dziecięcą prostotą do Ojca św., informując Go o ważniejszych i mniej ważnych szczegółach dotyczących Kościoła. Są też tam dowody pieczołowitości Stolicy św. nad Kościołem w Bośni, i czułej ojcowskiej opieki nawet nad pojedynczymi jego członkami.

W konwencie Kreszewskim, jak powiedzieliśmy, znajduje się studium filozofii. Poznałem profesorów i uczniów, i mogę wyznać szczerze, że wcale nie spodziewałem się znaleźć tutaj tak poważnego traktowania nauk przygotowawczych do teologii. Czy i dawniej było tak dobrze, nie wiem, lecz dziś Kreszewo może być wzorem w swym zakonie.

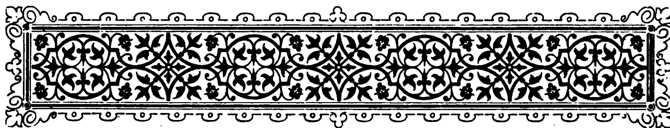
Między starszymi Ojcami wiekiem, urzędem i zdolnościami, wszystkich prześcignął O. Grgo Martić, starzec 77-letni, najsławniejszy z dzisiaj żyjących poetów południowo-słowiańskich. Aż do czasów okupacyi był on przez 21 lat członkiem rady przy bośniackim wezyrze w interesach Kościoła katolickiego i wogóle sprawach wyznaniowych. Obok obowiązków proboszcza Sarajewskiego, oddawał się z zamiłowaniem poezyi, do której rzeczywiście ma talent niepospolity. Prawie wszystkie jego utwory są epiczne, a jak mi sam opowiadał, w najdrobniejszych szczegółach trzymał się ściśle faktów historycznych. Ostatni wieczór mego pobytu w Kreszewie spędziłem z tym starcem, jeszcze bardzo ożywionym i rześkim. Nie mogłem dosyć na-

słuchać się jego ciekawym opowiadaniom historycznym, spostrzeżeniom nad utworami Mickiewicza i Puszkina, genezie jego własnych utworów. Średniego wzrostu, szczupły, o orlim nosie, wyschłej wyrazistej twarzy, bystrem spojrzeniu, zawsze z fezem na głowie, coś ma w sobie rycerskiego w całem obejściu, w dodatku nigdy inaczej nie pisze jak z turecka, nie na stole, lecz na kolanie gęsiem piórem. Zarówno sułtan jak cesarz austryacki uznali jego zasługi na polu poezyi, zdobiąc piersi jego trzema orderami. Z całą prostotą zapytałem Ojca Martića, do jakiego autora najbardziej się zbliża w swoich utworach: na co również z prostotą mi odpowiedział, że go uważają za słowiańskiego Homera. Za mało znam język bośniacki, abym mógł stwierdzić słuszność tego porównania, w każdym razie przekonałem się, że wysoko go cenią ludzie poważni, a jubileuszowe wydanie jego utworów w Sarajewie, mogłoby zaszczyt przynieść pierwszorzędnym poetom. Na pożegnanie dał mi swój portret przed laty sporządzony staraniem hr. Stanisława Mieroszewskiego, i własnoręcznie podpisał. (Zob. rycinę na str. 223).

Tak zakończyłem zwiedzenie Kreszewa.

Nazajutrz rano odprowadzony przez Ojca Gwardyana aż do Kisielaku, pospieszyłem w inne strony.





ROZDZIAŁ XI.

Sutiska.

Curia Bani. Najstarszy klasztor OO. Minorytów. Jego przeszłość z czasów tureckich. Prześladowania. Emigracya chrześcian. Grób króla bośniackiego Stefana Tomasza Ostoicza - Christicza. Jego stosunek do Kościoła katolickiego. Królowa Katarzyna bośniacka. Grób biskupów bośniackich. Krzyż zniszczony przez Turków.

W połowie drogi żelaznej między Trawnikiem a Sarajewem, znajduje się maleńka stacya Čatici, zkąd mila drogi do najstarszego klasztoru OO. Minorytów Sutiski (Sutjeska, Suteska). Nikogo nie zawiadomiłem o mem przybyciu, więc i żadnego nie zastałem pojazdu. Już byłem zdecydowany zostawić me bagaże na stacyi, a z przewodnikiem udać się pieszo do klasztoru, gdy nadjechał jakiś Bośniak z waszecia ubrany, a dowiedziawszy się o mnie od naczelnika stacyi, zaprezentował się po łacinie i w tymże języku zaprosił do swej bryczki, oświadczając, że i on zdąża do Sutiski. Z niemałem zdziwieniem dowiedziałem się od mego opatrznościowego dobrodzieja, że wie kim jestem z dzienni-

ków bośniackich, które ogłosiły swym czytelnikom o mej podróży po Bośni.

W niespełna godzinę stanęliśmy przed murami klasztoru w maleńkiem miasteczku, położonem wśród wąwozu skalistych, dębiną zarosłych gór. Kiedyś była tu najdawniejsza rezydencya banów i królów bośniackich, a im współcześni kronikarze nazywają Sutiskę już w XIV wieku *Curia Bani*. Trudno podać dokładną datę założenia klasztoru, rzecz pewna, że jest najstarszym w Bośni, że więcej jak 500 lat synowie Św. Franciszka tutaj mieszkają.

Po zajęciu Bośni przez Mehmeda II, klasztor wraz z zamkiem królewskim Bobować w r. 1464, Turcy zamienili w gruzy. Miejscowi OO. Minoryci wyjednali jednak firman sułtański, nadający im pozwolenie na nową budowę klasztoru. Acz w małych rozmiarach, niebawem powstał z gruzów dom zakonny; Ojcowie ze spokojem mogli oddawać się pracy apostolskiej w Sutisce i parafiach należących do tegoż konwentu. Zmieniły się stosunki za Sulejmana II, gdy Bogomiłowie przeszli na islam (1521—1531) i pod przewodnictwem Hassana-Bega zrównali z ziemią klasztory i kościoły w Fojnicy, Krešewie, Wisoko, Konjicy i Sutisce. Kronikarz współczesny dodaje, że kamień nie pozostał na kamieniu. Wskutek tej katastrofy, rozproszeni OO. Minoryci mieszkali w lasach i prywatnych domach katolików, w ukryciu odprawiali Mszę św., pouczali wiernych w religii i udzielali im św. Sakramenta. Po trzydziestu latach katakumbowej pracy, udało się Ojcom za cenę 900 dukatów wyjednać u urzędników tureckich pozwolenie na nową budowę klasztoru, jednak pod tym warunkiem: że nie użyją do niej ani kamienia, ani cegły palonej, lecz tylko drzewa i gliny, i nie będą ro-



Klasztor i kościół OO. Minorytów w Sutisce.

bili żadnych trudności, gdy »okaże się potrzeba« ponownego zburzenia klasztoru!

Najgorsza katastrofa spotkała klasztor, jak i wszystkich katolików w Bośni, po klęsce Turków pod Wiedniem r. 1683. Rozgoryczeni Muzułmanie poczęli srożej niż przedtem prześladować chrześcian i pomimo wielu klęsk elementarnych, takie nakładać podatki i haracze, że nie jedna rodzina wszystko musiała sprzedać, aby zadowolić Turków i życie ocalić.

W podobnem położeniu znajdowali się OO. Sutiskiego konwentu. Nie tylko przybory kościelne i naczynia musieli zastawić, ale nawet najkonieczniejsze sprzęty domowe, co więcej: wszystkie klucze, zamki, okucia, musieli powyrywać z okien i drzwi i za bezcen sprzedać. Lecz i to wszystko nic nie pomogło. Bezustanne napady i prześladowania, zmusiły Ojców do opuszczenia klasztoru, pozostawienia w nim tylko jednego stróża, aby czuwał na pustkowiu, i nie dozwolił zbrodniczej ręce zniszczyć go ogniem. Odtąd żyli oni przez lat 16 (1683—1699), t. j. jak długo trwała wojna, rosprószeni w jaskiniach, przebrani w świeckie suknie, pod nazwą *ujaci* (wujaszkowie), częścią ukryci w małym klasztorku wśród niedostępnych skał powyżej Sutiski, zkąd robili apostolskie wycieczki do okolicznych gmin katolickich. Niektórzy proboszczowie, nie mogąc dłużej znieść swego i swych parafian prześladowania, uciekali na drugi brzeg Sawy, na ziemię kroacką, prowadząc za sobą tysiące wyznawców. Tak uczynił ze swymi parafianami gwardyan Sutiski O. Jakób Tvrtkovčanin w roku 1686, tak ex-prowincyał O. Andrzej Šipračić wyprowadzając w miejsce bezpieczne 2700 swych parafian z Dubočy, O. Michał z Derwentu 2300 dusz, O. Gregórz Zgoščanda z Seočanicy 5400, O. Turbić

z Kuzdomanja 5300, podobnie uczyniło wielu innych proboszczów [1]).

Około r. 1698, rozprószeni OO. Minoryci za zezwoleniem bośniackiego Paszy, poczęli znowu się zbierać. Część przybyła z jaskiń i lasów do klasztoru, inni wyruszyli w drogę za jałmużną, za którą wykupili naczynia kościelne, i odrestaurowali kościołek i klasztor.

Załączona rycina na str. 237 przedstawia go takim, jakim go zastałem podczas odwiedzin; niebawem miał stanąć trwalszy kościół i klasztor. Dzisiejszy jest bez stylu, bardzo opustoszony, lecz zawiera w sobie dużo cennych pamiątek. We wielkim ołtarzu znajduje się statua Św. Jana Chrzciciela, tytularnego patrona. O. Gwardyan miał zamiar ją spalić, bo stara! Na usilne moje prośby obiecał ją zachować. Pod ruinami dawnego kościoła, znaleziono szkielet przedostatniego bośniackiego króla Stefana Tomasza z żelaznem berłem i kilku srebrnemi guzikami. Ojcowie złożyli wszystko razem do kamiennego sarkofagu, po stronie Ewangelii nowego kościoła, i nad nim następujący napis umieścili:

URNA CONTINENS OSSA
STEPHANI THOMAE REGIS BOSNAE († 1460) EX ANTIQUA
ECCLIA TRANSLATA A. D. 1859 CURA CUSTODIS
ANTIQUITATUM PATRIAE. P. M. N.

Również cennym i rzadkim zabytkiem jest portret tego króla malowany olejnemi farbami na płótnie (zob. rycinę na str. 237) i kopia ołówkiem wykonana portretu jego żony Katarzyny, której oryginał znajduje się w Diakowarze. Stefan Tomasz Ostojić z rodu Christić-Jabłonowiczów, jeszcze nie był ochrzczonym, gdy go po śmierci Tvrtka II na tron powołano. Było podej-

[1]) Z kroniki rękopisemnej O. Fr. Bono Benić zachowanej w klasztornem archiwum Sutiski str. 82.

rzenie, że należy do sekty bogomilskiej, lecz później i słowem i czynem okazał, jak nienawidził tych heretyków. A najpierw legata papieskiego Tomasza (Eppũm̃ Pharensem) uroczyście przyjął i wspierał go we wszystkich sprawach zmierzających do dobra Kościoła katolickiego, za co od papieża Eugeniusza IV tytuł i odznaki królewskie otrzymał; na prośby legata dał się ochrzcić w rycie łacińskim przez Jana *Carvajala* znakomitego prałata roty rzymskiej; na sejmie w Konjicy r. 1446, odbytym pod przewodnictwem tego samego legata Tomasza, między innemi bardzo budującemi rozporządzeniami, zakazał Bogomiłom stawiać nowe bożnice a stare restaurować; wkońcu r. 1459, dla zabezpieczenia swego królestwa od tej heretyckiej zgnilizny, rozkazał Bogomiłom albo się nawrócić, albo Bośnię opuścić. Wówczas około 2000 heretyków przyjęło katolicyzm, lecz większość: podobno 40.000 przeniosło się do Hercegowiny, gdzie Stefan Vukčić z domu Kosača książę Św. Saby, pan na Humie etc. stronnik paterenów, przyjął ich do swego księstwa.

Jak energicznie i nieustraszenie występował król Stefan Ostoić przeciw Bogomiłom, całe jego życie okazało i bezustanne starania podjęte u Stolicy św., wreszcie fakt, że trzech potężnych książąt, którzy nie chcieli ani z Bośni ustąpić, ani się nawrócić, kazał okuć w kajdany i zawieźć do Rzymu Papieżowi. Był nim wówczas Pius II. Heretyków przyjął on łaskawie, oddał w opiekę uczonym i roztropnym mężom, którzy łagodnością zdołali zbłąkanych nawrócić i pozyskać dla Kościoła św. Wszyscy trzej magnaci bośniaccy powrócili do kraju; dwu z nich wytrwało i dali dowody stałości we wierze; trzeci apostatował i schronił się do Hercegowiny.





Portret króla bośniackiego Stefana Tomasza Ostojića Christić - Jabłonowicza. (Zob. str. 235).

Wobec takich dowodów gorliwości o dobro Kościoła i swoich poddanych, co najmniej dziwić może postępowanie króla Węgier Macieja Korwina wobec króla Bośni. Oto, gdy ten zawarł tajny układ z Muhamedem II i odstąpił mu jedno z miast w Bośni (południowo-wschodniej), aby nieco ułagodzić groźnego sąsiada i zabezpieczyć swoje królestwo przed jego napadem, król Węgier kazał go zabić jako zdrajcę Chrześciaństwa. Wdowa po królu Stefanie, Katarzyna, wyjechała do Rzymu, gdzie żyła kosztem Stolicy świętej z wszystkimi honorami królewskiej godności, tamże umarła i pochowaną została, jakeśmy wyżej powiedzieli, we Franciszkańskim kościele na *Ara Coeli*. Nagrobek po dziśdzień zachowany zdobi napis:

CATHARINAE REGINAE BOSNENSI
STEPHANI DUCIS S. SABBAE
EX GENERE HELENAE ET DOMO CAESARIS STEPHANI
NATAE THOMAE REGIS BOSNIAE UXORI
QUAE VIXIT ANNOS LIV
ET OBIIT ROMAE ANNO MCCCCLXXIV
XXV DIE OCTOBRIS MONUMENTUM
IPSIUS SUMPTIBUS. POSITUM.

Umarła bez potomstwa. Jej pasierb Stefan Tomaszewicz, którego grób widzieliśmy w Jajcach, jak mówiliśmy, zginął ścięty przez Turków.

We wschodniej części kościoła, obok ołtarza ŚŚ. Apostołów, spoczywają zwłoki dwu bośniackich biskupów Hieronima Lučića i Grzegorza Ilijića, z napisem:

D. O. M.
SISTE GRADUM VIATOR
DUO IN UNO CERNE TUMULO
QUI PATRIA RELIGIONE MUNERE
DIGNITATE SEPULCHROQUE CONJUNCTI
UTINAM ETIAM IN COELO SIMUL
SEMPER VIVANT!



DEI QUAESO
SIT PAX ET REQUIES SEMPITERNA
ILLMIS AC RRMIS DD. DD. FF. ORD. MIN. OBSER.
HIERONYMO A VARESS DRIVASTENSI
ET
GREGORIO A VARESS RUSPENSI
EISCOPIS ET VICARIIS APLICIS
IN BOSNIA OTHOMANA: OBIIT ILLE DIE XX JANUARII
MDCXLIII
HIC VERO DIE I. MARTII MDCCXIII
VALE VIATOR ET SIC AGE UT IN AETERNUM ET IPSE
VIVAS. VIVENTE ET JUBENTE IPSO PONTIFICE GREGORIO
HAEC PETRA INCISA EST A. 1799.

W archiwum zakonnem pokazywali mi Ojcowie pocięty szablą krzyż z następującym napisem bośniackim, skreślonym cyrylicą: *Ovi kriż bio je na varhu carkve prikovan za šljeme nad velikim otarom, pak boduć ga Sejmeni sbacili i satarli, učini se oni dan suko strašna bura... od vitrova, grada i kiše, da su se u Saraevu oborile od 9 mecita munare iliti vikaonice....* (Ten krzyż był na wierzchołku kościoła przykuty na szczycie po nad ołtarzem, gdy go przeciwnicy (t. j. Turcy) zrzucili i posiekali, powstała w tym dniu zaraz tak straszna burza... z wiatrem, gradem i deszczem, że w Sarajewie obaliła przy 9 meczetach minarety....). Szkoda, że nie napisano ani dnia ani roku tego zdarzenia.

Z dawnych dokumentów pozostał tylko list Macieja Korwina pisany z Zagrzebia do OO. Franciszkanów i kilka firmanów turekich, zresztą tylko kroniki zakonne. W razie napadu Turków, Ojcowie chowali swe skarby rękopisemne w skrytkę umieszczoną pod kadzią z winem. Ponieważ Muzułmanie wina nie piją, więc kadź zostawiali nietkniętą, nie domyślając się co

zawiera. W przeciwnym razie zniszczyliby, swoim zwyczajem, jak wszystko inne, co nie było koranem, dając na pastwę płomieniom.

W klasztorze nie wielu zastałem zakonników. Wskutek rozpoczętych robót około nowego budynku, dla braku miejsca, Ojcowie wysłali teologów do Diakowaru i Pięciu-Kościołów, nie miałem więc sposobności obeznać się z ich sposobem uczenia teologii.

Gdy wracałem z Sutiski do Čatici, po drodze dostrzegłem kilka grobów bogomilskich, tem się różniących od im podobnych w okolicy Kreszewa i w innych stronach, że były ozdobione płaskorzeźbą. Będziemy mieli jeszcze sposobność spotkać się z tymi grobami w Hercegowinie, dokąd z kolei wypada nam wstąpić.



ROZDZIAŁ XII.

Hercegowina. — Mostar.

Odrębny charakter okolicy. Konjica. Piękne widoki. Przeszłość Hercegowiny. Ali beg Rizvanbegovicz. Omer Pasza. Prowincya OO. Minorytów hercegowińskich. Przechadzka po Mostarze. Z przeszłości serbskiej cerkwi. Mnich Sawa. Wizyta u serbskiego metropolity. Odyssea. Przemysł krajowy. Pierwsza drukarnia. »Glas Hercegowca.«

Większa niż przypuszczałem zachodzi różnica między Bośnią a Hercegowiną. Zaledwie wyjechałem z sarajewskiej równiny, pasma gór zaczęły się ścieśniać, piętrzyć, przybierając fantastyczne kształty ruin zamkowych, kolosów ludzkich, pieczar zaklętych. Bogate bośniackie lasy zaczęły znikać, stawały przed nami skały wapienne bielejące w dali zimą i latem śniegiem, niekiedy lodem. A jednak pomimo tego atmosfera łagodniejsza, powietrze cieplejsze, roślinność bardziej do południowej strefy zbliżona. I lud tutejszy bardzo się różni od bośniackiego, przypominając raczej jak i cała okolica, południową Dalmacyę i Czarnogórę.

Jedziemy wąwozem, szlakiem dawnych tutejszych zdobywców — Rzymian, którzy idąc dalej na wschód do Panonii, dzisiejszego Siedmiogrodu i Rumunii, również w Hercegowinie zostawili ślady swego pobytu. Od niedawna zbudowana kolej ze Sarajewa do Mostaru, i dalej do Metkowić aż na wybrzeża Adryatyku, gdzie nurty Neretwy wpadają do morza, ułatwia komunikacyę Zachodu z europejskim Wschodem. Ożywia ona również handel, wymianę produktów, torując szersze koryto cywilizacyi, która już i przedtem wciskała się przez bliskie stosunki z dalmatyńskiemi miastami, zwłaszcza z potężną ongi Raguzą.

Już parę mil za Sarajewem w kierunku Mostaru, wskutek wysokiego terenu, kolej się wspina zębatemi szynami na górskie szczyty, lub je przebija misternymi tunelami, zanim dojdzie na bośniacko-hercegowińską granicę *Ivan planina*. W miarę, jak się zapuszczamy w głąb Hercegowiny, góry się piętrzą nad nami, przechodząc 6000 stóp nad powierzchnię morza. Co krok, to nowy widok otwiera sią przed nami, kolej wije się serpentyną wśród wąwozów, przeskakuje z góry na górę mostami, arcydziełami inżynierskiej sztuki, lub kolosalnych rozmiarów nasypami, to się spuszcza w kotlinę po zębatych szynach, to znowu podnosi, to jak kret w podziemia zanurza i znowu na światło dzienne wychodzi. Jedziemy czasem samym brzegiem przepaści przy prostopadłej skale, jakby gzymsem jakiej olbrzymiej budowy, mając u stóp odchłań, nad sobą bryły kamienne, wołające na nas: *memento mori*. Na przemian opanowuje duszę to groza położenia, to uczucie radości na widok prześlicznej przyrody: świeżej zieleni o najrozmaitszych odcieniach, bogactwa kwiatów, źródeł i strumyków bijących ze skały krystaliczną wodą,



Wielki nasyp pod górą Iwan. (Zob. str. 242).

z której promienie słońca wydobywają wszystkie barwy tęczy, lub połysk płynącego srebra.

Stajemy w miasteczku Konjica, położonem na obydwu stronach Narenty, czyli jak ją nazywają Słowianie Neretwy. Rzeka ta wypływa w południowo-zachodniej części Hercegowiny u podnóża góry Čemerno, snuje się ku północnemu wschodowi w ciasnem korycie aż do Konjicy, zkąd nagle zwraca się ku zachodowi, aby później znowu płynąć stroną południową aż do Mostaru, następnie w kierunku południowo-zachodnim pod miastem Metkowić, i już na dalmatyńskiej granicy wpaść do Adryatyku. Jako dziki strumień górski aż do Konjicy, zacząwszy od tego miasta jest już Neretwa spławną rzeką, a tak niebezpieczną dla wirów, iż nawet najpotężniejsze drzewne pniaki porywa i wciąga w skaliste zagłębienia, ukryte poniżej swego łożyska. Człowiek lub zwierze porwane takim wirem — jest zgubione. Piękny murowany most, rzucony na Neretwie, łączy dwie dzielnice Konjicy. Mówią, że jest pochodzenia rzymskiego, inni twierdzą, że zbudowany przez królów bośniackich; tradycye muzułmańskie podają jako jego twórcę Ahmeda Sokolović'a, znakomitego wielkiego wezyra narodowości bośniackiej. (Zob. ryc. na str. 236).

W każdym razie Konjica jest miejscowością historyczną. Tędy prowadziła droga rzymska z Dalmacyi do wschodnich prowincyi. W r. 1446, król Stefan Tomasz Ostoić przewodniczył sławnemu sejmowi, na którym urzędownie herezya bogomilska została w Bośni zakazaną. Jeszcze pierwej miasto było sławnem z wielkiego Franciszkańskiego klasztoru, zburzonego przez Turków w r. 1543. Dziś jest małą mieściną, liczącą niespełna 2000 mieszkańców, przeważnie muzułmanów, między którymi ledwie 200 katolików. Dziwnym zbie-

giem okoliczności, właśnie tu, gdzie wydano wyrok banicyjny na 40.000 Bogomiłów, zachowały się resztki tej sekty aż po nasze czasy w rodzinie Heleż z wioski Dobučani, która dopiero niedawno przyjęła islam. Rzecz



Mieszczka z Mostaru.

dziwniejsza, że podczas gdy w innych stronach muzułmanizm odrazu przerabiał wstępujących w jego szeregi Bogomiłów, tu prozelici zachowali swe dawne zwyczaje, a ich niewiasty dotychczas nie noszą zasłony na twarzy.

W pobliżu Konjicy znajdują się kopalnie rudy żelaznej i węgla, ba nawet srebro i złoto ma się znajdować w sąsiedzkim *Zlatarze,* jak zresztą sama nazwa miejscowości nam to wskazuje. Niestety, jeszcze wszystko mało eksploatowane, nosi piętno muzułmańskie na sobie, jak i cztery kościoły zamienione w meczety. Tylko malownicze góry nic nie straciły z dawnego uroku, złość ludzka nie starła z nich piękna natury: jak za dawnych czasów, tak dzisiaj zdobią swym wieńcem Konjicę.

W dalszym ciągu drogi, nie mniej piękne i urozmaicone dostrzegam okolice górzyste. Szmaragdowe wody Neretwy pięknie odbijają od jej popielatego koryta i tejże barwy skał ścieśniających się nieraz tak bardzo, że w razie deszczu, w ciągu 24 godzin wody jej wzniosą się 15 metrów po nad zwykły stan.

Rzadkiej piękności jest pasaż koło *Jablanicy* (zob. rycinę na str. 247), gdy droga żelazna zatacza półkola na małej przestrzeni, tak, że dwa końce pociągu biegną w wprost przeciwnym do siebie kierunku, przeskakując mostkami z jednej na drugą stronę Neretwy. Nie mniej piękne, chociaż w innym guście, tunel i wiadukty koło *Glogošnicy* (zob. rycinę na str. 219) i zaraz po nich obfite źródło Komadina, spadające z wielką siłą wprost ze skały prawie pod koła pociągu. Lecz któż jest w stanie dokładnie opisać a choćby odmalować naturę w całej jej piękności? Najdelikatniejszy pędzel nie odda ani szmeru źródeł bijących ze skały, ani ruchu ptactwa szybującego w przestworzu, światła drgającego za lada powiewem, ani tęczy budzącej się do życia, gdy promień słońca padnie w wilgotne parowy, lub olśni swym blaskiem w puch rozprószone krople spadającego strumyka! Niech więc fantazya czytelnika uzupełni, czego słowa nie umieją powiedzieć.



Wąwóz koło Jablanicy nad Neretwą w drodze do Mostaru. (Zob. str. 246).

Nie mniej od samej natury, jest interesującą przeszłość tego kraju.

Zamierzchłe dzieje Hercegowiny jednoczą się z historyą Bośni. Kiedyś w okolicach Neretwy istniało sławne miasto Narona, którego mieszkańcy postrach rzucali na liczne rzymskie i greckie kolonie rozsiane po wyspach Adryatyku. Jak Wikingowie na północy, tak Neretwianie na południu Europy trudnili się łupiestwem, to był ich »sport« — środek utrzymania. Zresztą, podobnie jak w Bośni tak i w Hercegowinie nie istniało jednolite państwo w czasach, gdy Słowianie w te strony przybyli i utworzyli żupy, jakby niezależne od siebie okręgi, o własnym samorządzie. W X stuleciu, kraj, dziś Hercegowiną zwany, dzielił się na 9 takich żup, których naczelnicy ze sobą niejednokrotnie walki toczyli, dochodząc do hegemonii nad sąsiadami. Już wówczas panowie na Humie z główną rezydencyą w Blagaj doszli do potęgi, a ich księstwo zwało się w pomnikach łacińskich: Chulm, Chelma, Zachumia, Kelmona; w słowiańskich: ziemią Humską, Zachumską. Księstwo powiększało swe granice ze wszystkich stron, lecz nie zawsze było niezależnem. Z biegiem czasu pozostawało w lennictwie królów kroackich, serbskich, banów bośniackich, królów węgierskich i bizantyńskich cesarzy.

Pierwszym władzcą ziemi humskiej był Michał Višević, syn pana na starożytnym zamku w Blagaju, który swój rodowód wyprowadzał od pogańskich Słowian z nad Wisły. Ów Michał (r. 912—926) prawdopodobnie był lennikiem króla kroackiego Tomisława, i utrzymywnł ściste stosunki ze Stolicą św. Pod względem kościelnym, mieszkańcy dzisiejszej Hercegowiny zależeli od biskupa ze Stagno w Dalmacyi, które ró-

wnież należało do państewka księcia Michała. Książę posiadał potężną flotę, którą zdobył niektóre południowe nadbrzeżne włoskie miasteczka, a granice swego



Hercegowiński mieszczanin.

księstwa rozszerzył aż po bramy Raguzy. Po Michale Višević'u kraj humski staje się jabłkiem niezgody, wydzieranem sobie wzajemnie przez potężniejszych sąsiadów, i raz do jednego, raz do drugiego państwa należy.

Wśród walk o tron możnowładców bośniackich w wieku XIV, znowu dostali się na widownię hercegowińscy magnaci Sandalji Hranić i Paweł Radinović. Z pomocą Turków pierwszy z nich stał się niezależnym panem humskiej ziemi. A chociaż przy końcu swego życia uznał nad sobą zwierzchnictwo królów bośniackich, jego następca i krewniak Stefan Vukčić (r. 1435) znowu stał się niezależnym księciem. Gorliwy stronnik Bogomiłów, szeroko otworzył bramy swego państwa tym heretykom wygnanym z Bośni po sejmie konjickim (r. 1446). Później nieco został katolikiem (r. 1449) i otrzymał od papieża tytuł księcia Św. Sabby (Herzog di St. Sava), ztąd kraj jego odtąd począł się nazywać Hercegowiną.

Morderstwo popełnione na własnej żonie Helenie, aby się ożenić z Cecylią z Florencyi, stało się przyczyną powstania w jego własnem księstwie. Za śmierć matki wystąpili właśni jego synowie Władysław i Vladko, łącząc się przeciw ojcu z królem Bośni i Raguzą. Wprawdzie i tym razem książę Stefan z pomocą Turków utrzymał się na swem księstwie, lecz za to muzułmanie silną zajęli pozycyę w Hercegowinie, ustanowili Sandżak bega w Foczy i kadiego (sędziego) w *Castelnuovo,* mieście założonem na wybrzeżu adryatyckiem przez księcia. Szybkim krokiem Turcy posuwali się naprzód w Bośni, zajmowali miasta i twierdze, wreszcie ścięli ostatniego z królów. Stefan Vukčić za późno poznał niebezpieczeństwo grożące swemu księstwu. Chociaż odparł wojska Mohameda II, wkraczające do Hercegowiny, lecz nie zdołał zabezpieczyć dzieciom książęcego tronu. W 17 lat po śmierci Stefana, jego synowie uledz musieli przemocy tureckiej.



Urządzenie kolei zębatej przed przekryciem w pobliżu stacyi Iwan.
(Zob. str. 242).

W r. 1483, Hercegowina otrzymała osobnego zarządcę tureckiego (beglerbega). Największa część właścicieli ziemskich, Bogomiłów, przyjęła islam, innych dobra przeszły do tureckiego skarbu.

Turcy starali się podbitą ludność ze sobą jak najściślej zjednoczyć. Z możnymi jako Bogomiłami, udało się łatwo, także niewiele mozołu doznawali z wyznawcami wschodniego Kościoła. Trudniejsza była rzecz z klasą biedniejszą, lecz silniejszej wiary. Tych starano się nagrodami, lub gwałtem do islamu przyciągnąć. Zdolnym do służby wojskowej zarówno Bośniakom jak Hercegowińcom, stały otwarte wysokie stanowiska, byleby tylko islam chcieli przyjąć. To też niezliczone zastępy południowych Słowian wstępowały w służbę sułtana i dochodziły do takich godności, jakich nigdyby nie zdobyły w ojczyźnie. Wielu z nich było wielkimi wezyrami, ministrami, generałami w Turcyi: jedna rodzina Čengić'ów, dziś jeszcze można w Hercegowinie, liczy w swem drzewie genealogicznem 50 paszów. Ludność katolicka, dzięki OO. Franciszkanom i współczuciu czynnemu Dalmatyńców, Rzeczypospolitej Weneckiej, opierała się silnie apostazyi, i wyczekiwała chwili oswobodzenia z pod jarzma muzułmanów.

Po wyprawie wiedeńskiej, podobnie jak w Bośni, tak i tutaj zniszczono klasztory Franciszkańskie, a ludność chrześciańska srozszego doznała prześladowania. Stosunki tak były naprężone, że jedna iskra zdolna była wzniecić powstanie. Gdy w r. 1736 cesarz Karol VI wypowiedział wojnę Wysokiej Porcie, ludność chrześciańska przez patryarchę z Ipeku Arseniusza Joannowicza wysłała posły do Wiednia z oświadczeniem, iż jest gotową postawić 30.000 żołnierza przeciw Turkom, byleby rząd cesarski wziął ich w swą opiekę.

Niestety, wówczas nie umiano skorzystać w Wiedniu ze szczęśliwej sposobności zajęcia proszącej się o to Hercegowiny.



Hercegowinka z Mostaru.

Tymczasem potęga Turcyi zaczęła słabnąć. Mahmud II (1808—1839) starał się nową nadać organizacyę swemu państwu; zniósł janczarów, złamał potęgę możnowładców i szlachty w Małej Azyi; dawał do zrozumienia, że to samo zrobi w Bośni i Hercego-

winie. Wówczas szlachta tych krajów pod przewodnictwem dzielnego Husein Aga Berbérli powstała (1831) przeciw Turcyi i zwycięsko stanęła pod Konstantynopolem. Tylko Ali beg Rizvanbegović, dziedziczny naczelnik Stolacza i Smail aga Čengić mieli odwagę stanąć po stronie Turcyi, a zarazem wystawić na kartę całe swe stanowisko, byleby dopomódz do reform sułtanowi. Po długich krwawych walkach, stłumiono powstanie. W nagrodę za pomoc został Alibeg Rizvanbegović Paszą Hercegowiny, niezależnym od bośniackiego wezyra. Sprytny mąż stanu, mając za sobą plecy w Konstantynopolu, umiał wyrobić sobie w Hercegowinie prawie niezależne stanowisko, wprowadzić w krótkim czasie konieczne reformy, i tak kraj podnieść materyalnie, że pomimo nieodzownych przytem wielkich wydatkach, ludność lepiej się miała niż za dawnych czasów.

Ażeby hercegowińskich katolików uczynić zupełnie niezależnymi, a tem samem pozyskać ich sobie, starał się on gorliwie o utworzenie biskupstwa w Mostarze. Pierwszego biskupa na tej stolicy O. Rafała Barišica wspierał w każdym kierunku. Od tego czasu wzrost Kościoła w tym kraju był bardzo wielki. Lecz zarazem wzrastała potęga i wpływ paszy Rizvanbegovića. Pomimo zamieszek w Bośni, umiał w Hercegowinie utrzymać na wodzy najburzliwsze charaktery, częścią złotem, częścią przemocą i pozostać na swem wszechwładnem stanowisku pod nominalną władzą sułtana. Tak trwało do roku 1848. Wówczas, wśród ogólnego zamieszania w Europie, ferment wyswobodzenia się z niewoli tureckiej opanował również umysły w Bośni i Hercegowinie.

Powstanie begów wspierał tajemnie Rizvanbegović, może w nadziei, że sam się stanie na wzór Czarnogóry

udzielnym księciem Hercegowiny. Lecz zdrada wyszła na jaw. Z ramienia Wysokiej Porty na uśmierzenie powstania przybył do Bośni i Hercegowiny w r. 1850 dzielny, lecz okrutny renegat Michał Lattas, uciekinier z wojsk austryackich, który w służbie tureckiej zasłynął pod imieniem Omera Paszy. Ścinanie głów begom i agom było u niego na porządku dziennym. W środkach nie przebierał, byle stłumić powstanie. W sposób skrytobójczy zginął też i Ali Pasza Rizvanbegović. Dobra jego rodziny rząd turecki skonfiskował, i dopiero rząd okupacyjny zwrócił takowe w r. 1878 [1]).

Śmierć Ali Paszy zadała cios marzeniom o niepodległości Hercegowiny. Zgasła jedna z gwiazd na horyzoncie politycznym, która jasno i śmiało dążyła do utrwalenia dawnych rządów księstwa hercegowińskiego. Pomimo tego nie zgasła idea wyzwolenia się z pod jarzma tureckiego. Zarówno muzułmańscy begowie jak chrześcianie nie mogli znosić dłużej nad sobą panowania sułtana. Hercegowiniec Łukasz Wukalowicz pierwszy w r. 1860 podniósł chorągiew powstańczą. Czarnogórcy jak dawniej tak i teraz szli z pomocą swym sąsiedzkim pobratymcom.

Omer Pasza zjawia się raz jeszcze w Hercegowinie i uśmierza umysły. Lecz ogień tli pod zgliszczami. W r. 1875 nowe wybuchło powstanie z pomocą Czarnogóry, które trwało z przestankami aż do czasu, kiedy na kongresie berlińskim postanowiono przez austryacką okupacyę koniec położyć rozlewowi krwi i bezustannym rozruchom.

Ileż w historyi tego państewka zawiera się materyału do epicznej poezyi i historycznych powieści!

---

[1]) Cf. *Mostar* und sein Culturkreis. Ein Städtebild aus der Herzegovina von *Carl Peez*. Leipzig, 1891, s. 189—216.

kich: dziś jest ich przeszło 600, w całej zaś dyecezyi w ciągu ostatnich lat 40, ludność katolicka wzrosła z 27.789 dusz do 80.560. Hercegowińscy Ojcowie jeszcze wyższe piętno cywilizacyjne noszą na sobie, niż ich bracia zakonni w Bośni. Bezustanne stosunki z Dalmacyą i Włochami, dawniej z potężną Rzpospolitą Wenecką, nie pozostało bez skutku w całym narodzie, a więc i duchowieństwie, które zeń pochodzi. Obok wykształcenia jest w nich coś rycerskiego, co połączone z pokorą zakonną, nader miłe robi wrażenie. X. Biskup Paschalis Bučonjić z zakonu OO. Minorytów, najczęściej przebywa w małej rezydencyi za Mostarem, położonej o $^1/_2$ godziny drogi, gdzie jego poprzednik wybudował kościołek i szkółkę dla dziatwy katolickiej. Do Mostaru tylko dla załatwienia interesów przybywa, chociaż w konwencie ma dla siebie przeznaczone pokoje, służące zarazem na przyjęcie gości.

Przy klasztorze znajduje się obszerny ogród warzywny, a przezeń płynie rzeka obfitująca w doskonałe gatunki ryb. Jest to jakby szpichlerz, z którego na zawołanie można wyciągnąć tyle sztuk, ile do stołu potrzeba. Ojcowie opowiadali mi, że wśród kilku gatunków ryb, zupełnie nieznanych w innych stronach, są tu tak zwane *maślice.* Rodzą się gdzieś w podziemnych jeziorach i jako małe rybki wypływają otworami skalnymi w pewnych peryodach razem z obfitszą wodą. Po jakimś czasie, gdy woda się ulotni lub odpłynie a rybki urosną i stłuścieją, nie mogą przecisnąć się przez szpary z których wypłynęły. Wówczas lud je łapie, olej z nich wyciska, gdyż mają w sobie bardzo dużo tłuszczu, i przechowuje go do omasty jakby oliwę.

Nazajutrz po przybyciu odprawiłem Mszę św. w parafialnym a zarazem katedralnym kościele. Chociaż dzień był powszedni, dziatwa szkolna uczestniczyła w Najśw. Ofierze, po której O. Minoryta zwrócony twarzą do ludu od ołtarza, wspólnie z dziećmi odmawiał poranne modlitwy. Po nabożeństwie z jednym z kapłanów oglądaliśmy osobliwości miastowe, z których najsławniejszy jest most nad Neretwą zwany »mostem rzymskim« o bardzo szerokiem łukowem napięciu z basztami po obydwu stronach. Najprawdopodobniej piękny ten most został zbudowany już za czasów tureckich w XVI w., lecz przez dalmatyńskich lub włoskich budowniczych. Cały charakter miasta wojownicze robi wrażenie. Wśród wąwozu wysokich gór domy się wznoszą po obydwu stronach Neretwy wysoko pod skały, nad któremi znowu dominują warownie, zwłaszcza główna cytadela strzegąca wejścia do Hercegowiny przed przybyszami z Zachodu. Dziś już nie ma ona wielkiego znaczenia; lecz przed niedawnymi czasy, należała do najbardziej obronnych posterunków tureckich. Wszystkie budowle w mieście noszą na sobie cechę bardziej południową. Są one najczęściej z ciosowego kamienia, niektóre dachy płaskie; obok mieszkań ogródki najpiękniejszych gatunków róż, migdałów, granatów i innych drzew i krzewów południowej strefy. Szczególniejsze wrażenie robią wysokie smukłe cyprysy obok minaretów, nadając Mostarowi wygląd zupełnie odrębny, nienapotykany w Bośni.

Poniżej cytadeli na wysokiem wzgórzu, pięknie się przedstawia serbska metropolitalna cerkiew, zbudowana w bieżącem stuleciu w znacznej części funduszami przybyłymi z Rosyi. Jak w innych większych miastach, tak i 13.000 ludność Mostaru dzieli się co do wyznania

prawie w równej części na katolicką, serbską i muzułmańską, z małą garstką Żydów hiszpańskich, protestantów, kalwinów etc.

Dawniejszymi czasy Serbów, t. j. wschodniego wyznania było najwięcej w Hercegowinie, lecz później cyfra ich zmniejszyła się, gdyż przechodzili gromadnie do Bogomiłów, a za czasów tureckich razem z tymi heretykami wielu przyjęło islam, lub emigrowało z kraju.

Do największego wzrostu doszła serbska cerkiew w XIII wieku, za czasów mnicha Sawy, którego cześć we wschodnim Kościele jest wielka, a nawet cała Hercegowina od niego nazwaną została »Księstwem Św. Sawy.« Opowiadają w jego żywocie, że był synem serbskiego króla Nemanji (r. 1170). W dziedzictwie po ojcu otrzymał ziemię humską (dzisiejszą Hercegowinę), lecz z niej zrezygnował i wstąpił do zakonu serbskich Bazylianów (Kalogerów) na górze Athos. Ztamtąd powrócił do Serbii aby »reformować« stosunki kościelne. Dotychczas prawie nie było różnicy między katolikami a ortodoxami. Sawa dołożył starań, aby zupełnie oddzielić Kościół wschodni od katolickiego, ustanawiał biskupstwa (n. p. w Mostarze) i klasztory, jak: w Mileševie, gdzie go pochowano, w Plewlje, Koširevie i wielu innych miejsach. Sinan Pasza kazał ciało »Św. Sawy« spalić, ponieważ cześć jego wśród ludu zdawała mu się groźną dla muzułmanów.

Metropolici mostarscy, najczęściej narodowości greckiej, ulegają patryarsze konstantynopolitańskiemu, a zarządzają całą Hercegowiną i częścią Paszałyku Nowego Bazaru. Wskutek stosunków i zależności głowy Kościoła wschodniego od stolicy sułtana, Serbowie mniej byli od katolików prześladowani. Na dzisiejszej metropolitalnej stolicy w Mostarze, zasiada Serafim Perović,



Jedna z ulic Mostaru, obok meczet nazwany »Šarićova dziamija.«

Hercegowiniec. Bardzo to ciekawa osobistość, a że jest przychylny katolikom, skorzystałem ze sposobności, aby go poznać. Przy Chrzcie otrzymał imię Sawy, koryfeusza serbskiej cerkwi. Pod ihumenem klasztoru Duże, swoim wujem, pierwsze nauki pobierał, gdzie też wyświęcony na diakona, przybrał imię zakonne Serafim. W Belgradzie uczył się »bogosłowia« (t. j. teologii), następnie był nauczycielem w Mostarze, a w roku 1858, jako 30-letni zakonnik został ihumenem klasztoru Žitomišljić, a w 6 lat później tamże archimandrytą. W podróżach po Rosyi zebrał ofiary dla swego biednego monasteru. W r. 1870, dla względów politycznych rząd turecki więził go w Sarajewie przez cały rok. W r. 1871 został wysłany do Konstantynopola, ztamtąd na wygnanie do Tripolisu w Afryce, wkońcu do Murzuk w Fezanie, gdzie bawił do r. 1876. W tym czasie za wstawieniem się Minoryty O. Martića, jak mi to sam opowiadał w Kreševie, został Serafim Perović odwołany z wygnania. Następnie czas jakiś bawił w Czarnogórze, potem został metropolitą mostarskim.

Czytelnik przyzna, że charakterystyczna to odyssea XIX wieku.

Metropolita Perović bardzo był ucieszony moją wizytą; długo mówiliśmy ze sobą o jednym Kościele Chrystusowym. Urządzenie jego mieszkania jest na sposób turecki, tenże zwyczaj w przyjęciu: o godz. 11 przed południem czarna kawa, limoniada i rakia. Bardzo byłem ucieszony dobrem usposobieniem metropolity; później się dowiedziałem, że jego owieczki bunt podniosły, urządzając religijny strejk w niedziele i święta, gdy on celebruje w swojej cerkwi.

Mój przewodnik po Mostarze, kapelan wojskowy, oprowadzał po rozmaitych nowszych budowlach, jak:

kasynie wojskowem, urządzonem z europejskim komfortem, hotelu »Narenta« w stylu maurytańskim, wreszcie fabryce tytoniu, gdzie przeszło 300 dziewcząt chrześciańskich w narodowych strojach: w fezie na głowie, szerokich szarawarach siedzi za stolikami przy stosach tytoniu. Jak Bośnia ze śliwek, tak Hercegowina z tytoniu i wina jest sławną. Wprawdzie niewiele znajduje się w tym kraju gruntu pod uprawę, wskutek skalistego terenu, są jednak większe oazy nadzwyczaj urodzajne. Tak w okolicy Mostaru, Ljubuški i Trebinji, hektar ziemi daje tytoniu 3000 kg. wartości 2000 złr., podczas gdy w Bośni zbiór nie będzie większy nad 636 kg. wartości 105—200 złr.

W najlepszych czasach tureckich, cała Hercegowina nie dawała więcej tytoniu nad 225.000 kg., t. j. 2.250 cetnarów metrycznych. W 10 lat po okupacyi, produkcya tytoniu wynosiła 31.000 cetnarów metrycznych; sam powiat mostarski dziś dostarcza 5000 cet. metr. tytoniu, t. j. przeszło dwa razy tyle, co za czasów tureckich cała Hercegowina.

Piękny dochód ludność hercegowińska posiada z uprawy winnej latorośli i od r. 1845 wprowadzonej przez paszę Rizvanbegowicza hodowli jedwabników. Pomimo braku paszy, mało który z narodów hoduje tyle zwierząt domowych co Hercegowina; urzędowa statystyka wykazuje, że na 100 mieszkańców przypada: 12 koni, 0·3 mułów, 1·8 osłów, 39 wołów, 169 owiec, 92 kóz, 5 świnek. Ze skór wyrabiają krajowcy rzemienie, siodła, safiany rozmaitego koloru.

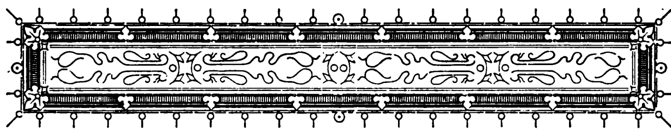
Dawniejszymi czasy, w Mostarze, Foczy i Trawniku, wyrabiano na wielką skalę białą broń, a za »damascenki« tutejszego wyrobu, płacono nieraz bajeczne sumy.

Naturalnie, wskutek budujących się fabryk, kolei żelaznych, a więc ułatwionej konkurencyi z zagranicą, przemysł domowy krajowców upada. Za to inne źródła dochodu powstają, nieznane dawniej, skoro budżet kraju wzrósł niesłychanie od czasu okupacyi.

W konwencie OO. Minorytów miałem sposobność poznać jednego z ich ex-braci zakonnych Don Frana Miličevića, który w r. 1883 założył pierwsze pismo peryodyczne hercegowińskie pod tytułem »Glas Hercegovca.« Z początku wychodziło ono co tydzień. Od roku 1890, dwa razy w tygodniu, a drukuje się łacińskiemi czczionkami w katolickiej drukarni, założonej przez OO. Minorytów jeszcze w r. 1872.

Ruch umysłowy w Hercegowinie jest jeszcze dość słaby, bo to dopiero początki po długim zastoju. W Mostarze znajduje się szkoła handlowa, elementarna dla wszystkich wyznań, gdzie religię dla dzieci katolickich wykładają OO. Minoryci, katolicka szkoła dla dziewcząt utrzymywana przez Siostry Miłosierdzia kongregacyi zagrzebskiej, serbska szkoła dla wyznawców wschodnich w części utrzymywana przez rząd rosyjski, wreszcie kilkanaście rozmaitych szkół i szkółek muzułmańskich.

Tak się przedstawia stolica Hercegowiny i ogólny wygląd kraju. Zaglądnijmy jeszcze do jego niektórych prowincyonalnych miasteczek, aby uzupełnić ten obraz.



ROZDZIAŁ XIII.

Z Mostaru do Stolacza.

Wyjazd z Mostaru. JE. generał br. Appel. Buna. *Stjepangrad.* Turecka legenda o szeiku Sari Saltik i młynarzu z Blagaju. Gniazdo rabusiów Pocitelji. Podróż z pocztowymi gołębiami. Post kalwina. Domanowić. Groby bogomilskie. Stolacz. Kościół i plebania. Nietolerancya względem neofitów. Ubiory hercegowińskie. Wykopaliska z czasów rzymskich. Msza polna. Rozmowa ze starostą. Obiad galowy.

Na dworcu kolejowym w Mostarze, już przed godziną piątą rano, było bardzo gwarno. Starszyzna urzędnicza stawiła się w komplecie: starostowie mostarscy okręgowy i powiatowy, prezydent sądu z radcami, straż skarbowa, przełożeni zakładów rządowych. Niebawem ukazali się wyżsi wojskowi i sztab generalny w komplecie. Powód tak wczesnego i licznego zebrania, łatwy do przewidzenia: oto gubernator Bośni i Hercegowiny generał kawaleryi baron Appel, zjechał ze Sarajewa do Mostaru i wyruszy w podróż inspekcyjną na prowincyę. Niebawem zjawił się ten »wielkorządca«

od r. 1882 okupacyjnych krajów, o marsowem obliczu, lecz z wyrazem szlachetności i dobroci. Słynie z żelaznej ręki; wiedzą o tem podwładni, że rozporządza życiem i śmiercią; pomimo tego, ledwie dwa czy trzy razy za jego długich rządów przyszło do egzekucyi najsurowszego wyroku. Starsza generacya wojskowa chlubi się swym przewodnikiem dla jego sławy rycerskiej, zdobytej na czele ułanów pod Temeszwarem, Montebello, Magentą, Jičin, wreszcie Solferino, gdzie broniąc księcia heskiego, sam utracił w boju lewe oko. Odtąd nosi czarną przepaskę na twarzy, która go piękniej zdobi, niż wszystkie ordery zawieszone na jego piersiach. Wśród grona zebranych osób oczekujących odejścia pociągu, z początku ja jeden byłem z duchowieństwa; później zjawił się również Metropolita serbski Perović. Ku memu zdziwieniu, a jeszcze większemu wszystkich obecnych, metropolita najpierw do mnie się zbliżył, powitał, chwilę rozmawiał, zanim się zwrócił do JE. generała br. Appela, spoglądającego na naszą rozmowę z wymownym uśmiechem.

Na dany znak siadamy do wagonów. Kolej wije się doliną mostarską nad rzeką Neretwą. Po odydwu jej stronach dostrzegam malownicze groty, do których pasterze zapędzają swe trzody i bydło jak ongi w Betlehemie.

Pierwsza stacya za Mostarem jest *Buna.* O niej wspomina cesarz Konstantyn Porfirogeneta, że już w IX wieku odgrywała pokaźną rolę. Tutaj wpada do Neretwy rzeka także *Buna* nazwana, której źródła odległe o milę drogi, znajdują się w nader romantycznem położeniu, a łączą się z wielu ludowemi legendami. Wśród wielkiej stalaktytowej groty znajduje się jezioro *Branjevići brdo* — z niego Buna wypływa szerokiem

korytem. Nad niem, na szczytach gór, wznoszą się ruiny zamku *Stjepangradu,* obok zwaliska klasztoru derwiszów. W pobliżu znajduje się sławny przeszłością Blagaj, dawna stolica książąt humskich, która kiedyś miała liczyć 24—50.000 mieszkańców, a dziś ma ich zaledwie 700.



Cygańskie hercegowińskie dzieci.

Muzułmanie opowiadają, że w miejscu, zkąd Buna wypływa, przebywał smok. Co roku musiano mu składać na pożarcie ofiarę z dziewczęcia. Pewnego roku los padł na Milicę, córkę księcia Stefana Kosača, mieszkającego na *Stjepangradzie.* Podziemnym korytarzem sprowadzono Milicę z zamku do groty i ustawiono na kamieniu, który podziśdzień pokazują przychodniom. Już zbliżał się smok do swej ofiary, gdy oto nadszedł derwisz Sari Saltik ze Syryi, zmierzył się ze smokiem

i pokonał w walce. Książę miał dać w nagrodę derwiszowi Milicę za żonę, a wybudowawszy w miejscu zwycięstwa klasztor muzułmański, Sari Saltika zrobił w nim szeikiem.

Zdarzenie powyższe, spisane starannie, przechowują Turcy w swoim klasztorze, obok grobu »cudownego« szeika, wraz z narzędziem, którem miał zabić smoka. Ile jest prawdy w całem ich opowiadaniu, łatwo każdy osądzi. Legenda bardzo jest podobną do onej o Św. Jerzym, którą lud dalmatyński w pieśni przechował [1]), tylko jest przerobioną na sposób turecki: zupełnie tak samo jak historyę o Św. Dyonizym zastosowano do derwisza Ismaila Deda [2]).

Z derwiszowskiego klasztoru pozostały dziś również tylko ruiny, gdyż odłam skały swym ciężarem zdruzgotał przybytek »świętości« tureckiej.

Lud opowiada, że źródła Buny są dalszym ciągiem rzeki *Zalomska,* która wypływa w okolicy *Gacko,* gdzieś w podziemnych czeluściach znika na krańcach *Nevesinsko-Polje,* i znowu się okazuje w grocie około Blagaju. Otóż owczarz z okolic Newesinji robił w tym względzie doświadczenia. Rzucił do rzeki Zalomska kij pasterski, i przekonał się, że jego ojciec młynarz z Blagaju znajdował go w Bunie. Ojciec i syn postanowili skorzystać z wynalazku. Syn zabijał codziennie wieczorem owcę swego pana, rzucał do Zalomska, a jego ojciec znajdował ją w Bunie.

Aga, właściciel owiec, spostrzegł się po jakimś czasie, że mu trzody ubywa, i żądał wytłumaczenia

---

[1]) Streściłem ją w dziele p. t. *W Dalmacyi i Czarnogórze* (str. 172— 177). Kraków, 1896 i w *Missyach katolickich* z r. 1894, str. 276—277.

[2]) Zob. wyżej str. 122.



P o č i t e l j i. (Zob. str. 270).

od owczarza. Ten winę zwalił na wilki. Wkońcu kradzież wyszła na jaw. Zaraz nazajutrz, młynarz z Blagaju zamiast owcy, wydobył z Buny ciało swego syna z odciętą głową.

Począwszy od stacyi Buny, coraz bardziej ścieśniają się pasma gór nad brzegami Neretwy. Mało widać zieloności, tylko popielate skały rozpadłe, układem podobne łańcuchom gór Albanii i Czarnogóry. W dalszym ciągu drogi tuż nad Neretwą, w skalistych rozpadlinach góry dostrzegam ukryte muzułmańskie miasteczko *Počitelji.* Otoczone murami i baszami, kryło w swych skrytkach czysto tureckie gniazdo rabusiów i korsarzy. Przed niedawnymi czasy, biada podróżnemu, który tę okolicę zmuszony był przebywać, jeśli zawczasu nie postarał się o wszelkie środki bezpieczeństwa.

Na następnej stacyi *Čapljina* wysiadłem z wagonu, aby dalszą podróż po Hercegowinie odbyć końmi i dotrzeć do mniej znanych okolic. Spodziewałem się zastać pocztę, którąby mnie odwiozła do Stolacza. Nie wiedziałem, że tylko w niektóre dnie kursuje, i spotkał mnie zawód. Na szczęście znalazłem na tem pustkowiu wóz wojskowy z pocztowymi gołębiami, przeznaczonymi do twierdzy w Stolaczu. Wytłumaczyłem komendantowi ptasiej załogi, że mi trudniej jak gołębiom dostać się do Stolacza i bez jego wozu wypadnie mi zostać na łasce zbójów z Počitelji. Podoficer ulitował się nad mem położeniem, i zaprosił do krytej bryki wojskowej. Słońce paliło niemiłosiernie, choć kalendarz wskazywał dopiero dzień 8 czerwca.

Stajemy nad Neretwą; zbliża się prom i przewozi na drugi brzeg rzeki. Rozpoczyna się skalista pustynia. Na przestrzeni kilkunastu kilometrów żadnej osady ludz-

kiej nie widzę, aż w Domanowić, gdzie wjeżdżamy do forteczki, dominującej nad okolicą. W wiosce dostrzegam zaledwie kilka nędznych domków i szałasów zamieszkałych przeważnie przez muzułmanów i kolonistów katolików. Jeden z mieszkańców ma konie do wynajęcia, inny, rodzaj oberży dla ludzi najmniej wymagających. Podoficer zajął się zamówieniem dla mnie powozu do Stolacza, następnie zaprowadził do oberży i zapytał co mają podać. Była sobota, i czas suchedni, więc prosiłem o postne potrawy. Podoficer razem ze mną pościł. Jakże zdziwiłem się później, gdy z rozmowy poznałem, że jest węgierskim kalwinem.



Wieśniaczka hercegowińska.

Droga z Domanović do Stolača jeszcze bardziej pusta i jałowa. Wygląda jak step skalisty, dość równy, choć teren leży kilkaset stóp nad poziomem morza. Przejeżdżamy około świeżych ruin zamkowych. Tu Ali beg Begowicz na czele czterystu żołnierzy bronił się do upadłego w czasie powstania w r. 1881. Wszyscy do jednego woleli zginąć od granatów austryackich, niż złożyć broń.

Parę kilometrów przed Stolaczem, przejeżdżamy około starego cmentarzyska z grobami bogomilskimi. Czy rzeczywiście są one grobami Bogomiłów, czy tylko starymi sławiańskimi, bez różnicy wiary, archeologowie jeszcze nie rozstrzygnęli. O. Hoffer T. J., twierdzi, że kolosalnych rozmiarów grobowce były zarówno przez Bogomiłów jak Chrześcian stawiane, i ten był piękniejszym, który był większym. Inni twierdzą — co i ja zauważyłem, że groby tak zwane »bogomilskie«, mają pewną cechę wspólną. W okolicach, gdzie herezya najbardziej grasowała, więc: w Kreszewie, koło Sutiski, Konjicy, a przedewszystkiem w całej Hercegowinie, w kilkunastu cmentarzyskach jakie zwiedzałem, dostrzegłem formy grobowców jedne i te same: na grubej (30 do 40 ctm.) płycie kamiennej, o powierzchni paru metrów kwadratowych, wyciosanej z jednej bryły, spoczywał jednolity kamienny sarkofag, rozmiarów zastosowanych do swej podstawy. Takich grobowców pod Stolaczem znalazłem w jednej grupie około 100, w drugiej 20. W ułożeniu nie było żadnej symetryi, niektóre sarkofagi powywracane, inne w ziemię zapadły. Otoczone cierniem i głogiem, robiły wrażenie dziwne na tem pustkowiu i jakąś grozą duszę przejmowały. Najwięcej grobów nie miało żadnej ozdoby. Zalędwie na kilku znalazłem grubą płaskorzeźbę, przedstawiającą wesołe sceny z życia: łowy lub wojowników z dzidami i strzałami, inne z gwiazdami i półksiężycem, a obok krzyż, niektóre z ornamentacyą lub znakami jakby herbowymi. Wśród sarkofagów, gdzieniegdzie zaplątał się nizki krzyż kamienny. Tam gdzie ludność była chrześciańska, grobowce nawet najstarsze, inną mają formę, chociaż rozmiary również bywają wielkie. Tylko na jednym nagrobku tej grupy, do-



Widok na jedną z dzielnic Mostaru.

strzegłem napisy starosłowiańskie. Godnem zastanowienia, że na grobowcach uchodzących za »bogomilskie«, nie znajdują się żadne ślady oznaczające smutek lub żal za osobami zmarłemi, żadna prośba zwrócona do przechodnia o pamięć w modlitwie za dusze zmarłych. Odpowiadałoby to zupełnie dogmatom herezyi bogomilskiej, uważających śmierć jakiejkolwiek osoby ze sekty za początek szczęścia w życiu przyszłem, bez względu na zasługi położone w życiu doczesnem.

Było południe, gdy wjeżdżałem do Stolacza. Przed miastem znajduje się obóz warowny, t. j. murem otoczone szeregi koszar, przepełnione żołnierzem, zbroją i amunicyą. Wjechałem do wnętrza: obóz przedstawia się jako nowoczesne miasteczko wojskowe. Sam stary Stolacz wcale pokaźne i malownicze robi wrażenie. Wygląda jak oaza pełna zieleni na pustyni skalistej. Zamek, zabytek z czasów tureckich, jeszcze dzisiaj jest w użyciu; posiada bowiem załogę wojskową. Przejechałem całe miasto, ponieważ proboszcz katolicki mieszka przy małej kapliczce na drugim jego końcu. X. pleban, Prałat Łazarz Lazarewicz, dawny alumn Propagandy, rodem z Dalmacyi, jeszcze pełen siły, choć już skończył lat 60, przyjął mnie uprzejmie. Opowiadał, że on pierwszy w Hercegowinie odważył się przechowywać za czasów tureckich Najświętszy Sakrament i urządzić procesyę na Boże Ciało. W czasie rozruchów w r. 1881 wezwał swych parafian pod broń i 200 stawił do boju, idąc w pomoc wojskom austryackim. W nagrodę został mianowany kawalerem orderu Franciszka Józefa.

Kapliczka może pomieścić zaledwie 30—40 osób. Lud pragnie wspanialszego kościoła; niestety, za mego

pobytu w Stolaczu nie zanosiło się na rozpoczęcie nowego domu Bożego.

X. Prałat Lazarewicz wiedzie życie iście missyonarskie. Do parafii Stolacza należy 35 osad, położo-



Ex-pop wojewoda Simicz, dowódzca powstania przeciw Turcyi.

nych najczęściej w trudno dostępnych górach. Nie rzadko się zdarza, że do chorego musi iść pieszo lub konno 9 godzin drogi. Widziałem jego parafiankę, która 48 godzin szła pieszo, aby się dostać do parafialnego kościoła i przystąpić do Św. Sakramentów.

Przed paru laty, X. proboszcz wśród pasterskiej wyprawy zleciał z konia i tak siępotłukł, że musiał leżeć w łóżku 4 miesiące. W braku innego kapłana, sam Biskup mostarski zjechał do Stolacza i zastępował go w czynnościach parafialnych. W tym czasie X. Biskup ochrzcił nawróconą przez X. Lazarewicza muzułmankę-cygankę, które chodzą bez zasłony i mogą mieć styczność łatwiejszą z chrześcianami. Cała jej rodzina udała się do Azyi i mąż ją zmuszał prośbami, gniewem, wkońcu kijem, aby za nim poszła. Wówczas ona uciekła z domu. Jakaż za to spotkała ją kara! Pomimo, że była słabą, z trzydniowem dziecięciem wtrącono ją do więzienia, chciano zmusić do odstępstwa, lecz wytrwała w wierze świętej. X. Biskup całą wrzekomą winę wziął na siebie. Wprawdzie uwolniono neofitkę, lecz X. Biskupowi za ochrzczenie muzułmanki kazano zapłacić 150 zł. a. w. Nb. stało się to wszystko nie za czasów tureckich, lecz kilka lat temu, już za rządów okupacyjnych. Z ust proboszcza i samej neofitki fakt powyższy słyszałem. X. Lazarewicz wziął ją w swoją opiekę wraz z małem dziecięciem.

Innym razem, również muzułmańska dziewczyna schroniła się do domu katolickiego, z zamiarem przyjęcia Chrztu św. Niestety, władza miejscowa (także nie turecka, lecz już okupacyjna), wysłała komisyę dla zbadania sprawy, gwałtem wyprowadziła dziewczynę z katolickiego domu i oddała pomimo jej płaczu w ręce tureckie. Muzułmanie postanowili czemprędzej wydać ją za mąż za jednego z wyznawców islamu. W tym celu sprowadzono jej do wyboru aż 27 młodzieńców, kupiono ze składek jedwabne i złotem haftowane niewieście ubiory, byleby chciała pozostać muzułmanką. Długo opierała się pokusie; wkońcu uległa, i dziś jest w muzułmańskim haremie.



Hercegowinka z Mostaru.

Stroje tutejszych mieszkańców nader malownicze, zwłaszcza niewiast, które zupełnie z turecka się noszą, w pstrych jedwabnych szarawarach, jubkach aksamitnych, często wyszywanych kosztownemi futerkami, lamowanych złotem. Na głowie fez zdobny w złociste lub srebrne blaszki, lub monety, pierś zasłana łańcuchami ze złota, medalami, monetami i t. p., zausznice i bransolety z cennego kruszcu, na nogach safianowe kolorowe sandałki również złotem i jedwabiem wyszywane. Ktoby chciał sądzić o bogactwie Hercegowiny z ubioru niewiast, bardzoby się mylił. Lud tutejszy czemkolwiek będzie się żywił, oszczędność jego w wydatkach jest nader wielką, lecz gdy idzie o strój żony lub córki, to już granic niema hojności. Często dziewczę hercegowińskie cały swój posag na sobie nosi, wartości kilkuset złr. w samej biżuteryi.

W parę godzin po moim przyjeździe do Stolacza, spadł deszcz obfity, powietrze ochłodziło się, więc skorzystałem, aby miasto zwiedzić. Właściwie prócz zamku, nic niema ciekawego do oglądania. W jednym tylko domku złożono wykopaliska z czasów rzymskich, znalezione w Stolaczu. Pierwszy zwrócił na nie uwagę archeologów X. Lazarewicz, proboszcz miejscowy. Badania kilkakrotne wykazały, iż Stolacz był znaczną kolonią rzymską. Niestety, z dawnych mieszkań, świątyń, może i pałaców, materyał spożytkowano do budowy zamku i mieszkań prywatnych. Pomimo wandalizmu wieków przeszłych, jeszcze dużo cennych zabytków i napisów znaleziono, między innemi prześliczne mozaiki, w kilku miejscach jeszcze doskonale zachowane. Nietylko mozaikowe desenie misterne, lecz i twarze naturalnej wielkości ze świeżym kolorytem mało co uszkodzone, wydobyto z prastarej podłogi, zasypanej

rumowiskiem parę metrów wysokiem. Archeologowie odnaleźli już mauzoleum, świątynię, termy i kilka mie-



JE. JAN Br. APPEL
Generał kawaleryi, Namiestnik Bośni i Hercegowiny.
(Zob. str. 265).

szkań rzymskich, z rozmaitemi naczyniami, narzędziami, monetami etc., które są jakby pieczęcią na autentyku, świadczącą o pochodzeniu wykopalisk.

Wieczorem wielki ruch w mieście. Zjechał JE. generał Br. Appel do Stolacza, na wizytacyę załogi wojskowej i urzędów cywilnych. Od trzech lat tu nie był, więc jako rzadki gość mile przez ludność, z trwogą przez władzę został przywitany. Skorzystano z mej obecności w mieście i zaproszono, abym w niedzielę, w dniu ŚŚ. Trójcy celebrował Mszę polną. Nazajutrz rano, jeszcze przed godziną siódmą, przybyła załoga wojskowa i zastęp urzędników cywilnych w pięknych mundurach galowych, począwszy od starosty i sędziego, a skończywszy na pisarzach i woźnych. Punktualnie o godzinie 7 przybył JE. generał br. Appel ze świtą i sztab generalny. W otwartem polu ustawiono ołtarz, gdzie cichą Mszę św. celebrowałem, następnie proszony przez generała, wszystkich obecnych pobłogosławiłem Najświętszym Sakramentem.

Po Mszy św. Excellencya zaprosił mnie na obiad, jaki on — czy dla niego dawano w kasynie wojskowem. Miałem ochotę wymówić się od tego honoru dla braku czasu, lecz gdy generał uprzedził, że obiad krótko trwać będzie, i że sam o 2-ej po południu wyjedzie, skorzystałem z jego łaskawości i zaproszenie przyjąłem.

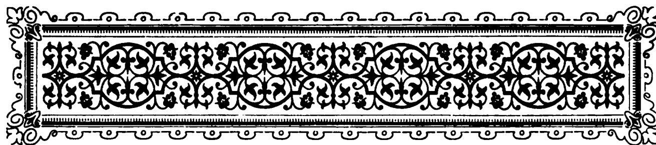
Mając jeszcze trochę czasu, złożyłem wizytę miejscowemu staroście p. Bardaczowi. Mówiliśmy ze sobą po niemiecku. Starosta był bardzo uprzejmy, lecz ani słowem nie zdradził swego z Galicyi pochodzenia, i że mówi doskonale po polsku. Czy może nosił na sobie piętno mniej sympatycznej rasy? na pewno nie wiem, lecz fizyonomia go zdradzała. W każdym razie bardzo sympatycznie wyrażał się o urzędnikach polskich, zajętych w Bośni i Hercegowinie, twierdząc, że lud bardziej z nich zadowolony, niż z Niemców a nawet Kroatów.



Widok miasta Stolacza.

O oznaczonej godzinie zebrało się w ogrodzie wojskowego kasyna z górą 60 osób wojskowych, urzędników cywilnych chrześcian i muzułmanów, a także kilku begów z okolicy. Z duchowieństwa był tylko Prałat Lazarewicz ze mną. Naturalnie nie brakło kadich, muftich i innych effendich wyznawców islamu. Służba wojskowa usługiwała do stołu przy dźwiękach muzyki węgierskiego pułku. Prócz katolików, byli przy stole wyznawcy kościoła wschodniego, luteranie, kalwini i spory zastęp islamitów. Istna wieża Babel co do pojęć religijnych, nie mniejsza co do rozmaitości języków, jakimi przy stole mówiono. Najpoważniej ze wszystkich wyglądali muzułmanie. Siedzieli oni przy stole z takiem namaszczeniem, jak derwisze w meczecie, pełni naiwnej zadumy...

Po krótkiej poobiedniej pogawędce, przyprowadzono wierzchowce dla odjeżdżającego generała Appela i jego świty, zajechał również mój powozik. Siadłem doń, unosząc ze Stolacza miłe wspomnienia.



ROZDZIAŁ XIV.

W wojskowym obozie i monasterze mnichów.

Wśród hercegowińskich wiosek. — Cmentarzyska. — Nocleg w żandarmskiej kuli. — Bileč. — W obozie wojskowym. — Niespodziewane zaprosiny. — Graniczny posterunek wojskowy w Mosko. — Wycieczka do monasteru w Dobričevo. — Przezorny towarzysz wojskowy. — Wnętrze cerkwi. — Księgi liturgiczne. — Mnisi czanogórscy. — Powrót do obozu. — Gościnność wojskowych.

Po wyjeździe ze Stolacza, miałem zamiar na noc zajechać do Bileču [wojskowe karty geograficzne nazywają go Bilek], ztamtąd misztą do Trebinji, następnie do Raguzy. Z rozmysłem wybrałem drogę najmniej zwiedzaną przez podróżnych. Chciałem bowiem zobaczyć okolice o pierwotnej kulturze, mniej cywilizowane przez rząd okupacyjny, a tem samem wierniejszy obraz odtworzyć sobie o całości Hercegowiny. Lecz, jak zwykle bywa w podróży, projekta musiały uledz niektórym zmianom. Wiózł mię muzułmanin Musza Hajrowić doskonałymi końmi, własnego chowu i wcale niezłym powozem.



Parę kilometrów za Stolaczem, rozpoczęła się okolica górzysta, jak wszędzie w tej okolicy, skalista. Nie bez trudności dostaliśmy się na wysoko położone płaskowzgórze, gdzie po zaz pierwszy zobaczyłem hercegowińskie sioła: Medżia, Milawiči, Bieljany i wiele innych o zupełnie odrębnym sposobie budowania. Po większej części są to szałasy z brył kamiennych słomą kryte, niekiedy mieszkanie urządzone w grotach skał. Dużo domów było zupełnie opuszczonych, niektóre zrujnowane, jakby po jakimś napadzie. Podobno czarnogórscy rabusie nawiedzają te okolice i wypłaszają ludność muzułmańską w bezpieczniejsze ustronia. Lud również typ ma odrębny. Więcej przypomina Czarnogórców swoich najbliższych sąsiadów, a co do ubrania jest im zupełnie podobny. Znikają turbany i wysokie fezy, natomiast za przekrycie głowy, służy niska okrągła czapeczka, najczęściej czarna o złotem haftowanem denku. Wszyscy, zwłaszcza mężczyźni, bardzo zgrabnie i zdrowo wyglądają, z wyrazem męstwa na twarzy.

Co parę kilometrów zatrzymuję woźnicę, aby przypatrzyć się grobom bogomilskim, których bardzo wiele po drodze spotykamy. Prześlicznie wygląda stare cmentarzysko przy siole Hatelji. Na rozległem pastwisku znajduje się wzgórek czy też kopiec rękoma usypany, *gomila,* a na nim 13 grobowców o kolosalnych rozmiarach, zupełnie podobnych tym, jakie widzieliśmy na drodze do Stolacza. Zaraz opodal wśród gaiku druga ich grupa, a są jeszcze piękniejsze, gdyż zdobne w płaskorzeźby i napisy starosłowiańskie. Stare cmentarzyska robią dziwne wrażenie, zanim się oko z niemi oswoi. Coś tajemniczego ukrywają w sobie i napróżno fantazya męczy się, aby prawdę wyświetlić, jakich ludzi prochy oczekują pod niemi dnia zmartwychwstania.



Hercegowiniec z nad czarnogórskiej granicy.

Oglądanie grobowców nie dozwoliło mi na noc zdążyć do Bileku. Znajdowałem się w okolicy dość pustej, nader dzikiej, w bliskości granicy czarnogórskiej. Musza oświadczył, że dalej jechać rzecz niebezpieczna, trzeba przenocować w Diwinie, pobliskiej wiosce muzułmańskiej. Nocleg w hanie tureckim, zwłaszcza na pustkowiu, nie bardzo mi się uśmiechał. Lecz woźnica pocieszył, mówiąc, że się znajduje w bliskości posterunek żandarmeryi, gdzie niezawodnie przyjmą podróżnego. Stanęliśmy przed forteczką, zbudowaną na sposób dawnych hercegowińskich »kula.« Wyglądają one jakby szeroka okrągła wieża z otworami do strzału, wewnątrz są mieszkania. Diwińska warownia zblizka nieco odmiennie wygląda: jest to wysokim murem otoczony domek piętrowy na dwunastu żandarmów. Ci za dnia zwyczajnie spoczywają w objęciach Morfeusza. Natomiast w nocy uzbrojeni w ostre ładunki, rozchodzą się po wszystkich ścieżynach okolicy, strzegąc mieszkańców od niespodziewanego napadu. Żandarm ma prawo w tej okolicy o każdej porze, chociażby wśród ciemnej nocy, wejść do jakiegokolwiek mieszkania i zrobić rewizyę, jeśli podejrzywa gospodarza o powstańcze knowania, a chociażby tylko o posiadanie — bez pozwolenia — palnej broni.

Gdy zadzwoniłem u fórty, ostry głos zapytał: »Kto tam?« Powiedziałem: »Swój« — proszę zawołać komendanta. Uchylono nieco drzwi przymknięte łańcuchem i żądano dalszej informacyi. Musza czemprędzej tak mnie zarekomendował, że odrazu odpięto łańcuchy i otworzono bramę na oścież. Przybiegł komendant załogi, zaprosił na górę i wprowadził do gościnnego pokoju, urządzonego wedle wymagań europejskich. Podobno w każdym posterunku żandarmskim znajduje się

w tych stronach pokój dla przejezdnych urzędników. Gospodarz domu był zakłopotany, co ma dać do jedzenia niespodziewanemu gościowi. Rozjaśniłem jego oblicze, dając do dyspozycyi podróżną spiżarnię. Jako znawca sztuki kulinarnej, zaraz zabrał się do roboty i tak obfitą przyrządził wieczerzę, że wszyscy obecni mogli się pożywić.

Nazajutrz rano Mszy św. odprawić nie mogłem, ponieważ w okolicy niema ani kościoła, ani nawet maleńkiej kaplicy. Ludność katolicka, rozprószona w rozmaitych zakątkach wśród wschodnich wyznawców lub muzułmanów, jest zmuszoną parę mil iść na Mszę św. lub, co częściej się zdarza, zupełnie zapomina o swoich obowiązkach.

Czas naglił, więc już o godzinie 5 rano byłem w drodze. Spotkałem znowu liczne groby bogomilskie w Orachowicach, pod Planą i koło Prieworu. Okolica bardzo pusta i jałowa, i pól ornych bardzo niewiele, najwięcej pastwisk lekko zalesionych skarłowaciałą dębiną i grabiną. Na domiar złego, młode drzewka obgryzają stada kóz i owiec. Kmiecie tutejsi miewają wogóle dużo trzody, niektórzy po 500 do 600 sztuk, a przytem po 30 i więcej bydła.

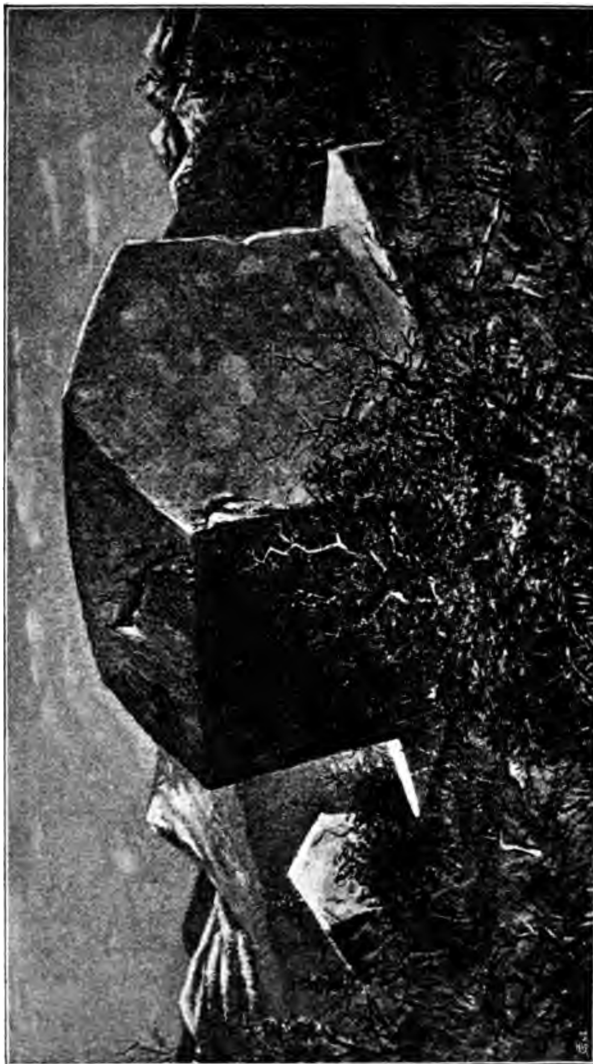
Droga zwolna spuszcza się na równinę. W dali widać na niej miasteczko Bilek (Bileč). Pierwotnie całe płaskowzgórze dochodzące 480 m. nad poziom morza, położone między pasmem gór Warder a źródłami Trebiničicy, nazywało się Bileč. Około $1^1/_2$ tysiąca dusz, w znacznej większości wschodniego wyznania, żyje rozprószona na tej wyjątkowo urodzajnej ziemi. W dawnych czasach znajdował się wśród gór Warderskich zamek dynastów Radinović'ów; miasta nie było. Dzisiejszy Bilek zawdzięcza swą egzystencyę przeważnie

gen. Galgoczy, znanemu u nas w Galicyi. W miejscu, gdzie Turcy wystawili baraki wojskowe jako posterunek graniczny przed Czarnogórą, po okupacyi, generał Galgoczy bez żadnej pomocy pieniężnej, wystawił w ciągu paru lat ładne miasteczko, umiejąc wyzyskać doskonały miejscowy materyał budowlany i dobrą wolę ludu.

Zajechałem do hoteliku a zarazem restauracyi, własności Czecha. Żalił się biedak, że podczas, gdy rząd Turkom wystawił meczet a Serbom cerkiew, katolicy nie mogą doczekać się nawet małej kapliczki. W szkółce ludowej uczy koranu hodżia, wschodniej wiary serbski duchowny, podczas gdy katolicy żadnej nie pobierają nauki religii. Kto chce być na Mszy św., musi iść do wojskowego obozu zwanego Nowy-Bilek, gdzie się znajduje kapelan i kaplica domowa.

W Starym Bileku nie było nic do oglądania; przez parę południowych godzin z konieczności zatrzymałem się, aby siebie, woźnicę i konie uchronić przed prażącemi promieniami słońca. Po drugiej godzinie z południa, byłem w drodze do Nowego-Bileku. W wojskowym obozie nie miałem innego interesu, jak oddać list polecony do kapelana miejscowego. Nie kazałem więc wyprzęgać koni, lecz czekać na siebie przed bramą wjazdową.

Nowy Bilek, to obóz według najnowszej mody: murem opasana wielka przestrzeń, na niej labirynt budynków rozmaitej wielkości, w nich załoga parutysięczna. Komendantem warownego obozu był wówczas Polak generał S. Kapelan X. Babusschek bardzo był ucieszony mojem przybyciem, nie mniej jak ja poznaniem w nim zupełnie odrębnego typu wojskowego kapelana. Trzyma się w rezerwie od towarzyskich zabaw i znajomości niepotrzebnych, za to więcej ma czasu



Groby Bogomiłów. Rysunek z natury.
(Zob. str. 272 i 284).

do nauki, którą umie spożytkować gdzie i kiedy potrzeba. Wojskowi starsi wysoko go cenią, żołnierze widzą w nim ojca. Kapelan umiał swym taktem zamienić obóz wojskowy w bardzo przykładną *quasi* parafię katolicką. Na Msze św. i kazania przychodzą w niedziele i święto tak licznie wojskowi, że obszerna kaplica nie może wszystkich pomieścić. Dla rozrywki znajduje się w obozie również biblioteka, czytelnia, w kasynie salony do zabaw etc. Swoją drogą, nie lada poświęcenia, męstwa i roztropności potrzeba ze strony kapelana, aby się nietylko nie dać wciągnąć w wir światowy, ale bez żadnej innej zewnętrznej pomocy módz być zawsze drogowskazem chrześciańskiego życia.

Gdy wychodziłem z bram warowni, przystąpił do mnie kapitan narodowości węgierskiej i zaprezentował się jako Jerzy *Sehertl,* komendant (19 pułku) granicznej załogi w Mosko. Cel znajomości był następujący: Dowiedziawszy się o mnie, że podróżuję po Bośni, przyszedł prosić, abym nie pominął jego posterunku, i ztamtąd zrobił wycieczkę do monasteru w Dobričevo. Prawdopodobnie dowiedział się o mnie od woźnicy Muszy, który gdzie mógł chwalił się, że wiezie bega z dalekich stron, i opowiadał o mnie niestworzone rzeczy. Zresztą rzecz obojętna, zkąd się dowiedział, dość, że uprzejmy kapitan zaproponował, abym się zatrzymał w Mosko, obiecał zaraz zatelefonować do swego zastępcy, aby konie wierzchowe były przygotowane na drogę do Dobriczewa. Wieczorem mieliśmy się zjechać z powrotem w obozie.

Za tak uprzejme acz niespodziewane zaproszenie, mogłem tylko serdecznie podziękować i przyjąłem takowe z radością.

Ruszamy w drogę tuż nad granicą czarnogórską. Przed jakąś karczmą, czyli hanem, widzę między Czarnogórcami hercegowińskimi tęgiego młodzieńca z brodą i puklami włosów spadającymi na ramiona. Od towarzyszy karczemnej zabawy różnił się tylko schludniejszym i bogatszym ubiorem. Musza poznaje w nim mnicha z monasteru Dobričewo — *Otca Simeona.* Woźnica stanął, skinął na Otca Simeona, ten przybiegł do nas i dowiedział się, że niebawem do ich klasztoru przybędę. Kaloger krótszemi drogami, na przełaj przez krzaki i skały, zaraz poszedł zawiadomić o tem swego przełożonego. Po chwili widzimy przed sobą tumany kurzu unoszącego się w powietrzu. Nadjeżdża młodziutki kadet na spienionym rumaku. Salutuje — prezentuje się i mówi: »Kapitan zapewne o przyjeździe księdza nam telefonował — konie posiodłane, eskorta w pogotowiu.«

Przyjąłem raport do wiadomości, poczem rozmawiamy ze sobą, gdyż uprzejmy wojskowy jedzie obok powozu. Około 6 po południu stanęliśmy w Mosko, granicznym posterunku wojskowym. Zbliża się porucznik, zastępca komendanta Gustaw *von Mitterpacher,* zapoznajemy się i niezwłocznie siadamy na konie.

Eskorta złożona z kilku żołnierzy uzbrojonych w karabiny i ostre ładunki, rozdzieliła się na dwie części: jedna nas wyprzedzała kilkanaście kroków, druga szła za nami. Z porucznikiem jechałem razem, lub gęsiego, jak się udało, po wązkich ścieżynach wijących się wśród skał. Po półgodziny drogi, wśród której parę razy trzeba było zsiadać z konia i wspinać się po głazach rękami i nogami, wyjechaliśmy nad samą granicę czarnogórską. Tworzy ją rzeka Trebinjčica, bardzo obficie na brzegach zalesiona zielonem drzewem liściastem.

Porucznik, oczytany młodzian, zadawał mi tysiące głębszych pytań z dziedziny filozofii i teologii. Z naiwnością dziecięcą cieszył się z rozwiązania wielu wątpliwości, dręczących go nieraz całemi nocami, których rozwiązania daremnie szukał w swej podręcznej biblioteczce. Można sobie wyobrazić, jak i mnie było miło w tej dzikiej a pięknej okolicy na pograniczu, w dali od świata cywilizowanego, znaleźć łaknącą prawdy duszę.

Dwugodzinna jazda minęła jak jedna chwila. Wtem wśród zieleni dostrzegamy stada kóz i owiec; słyszymy wesołe śpiewy pastuszków; staje przed nami po drugiej stronie rzeki monaster (Košjerewo) mnichów czarnogórskich. Okrążamy górę i kilkaset kroków dalej jeszcze po stronie Hercegowiny, lecz przy samej czarnogórskiej granicy, widzimy bielejące się mury forteczki. Wygląda jak oaza wśród wąwozu wysokich gór, lecz oaza obronna: to Dobričewo, cel naszej wycieczki. Doznaję wrażenia, że się znajduję w średnich wiekach, tak przynajmniej przemawiają do fantazyi mury forteczne i mieszkańcy klasztoru. Zbudowano takowe w czasach, kiedy napady muzułmanów bywały częste i bez żadnej poważnej przyczyny, jedynie w celu rabunku. Obydwa klasztory tak w Košjerewie jak w Dobričewie, były pierwotnie w ręku OO. Bazylianów greckich, zanim je zreformował sławny mnich Sawa, wyżej przez nas wspomniany.

Zsiedliśmy z koni. Porucznik cichym głosem żołnierzom rozkazy wydaje, straże rozstawia, widocznie obawia się niespodziewanego napadu czarnogórskich górali. Zbiegła się służba klasztorna i okiem zastraszonem, z niedowierzaniem na nas spoglądała. Porucznik chciał zostać przed bramą, i sam utrzymywać porządek nad



Źródła Buny. (Zob. str. 266).

strażą, tłumacząc się, że za wszystko jest odpowiedzialnym przed władzą. Ledwie z trudnością dał się namówić, abyśmy razem zwiedzali wnętrze klasztoru. Lecz i tu sprytny Węgier przewidywał niebezpieczeństwo, więc kazał iść za sobą żołnierzowi uzbrojonemu w karabin i bagnet.

Zaraz zjawili się mnisi klasztorni z ihumenem na czele. Wszyscy mieli na sobie ubiór czarnogórskich górali, niczem innem nie różniąc się od nich, jak tylko długimi włosami i brodą. Chociaż Otec Simeon zawiadomił ich o mojem przybyciu, na twarzach biedaków dostrzegłem jakieś zakłopotanie, wyraz trwogi. Widocznie nie spodziewali się, że z eskortą przybędę. To też zaraz wytłumaczyłem, dlaczego w zbrojnem towarzystwie przybywam, ihumen uznał racyę i zaprosił do zwiedzenia klasztoru. Wnętrze tak się przedstawia: Wysokie mury forteczne otaczają wszystkie zabudowania. Pośrodku dziedzińca wznosi się cerkiew murowana, po bokach pod murami obronnemi mieszkania dla mnichów i służby, stajnie dla bydła i trzody. W celi ihumena, urządzonej wcale wygodnie i z europejska, oddaliśmy pokłon należny gospodarzowi, następnie weszliśmy do cerkwi, aby oglądać stare freski wyblakłe od wilgoci, lecz jeszcze jako tako zachowane na ścianach. Zaczęło się zciemniać, więc zapalono pochodnie. Podczas, gdy mój towarzysz ogląda osobliwości cerkiewne, ja idę za carskie wrota i przypatruję się księgom liturgicznym, gdzie wydane, czyim nakładem etc. Niestety, właśnie te kartki we wszystkich mszałach były powycinane... W miejscu, gdzie zwykle bywa wielki ołtarz, stał stół wysoki bez tabernaculum. Nadszedł jakiś mnich, więc pytam, czy nie przechowują w cerkwi Najśw. Sakramentu. »I owszem« odpo-

wiedział, pochwycił kolorową chustkę leżącą na stole i chciał mi pokazać, że w niej się znajduje. Prosiłem, aby położył na swojem miejscu i czemprędzej wyszedłem.

Jeden z OO. Minorytów opowiadał mi w Fojnicy, że mnisi ortodoksi nie przechowują Najśw. Sakramentu, lecz tylko chleb błogosławiony, i tylko taki dają obłożnie chorym. Czy i tutaj był tylko chleb błogosławiony a nie hostya konsekrowana, trudno było mi zbadać.

W cerkwi nie paliła się żadna lampka, tylko na nasze przyjęcie poczęto zaświecać piękny pająk wiszący pośrodku miejsca przeznaczonego dla ludu. Zresztą żadnych osobliwości tutaj nie widzieliśmy. Ihumen mówił, że co było cenniejszego, Turcy zrabowali. Po oglądaniu cerkwi, rzuciliśmy okiem na mieszkania zakonne i poszliśmy raz jeszcze do ihumena, aby wypić strzemiennego. Podano koniak własnego wyrobu i czarną kawę. Węgier pić nie chciał (obawiał się jakiejś mikstury), lecz gdy ja wypiłem, poszedł za moim przykładem.

Już słońce zaszło dawno, gdy pożegnaliśmy mnichów z Dobričewa. Prócz ihumena i Otca Simeona, podobno żaden inny nie zna się na sztuce czytania. Wobec tego, biblioteka w monasterze jest rzeczą zupełnie zbyteczną, i niema jej wcale. Zbytecznym jest również jakiś dziennik. Wszak Otec Simeon w hanie stojącym przy publicznej drodze, najnowsze zaczerpnie wiadomości z wszechświatowej polityki, które wystarczą dla jego zakonnej braci. Mnisi tutejsi żyją w celibacie. Rzecz niezwyczajna w tych stronach.

Naoczny świadek opowiadał mi, że w tych okolicach, lecz już w Nowym Bazarze, mianowicie w monasterze Św. Trójcy, mnisi wynaleźli pośredni sposób życia. Zwyczajnie mieszkają po za obrębem klasztoru w swych prywatnych domkach razem z żoną i dziećmi,

a tylko na parę godzin zbierają się w monasterze, lub cerkwi, na wspólne modlitwy. Tylko jeden z nich stale mieszka w klasztorze, na straży domu Bożego.

Jeżeli jazda wśród skał i wertepów za dnia przedstawiała pewne trudności, cóż powiedzieć, gdy słońce zgasło, a księżyc jeszcze nie zeszedł i nie zdołał rozprószyć ciemności nocnych, potęgujących się w wąwozach i leśnych parowach! Co do mnie, tak dzielnego miałem wierzchowca, hercegowińskiego pochodzenia, że śmiało mogłem zaufać jego silnym nogom przyzwyczajonym do podobnych dróg. Mój towarzysz często musiał zsiadać lub dać konia prowadzić w miejscach, gdzie jeden krok fałszywy mógł spowodować katastrofę. Pomimo tego, a może i dlatego humor nas nie opuszczał, wesołej rozmowy nic nie przerywało, cisza zaległa całą okolicę, słychać było tylko monotonny szum Trebničicy, lekkie stąpanie naszej eskorty i parskanie koni. Bez żadnego wypadku wyjechaliśmy z lasu, lecz nie mniej szczęśliwie udało się uniknąć wszystkich Scyll i Charybd, poszarpanych skał dzielących nas od szczęśliwego portu: obozu w Mosko. Była już 10 godzina, gdyśmy tam przybyli. Miałem zamiar zaraz dalej jechać powozem do Trebinii, lecz panowie oficerowie w żaden sposób bez kolacyi nie chcieli mię puścić, mówiąc, że muszę zjeść z nimi »palaczynki« na cześć gościa przyrządzone.

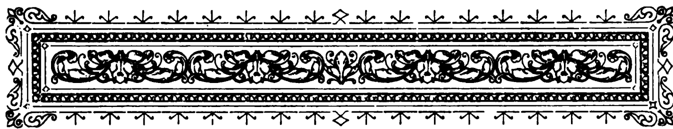
Przy sutej kolacyi z gustem i dobrze podanej, bawiliśmy się nader wesoło. Temat rozmowy był tego rodzaju, że nawet dziecko, gdyby się znajdowało, wyniosłoby z niej zbudowanie i korzyść. Nie obeszło się bez toastu. Kapitan wzniósł go w moje ręce jako przedstawiciela stanu zakonnego, aby spłacić dług wdzięczności za gościnność doznaną niejednokrotnie



F o c z a od strony północno-zachodniej, dawna stolica Sandżak-bega Hercegowiny. (Zob. str. 250).

w domach zakonnych podczas manewrów lub wojny. Odpowiedziałem, wznosząc w ręce kapitana toast armii austro-węgierskiej, od której doznałem wiele uprzejmości w czasie mych podróży, zwłaszcza od 19 pułku węgierskiego. *Elien!* powiedzieliśmy sobie wzajemnie i rozstali, mówiąc do widzenia. Lecz gdzie i kiedy? Najniezawodniej na dolinie Jozafata.





ROZDZIAŁ XV.

Trebinja. — Metkowic.

Podróż wśród nocy. — Wjazd do Trebinji. — Uprzejmość Włocha. Wspomnienia z przeszłości miasta. — Podania o pobycie Ś. Piotra Apostoła. — Trebinja jako stolica biskupia. — Gumiliany — grób wojskowej kompanii. — Uroczystość Bożego Ciała. — Na drodze do Raguzy. — Adryatyk. — Przy ujściu Neretwy. — Fort-Opus. Metkowic. — Dawne gniazdo korsarzy.

Zbliżała się północ, gdy opuściłem Mosko. Turczyn cwałem pędził konie wzdłuż czarnogórskiej granicy, nie będąc pewnym ludzi okolicznych. Przy małej latarce dokończyłem odmawiać zwykłe pacierze kapłańskie, poczem przypatrywałem się oryginalnym widokom górzystej okolicy.

W pobliżu jakiejś tureckiej wioski, gdy pod górą wysiadłem z powozu, aby ulżyć ciężaru koniom, o mało że nie rozszarpały mnie psy zjadliwe. Zresztą jechaliśmy bez żadnych przygód, i przestrzeń, na którą zwykle potrzeba $1\frac{1}{2}$ godziny, przebyliśmy w niespełna godzinę.

Chociaż północ, przecież przy jasnym blasku księżyca w pełni mogę okiem ogarnąć całą okolicę. Wjeżdżamy na szeroką trebińską równinę, jedną z najbardziej urodzajnych w Hercegowinie. Dokoła wznoszą się wysokie i szerokie łańcuchy gór, puste, jałowe skały, przygniatające umysł swymi rozmiarami. Srebrzysta wstęga Trebjinicy wije się wśród kotliny, rozdziela się na kilka ramion, użyźniając pola jak Nil egipski. Miasto rozsiadło się nad główną arteryą Trebjinicy. Pierwsza dzielnica stara turecka ma wygląd obronny w budowie domów. Skupiają się one około warowni z potężnymi murami, otoczonej wodą. Nowsza część miasta, powstała już po okupacyi, nosi na sobie cechę zupełnie odrębną. Szerokie ulice i place, rzędy kamienic europejskiego stylu, przypominają nasze miasta prowincyonalne. Jest tu i hotel okazały — jak na 4000 ludność Trebinji. Zbliżamy się do niego w nadziei dobrego nocnego spoczynku. Lecz już na wstępie mówią nam, że ani jednego niema wolnego pokoju, wszystko przez wojsko zajęte. Woźnica, podobnie jak ja, nie wie, gdzie się obrócić, gdyż po raz pierwszy znajduje się w tem mieście. Stajemy na ulicy, zdecydowani nocować w powozie pod gwiaździstem sklepieniem niebios, którego piękności nie zakrywał ani jeden obłoczek. Atmosfera wcale była łagodna, gdyż kamienie i mury domów za dnia rozpalone promieniami słońca, dostatecznie łagodziły chłód nocy. Wtem zbliża się do mnie jakiś obywatel tutejszy, ofiaruje swoje usługi i po włosku pyta, czy nie potrzebujemy mieszkania. Był to aptekarz miejscowy, Włoch. Po chwili wprowadził mnie do prywatnego mieszkania na piętrze, gdzie zająłem piękny i dobrze umeblowany pokoik. Z gospodarstwa nikt się nie pokazał. Tyle tylko dowiedziałem się, że



Trebinja nad rzeką Trebjinicą od strony Bileku. (Zob. str. 3oo).

właścicielką kamienicy jest jakaś wdowa czarnogórska, wyznania wschodniego, która ma parę pokoików do wynajęcia dla przejezdnych osób. Z dzieł i broszur, jakie się znajdowały w pokoju i rozmaitych innych gratów, poznałem, że jest to mieszkanie prywatne lekarza. Cały sposób przyjęcia w gościnę tak był oryginalny i pełen prostoty, że nie miałem najmniejszej wątpliwości, iż się znajduję w bezpiecznem miejscu.

Nazajutrz rano, pierwsze kroki zwracam do kościoła. W proboszczu poznałem dawnego znajomego z Rzymu, który razem ze mną w tym samym dniu i w tej samej bazylice lateraneńskiej w r. 1883 otrzymał święcenia kapłańskie z rąk kardynała Monaco La Valetta. Ileż miłych wspomnień obudziło się w sercu! Po Mszy św. zabrał mię ze sobą na oglądanie miasta.

Trebinja jeszcze piękniejszą wydała się przy świetle dziennem. Ponure góry otaczające równinę, są ożywione licznymi fortami i warowniami, kolejno budowanymi przez Turków, Wenecyan, Francuzów i Austryaków, rozsianymi wieńcem, co nadaje całej okolicy wojowniczy charakter. Zresztą już od bardzo dawnych czasów Trebinja była ważnym posterunkiem wojskowym. Cesarz Konstantyn Porfirogeneta wspomina o niej jako stolicy słowiańskich książąt, panujących z jednej strony od granic dawnej Dyoklei, aż po Kotar i Raguzę, z drugiej po Bilek, Popowo-Polje i Gacko. W średnich wiekach Trebinja była pierwszym etapem na handlowej drodze z Raguzy do Konstantynopola. Prawdopodobie tędy szły wojska podczas wypraw krzyżowych. W późniejszych czasach rozgrywały się na trebińskiem polu walki między Wenecyanami a Turcyą; hercegowińskie powstania tutaj najsilniej wrzały. W pobliżu miasta, w małej miejscowości Tzrnać, znajdują się ruiny kla-

sztoru, o którego dawnym kościele miejscowe podanie mówi, że został założony przez Św. Piotra Apostoła.



X. PASCHALIS BUCONJIĆ
z zakonu OO. Minorytów, Biskup Mostarski i administrator dyecezyi Trebińskiej.

Trebinja była również znaną Rzymianom, skoro z pobliskiego miasta rzymskiego Sallunto, tędy droga prowadziła do Dyoklei, zresztą liczne monety rzymskie

tamże znajdowane to potwierdzają. Łatwo więc możemy przypuścić, że Św. Piotr Ap. idąc do Dalmacyi, zakładał po drodze gminy chrześciańskie, które następnie stawiały kościoły już w pierwszych czasach ery chrześciańskiej [1]).

Stare i pewne pomniki podają, że w Trebinji już w IX wieku była rezydencya biskupa. W następnych wiekach prześladowania Bogomiłów, później innowierców i Turków, często zmuszały miejscowego biskupa do ucieczki, wkońcu do przeniesienia swej stolicy na wyspę *Marcona,* gdzie pod osłoną potężnej Raguzy było mu bezpieczniej. Od tego czasu biskupi trebińscy otrzymali tytuł *Ep. Marconensis et Tribuniensis.* Papież Grzegorz XVI powierzył administracyę tej dyecezyi biskupowi raguzkiemu. Gdy Ojciec św. Leon XIII przywrócił w r. 1881 hierarchię kościelną w Bośni i Hercegowinie, bullą erekcyjną Trebinję oddał jako sufraganię arcybiskupowi Wrhbosneńskiemu. Obecnie administratorem tej dyecezyi jest biskup mostarski X. Paschalis Buconjić, również sufragan arcybiskupa sarajewskiego [2]).

Proboszcz trebinjski marzy o nominacyi miejscowego biskupa. Co prawda, osobny biskup obecnie niewiele miałby do roboty, skoro na 150.000 ludności tej dyecezyi, zaledwie 14.200 znajduje się katolików, 9 kościołów, 8 kapłanów i 5 kleryków. W samej Trebinji jest podobno tylko 600 katolików, nie licząc wojskowej załogi 2000, przeważnie katolickiej.

---

[1]) O hipotezie pobytu Św. Piotra w Dalmacyi, mianowicie w Zadarze, mówiłem w dziele p. t. *W Dalmacyi i Czarnogórze* str. 28—30, i w *Missyach katolickich* z r. 1894 na str. 58.

[2]) Cf. *Missiones Catholicae* cura S. Congregationis de Propaganda Fide descriptae. Anno 1898. Romae ex Typogr. Polyglotta. S. C. de Prop. Fide.

W miejscowych szkołach handlowej i elementarnej X. proboszcz udziela tylko po dwie godziny tygodniowo katechizmu. W elementarnej szkółce znajduje się 70 dzieci, lecz tak są zaniedbane, że spore dzieciaki nie umiały odmówić »Wierzę w Boga« a niektóre »Zdrowaś Marya.«

Ze sympatycznym kapelanem wojskowym X. Antonim Bolkowić, Słowianinem styryjskim, zrobiliśmy wycieczkę do Gumilian, pamiętnych dniem 7 września 1878 roku. Tam na małej przestrzeni rozrzucone są przy drodze bryły kamienne, nie przedstawiające na pierwszy rzut oka żadnego niebezpieczeństwa. Podczas okupacyi, nieostrożny kapitan, pomimo przestróg, zbliżył się ze swą kompanią z Trebinji aż po Gumiliany. Wtem hercegowińscy powstańcy, ukryci za kamieniami, wzięli na cel austryackich żołnierzy i całą kompanię trupem położyli. Na pobliskim cmentarzu wystawiono poległym piękny pomnik, a na nim wyryto imiona wszystkich, którzy w tym boju polegli. Kapian, 2 poruczników, 2 podporuczników i 70 żołnierzy, pogrzebani w jednym grobie, oczekują tutaj dnia zmartwychwstania.

Dzień 13 czerwca, uroczystość Bożego Ciała, żywo zapisał się w mej pamięci. W zastępstwie kapelana miałem Mszę św. dla wojskowej załogi, następnie asystowałem uroczystej Sumie i procesyi z Najświętszym Sakramentem. Od niepamiętnych czasów podobnej uroczystości nie było w Trebinji. Niektóre aparata kościelne wypożyczono na ten dzień aż z Raguzy. Ustawiono w mieście 4 ołtarze, gdzie czytano Ewangelię po kroacku. 24 strzałów armatnich zagrzmiało z cytadeli przy rozpoczęciu procesyi, a przy błogosławieństwie kompania wojska dawała karabinowe salwy.

Baldachin niosło sześciu rosłych jak dęby Hercegowińców w przepysznych narodowych strojach, lśniących od złota i jedwabiu. Otwierała pochód orkiestra hercegowińska, a wśród niej jeden muzułmanin z zapałem przygrywał. Za nią postępowało bractwo kościelne z krzyżem i chorągwiami, a bezpośrednio przed celebransem sześciu chłopaków, czerwono ubranych, niosło kadzidła i trybularze. Za nami postępowali dygnitarze cywilni i wojskowi; tłum ludu rozmaitych wyznań kończył pochód. Łzy stawały mi w oczach z radości, iż mogłem brać udział w pierwszym tak uroczystym hołdzie składanym Chrystusowi Panu. Jeszcze do niedawna za czasów tureckich, a nawet już po okupacyi, nie można było marzyć o podobnej uroczystości z obawy przed muzułmanami.

Wśród islamitów biorących udział w procesyi, widziałem jednego majętnego Turczyna, który wobec swoich wyznawców miał odwagę wypowiedzieć, że religia katolicka jest bardzo godną uszanowania, ponieważ posiada środki umoralnienia, jakich muzułmanie nie mają.

Tego samego dnia po południu wyjechałem z Trebinji do Raguzy. Dłuższy czas jechaliśmy pod górę, dopokąd nie przebyliśmy pasma otaczającego trebińską równinę. Po drodze spotykamy kilkanaście *kul* tureckich, w części jeszcze zupełnie dobrze zachowanych, wyglądających zdala na szczytach gór jak baszty opuszczonych zamczysk. Jak do niedawna kryły w swych obronnych murach załogę turecką, tak dziś są zajęte przez straże austryackie. Cała okolica bardzo dziko i jałowo wygląda, Droga wije się wśród rozpadłych skał i brył wapiennych o fantastycznych kształtach. Co krok to nowa kryjówka dla bandyty lub nieprzyjacielskiego sąsiada. Dostrzegam przy drodze krzyż



Trebinja. Nowsza część miasta z koszarami i urzędami. (Zob. str. 300).

mały. Woźnica mój opowiada, że przed dwoma laty, w tem miejscu jeden muzułmanin i dwu Czarnogórców w biały dzień nożami zamordowali podróżnego, pomimo, że posterunek żandarmeryi znajdował się w pobliżu, zaledwie o kilkaset kroków. Takich zbójów nie jeden, ale tysiące może się ukryć przy samej drodze, a podróżny ich nie dostrzeże. Wjeżdżamy na górę Drjeno (477 m. nad poz. morza), zkąd po raz pierwszy na tej drodze zobaczyłem w dali morze Adryatyckie.

Konie spoczęły, i znowu dalej wspinamy się wężownicą pod górę, dzielącą nas od granicy Dalmacyi. W Carina wiza paszportu. Odtąd rozpoczyna się niezrównany widok na urodzajną kotlinę z kulturą południowo - europejską, otoczoną wieńcem większych i mniejszych pagórków przekrytych winną latoroślą. Pośrodku kościół wśród cyprysowych gajów, obok ogrody warzywne, łąki z pasącem się bydłem i trzodą. Szczyty gór popielate łączą się z lazurowem sklepieniem; w dali szmaragdowe morze o srebrzystym połysku — wszystko olśnione blaskiem zachodzącego słońca. Odmienną też odczuwam atmosferę. Niezawodnie bliskość morza wiele na nią wpływa. Czuć zarazem, że się znajdujemy w okolicy o wiekowej wyższej kulturze, której moc muzułmańska nie śmiała skrępować.

Wjeżdżamy na terytoryum dawnej Rzpospolitej Raguzkiej. Droga prowadzi brzegiem pasma gór i Adryatyku. Po prawej stronie widzę znane z piękności ogrody i wille pełne róż, kwitnących kaktusów, agaw, pistacyj, granatów, drzew figowych i oliwnych, misternie osadzonych na tarasach skalistych. Raguza od hercegowińskiej granicy jeszcze piękniej i okazalej wygląda. Potężniejsze też z tej strony mury posiada i baszty z kamienia ciosowego wykute, rzekłbyś Cyklopów roboty.

Chociaż już po raz trzeci do Raguzy przybyłem, toż samo, a może jeszcze silniejsze wrażenie na mnie zrobiła. Kto zna przeszłość sławnej Rzpospolitej, sądzę, że tego samego dozna uczucia, uszanowania i radości, gdy los szczęśliwy da mu sposobność zawitać do stolicy słowiańskiej cywilizacyi na południowych kresach [1]).

W Raguzie zatrzymałem się tym razem krótko, zaledwie 1 $1/2$ dnia. Nie chcąc powracać tą samą drogą, wsiadłem na mały parowczyk, kursujący między Raguzą a Stagno, głównem miasteczkiem długiego półwyspu Sabioncello. Zamiast go okrążać parowcem, przebyliśmy jego szerokość końmi w ciągu $1/4$ godziny, i zastaliśmy na drugim brzegu inny parowiec, który nas zawiózł do Fort-Opus i Metkowic, granicznego miasta między Dalmacyą i Hercegowiną. Przestrzeń około 80 kilometrową z przestankami przebyliśmy zaledwie w ciągu 12 godzin. Nie będę opisywał tej nudnej i długiej drogi. Z morzem już byłem oswojony. Skaliste wybrzeża Dalmacyi i części Hercegowiny z zatoką ongi turecką Klek, już nie robiły na mnie tak silnego wrażenia, jak po raz pierwszy przed kilku laty. Monotonia morskich wybrzeży zmieniła się, gdyśmy wpływali w ujścia Neretwy. Już zdala widać było jej nader szerokie łożysko i dziwną grę kolorów przy mieszaniu się wody słodkiej z morską. Zielonawe strugi słodkiej wody rozlewały się po powierzchni morza, utrzymując się, jako lżejsze, czas jakiś na jego powierzchni. Płyniemy samem łożyskiem Neretwy. Parowczyk coraz silniej począł pracować, sapać, wszystkie swe siły wytężać, aby przełamać opór prądu wody spływającej do morza. Rozliczne boczne gałęzie rzek i strumyków,

[1]) Obszernie pisałem o Raguzie w dziele p. t. *W Dalmacyi i Czarnogórze* l. c. (str. 179—233).

zalewają całą okolicę, czyniąc ją najniezdrowszą w Dalmacyi. Fort-Opus, miasteczko i forteczka tegoż nazwiska, strzeże wejścia do głębi Hercegowiny. Delta Neretwy pięknością wcale nie zachwyca. Lud tutejszy mizerny, z widocznym śladem przebytej febry; atmosfera przesiąkła zgniłą wilgocią.

Przed zachodem słońca stajemy w Metkowic. Miasteczko położone na wzgórzu. Dominuje nad niem kościół i klasztor OO. Minorytów. Wśród różowego światła zachodzącego słońca widok na miasto i klasztor prześliczny. Niestety, i tutaj lud mizernie wygląda. Podróżny tylko koniecznością zmuszony zatrzymuje się, gdyż jedna noc przebyta wśród tej atmosfery, może sprowadzić silną febrę, a w ciągu 6 godzin śmierć. To też wszyscy czemprędzej zdążaliśmy do dworca kolejowego, aby uciec, jak przed zmorą, w głębiny hercegowińskie, gdzie inne powietrze i inny świat. A jednak dawniej i tutaj było inaczej. Właśnie w tem miejscu, gdzie dziś się wznoszą mury Metkowic, stało sławne rzymskie miasto Narona. Zburzone przez Awarów i Słowian w VII w., stało się gniazdem piratów Neretwian, którzy przez kilka stuleci byli postrachem mieszkańców na Adryatyckich wybrzeżach.

W pobliżu dawnej Narony, tam, gdzie dziś znajduje się wioska Viddo, istniało miasto korsarskie tejże nazwy. W r. 873, admirał cesarza bizantyńskiego Bazylego, skłonił wprawdzie Neretwian do przyjęcia Chrystusowej nauki, lecz cesarz Konstantyn wspomina o nich jako o poganach. W następnym wieku o mało że Wenecya, w samych początkach swego rozwoju, nie została przez korsarzy zniszczoną. Ledwie mogła rocznym haraczem okupić u nich wolność handlu na Adryatyku.

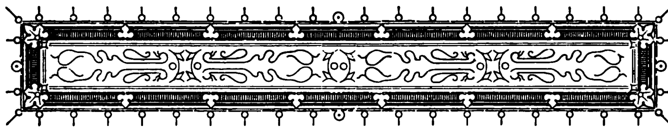


Widok na miasto Metkowic. (Zob. str. 310).

Dopiero w r. 997, doża Piotr II Orseolo, złamał potęgę neretwiańskich korsarzy i zapewnił panowanie Wenecyi na dalmatyńskich wybrzeżach.

Szczęśliwym przypadkiem zjechałem się na kolei z Prowincyałem OO. Minorytów hercegowińskich, wracającym z generalnej kapituły świeżo odbytej w Assyżu. Wiele mieliśmy sobie do opowiadania, to też przestrzeń dzieląca nas od Mostaru minęła niepostrzeżenie. Noc była, gdyśmy przybyli do stolicy hercegowińskiej. Zaraz nazajutrz w dalszą puściłem się drogę na Sarajewo i inne już nam znane miasta Bośni. Spieszyłem, aby nawiedzić sławne z exorcyzmów świętojańskich Podmilacze, i powrócić do zwykłych mych zajęć na rodzinnej ziemi.





ROZDZIAŁ XVI.

Wycieczka missyjna do Polaków i Rusinów w Bośni.

Okolice starej i bośniackiej Gradiski. Cygańska wioska. Kolonie: niemiecko-polska w Windhorście, i polskie w Celinowaczu, Milewaczu i Bakinci. Pobożność ludu. Prace i przygody. Stan materyalny kolonistów. Włoska kolonia w Mahowliani. Rusini z Bakinci i Celinowca. Rekolekcye dla polskiej inteligencyi i nauki dla ludu w Banialuce i Sarajewie. Powrót przez Trawnik — Doboj — Dolną Tuzlę. Wspomnienia z dawnych czasów. Tuzlańscy Polacy. Saliny w Semin-hanie. Possawina. Brčka.

Gdy przed trzema laty po raz pierwszy przyjechałem do Bośni, wspominał mi ks. biskup Markowić, że w jego dyecezyi banialuckiej znajdują się polscy koloniści, także Rusini i zachęcał do ich odwiedzenia. Wówczas zajęty innemi sprawami, nie mogłem zadość uczynić jego życzeniu, sposobność jednak nadarzyła się w bieżącym roku (1898). Oto otrzymałem list jednego z kolonistów polskich w Bośni, z którego poznałem smutny stan, w jakim się tam znajdują nasi rodacy, pozbawieni

nawet tej pociechy, aby mogli wyspowiadać się w czasie wielkanocnym. Niezwłocznie napisałem do ks. metropolity bośniackiego, arcybiskupa Stadlera w Sarajewie i do ks. biskupa Markowića w Banialuce z zapytaniem, czy mogę w czasie wielkopostnym oddać się pracy apostolskiej w Bośni. Gdy otrzymałem najprzychylniejszą odpowiedź, dnia 5 marca wybrałem się w drogę.

Z Krakowa na Wiedeń — Zagrzeb przyjechałem 8 marca w południe do maleńkiej stacyi Okučani, położonej w Slawonii, na linii Zagrzeb — Sunia — Brod bośniacki. Tutaj zastałem już pakę książek religijnej treści, przeznaczoną dla kolonistów, jaką parę dni przed wyjazdem wysłałem z Krakowa. Naczelnik stacyi z uśmiechem mi mówił, że gdy paka nadeszła, pomyślał, że albo jakiś socyalista jedzie agitować wśród południowych Słowian, albo dobry kapłan, bo kto inny nie wiózłby ze sobą biblioteki do Bośni.

Przypadkowo znalazłem na stacyi jakiś wózek bośniacki, ciągniony przez dwa rumaki mało co większe od kotów; właściciel w czerwonym turbanie, zresztą podobny do naszego podolskiego wieśniaka, łatwo się zgodził przewieźć mnie do Starej Gradiski, w średnich wiekach zwanej Brebirem, w starożytnych Servitium, ostatniego posterunku rzymskiego na drodze cesarskiej ze Salony do Panonii.

Czas mieliśmy dżdżysty, w prawo i lewo pola wodą zalane, w powietrzu wilgoć niesłychana, wszelkie drzewa żywe i martwe grubo mchem zielonkowatosiwym obrosłe. Wioski, przez które wypadło nam przejeżdżać, pełne wody i błota, to też mieszkańcy radzą sobie, jak mogą, stawiając domy na palach, a na nich dopiero kładą belki i cegły pod budowę mieszkań. Przestrzeń wolna między ziemią a podłogą domów jest

ulubionym spacerem drobiu lub stacyą kąpielową nierogacizny. Po dwugodzinnej jeździe przybyłem do dawnej granicznej austryackiej warowni, silnie zbudowanej z kamienia, otoczonej głębokiemi rowami, dziś jeszcze pełnemi wody. Przed 20 laty tutaj była granica Austro-Węgier, posterunek silny stał na straży bezpieczeństwa monarchii, zagrożonej w tem miejscu najsilniej od fanatyzmu Osmanów. Dziś twierdza jest bez znaczenia, ledwie kilku żołnierzy w niej się znajduje, podczas gdy przedtem była rezydencyą jenerała i jego sztabu. Stajemy nad brzegiem Sawy. Mój woźnica dalej jechać nie ma zamiaru, woda we wspaniałej szerokiej rzece zbyt była rwiącą, aby bezpiecznie puścić się promem. Nie było innej rady, jak łodzią przeprawić się na drugi brzeg Sawy—na ziemię bośniacką, gdzie miasto tureckie rozsiadło się dokoła swej twierdzy, patrzącej niegdyś śmiało w oczy austryackiej rywalce.

Niebawem otoczyło mnie kilku muzułmanów i zachwalało swe powozy i konie. Wybrałem tego, który miał zaprząg najlepszy. Lecz jakież rozczarowanie! Nadjechała buda iście cygańska, do której wsiadając, musiałem dobrze opasać me kości, aby w drodze jakiej nie zgubić wśród ciągłego trzęsienia. Okolica stawała się coraz dzikszą i bardziej pustą. Ogromna przestrzeń między Sawą, poniżej Bośniackiej Gradiski, aż ku Banialuce, nazywa się Kozara i mało jest zamieszkałą przez ludzi. Przed okupacyą można było jechać tędy przez bory, krzaki i błota trzy dni i ludzkiego nie znalazło się mieszkania. Podróżny spotykał tylko gdzieniegdzie rozrzucone sadyby cygańskie, z któremi spotkanie w czasach dawniejszych mniej było przyjemne i bezpieczne. Obecnie, gdy wypadło mi przejechać przez wieś tego koczowniczego ludu, nie było żadnego

niebezpieczeństwa. Zatrzymałem konie i zapytałem jednego z mieszkańców tamtejszych, czy mogę wejść do wnętrza jego mieszkania. Choć muzułmanin, ale że cygan, więc na to pozwolił, pomimo, że wewnątrz znajdowała się jego rodzina. Lepianka tylko jedną miała izbę i mały przedsionek, rodzaj szałasu, chrustem pokryty. Światło do wnętrza wpadało przez maleńki otwór, zrobiony u samego dołu, zasłonięty kawałkiem szyby. Sprzętów nie zastałem tu żadnych. Na nagiej, wilgotnej ziemi w jednym rogu leżał worek z kukurudzianą słomą, w drugim było rozniecone ognisko, a przy niem młoda cyganka z dziecięciem u piersi. Stara cyganka, matka «pana domu», i synek, miły dzieciak ośmioletni, robili honory niespodziewanemu gościowi. Nędza tu okropna. Gdy dałem parę groszy cygance na mleko dla dziecka, chłopak zawołał całem gardłem: «hwala wam» i począł po cygańsku błogosławić ofiarodawcę.

Zaczęło się ściemniać, gdy stanąłem w Windhorście, kolonii niemieckiej, u proboszcza, Bośniaka, władającego jednak dobrze niemieckim językiem. Koloniści tutejsi przybyli do Bośni zaraz po okupacyi z rozmaitych stron Niemiec, dobrze się zagospodarowali na gruntach, częścią darmo, częścią pół darmo otrzymanych od rządu. Pustą okolicę potrzeba było koniecznie zaludnić, aby bogata ziemia nie leżała odłogiem, toż sprowadzono w te okolice, Kozarami zwane, ludność rozmaitą: Niemców, Włochów, Węgrów i Polaków. W trzech Windhorstach, górnym, dolnym i środkowym, gospodarstwa są prowadzone bardzo dobrze i stanowią jakby centra kultury w tych stronach. Wielu Polaków, najwięcej z Bukowiny, z okolic Gura-humory, osiadło przy Windhorście i nie źle się mają na wła-

snym gruncie lub w służbie u Niemców. Wszystkich Polaków w Windhorście jest około 150 osób, wielu z nich mówi po niemiecku, w znacznej części umieją



Zaułek mostarski.

już także mówić po bośniacku, gdyż przybyli do Bośni przed 6 laty.

Parafialny kościółek wykończono dopiero przed czterema laty; wiele w nim brakuje do wewnętrznego

odpowiedniego urządzenia, lecz przynajmniej jest ołtarz z tabernakulum, a w nim Najśw. Sakrament. Mieszkanie proboszcza nowe, wygodne, tylko pokój, dla mnie przeznaczony, nie miał pieca, wskutek czego zaraz na wstępie mocno się zaziębiłem.

Proboszcz spodziewał się mego przybycia dopiero nazajutrz, więc lud polski nie zawiadomił o rozpoczęciu misyi. Skorzystałem z tej zwłoki, sprowadziłem dwóch Polaków z Windhorstu, poleciłem lud zawiadomić o swem przybyciu i zamówiłem przez nich konie nazajutrz rano do najbliższej kolonii polskiej w Celinowaczu. W środę rano, dnia 9 marca wybrałem się tam z proboszczem Windhorstu i dwoma wójtami, czyli, jak tu nazywają, kneziami polskich kolonij: Celinowacza i Milewacza. Część drogi odbyliśmy gościńcem, a gdy ten niebawem się skończył, wypadało jechać na przełaj przez krzaki zalane wodą na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych. Gdyby nie widoczna dobroć koni niemieckiego kolonisty i zapewnienia knezów, że grunt jest nieprzemakalny, więc bagna niema, nigdybym się nie odważył na podobną drogę. Mówiono mi, że tylko w jesieni i na wiosnę takie tu wody; w lecie one wysychają, a grunta służą jako dobre pastwiska. Wreszcie skończyły się bagniska, rozpoczęła się droga górzysta. Gdzieniegdzie spotykamy serbskie i tureckie zagrody bardzo nędzne. Zaglądam do jednej chałupy serbskiej: wewnętrzne jej urządzenie prawie zupełnie podobne do wyżej opisanego mieszkania cygana, z tą tylko różnicą, że przy ognisku siedziała stara Serbka, jak wiedźma z rozpuszczonemi włosami i głosem melancholijnym poczęła żałośnie śpiewać żale, że kawy niema, niema czem się posilić. Małe grosiwo rozjaśniło jej oblicze i wywołało długi szereg błogosławieństw z ust kobieciny.

Po trzygodzinnej jeździe stanęliśmy u celu drogi: w polskiej kolonii. Siedm pagórków konicznych łączy się ze sobą falistym gruntem. Gdzie okiem rzucę, widzę pniaki ściętych dębów, tylko gdzieniegdzie pozostały starsze drzewa, zresztą leszczyna, tarnina, graby i buczyna młoda. Na pagórkach rozrzucone i od siebie oddalone domy, mało który wykończony, w znacznej części dopiero rozpoczęte, lub szałasy z chrustu, w których się gnieździ świeżo przybyła rodzina kolonisty. Najstarsi przybyli tu przed dwoma laty, znaczna część dopiero od roku lub kilku miesięcy. Dwadzieścia i dwie rodzin otrzymało od rządu grunta bezpłatnie; reszta, prawie drugie tyle, wyczekuje zmiłowania ze Sarajewa. Rząd ma do dyspozycyi mnóstwo gruntów, które dotychczas służyły za pastwiska komukolwiek. Są więc pewne trudności w usunięciu pretensyj dawnych okolicznych właścicieli, sąsiadów owych gruntów. Dla wyjaśnienia sytuacyi dodać muszę, że zarówno Turcy, t. j. bośniaccy muzułmanie, jak Serbowie, t. j. bośniaccy wschodniego wyznania, zwyczajnie w tej okolicy nie mają żadnych stajen, ani obory. Stada bydła, koni i trzody przez cały rok znajdują się w otwartem polu, gospodarz nie troszczy się wcale o jego chów, co będzie jadło, gdzie nocowało wśród słoty lub zimna. Czasami, gdy wielkie śniegi spadną i bydło lub konie nie mogą odgrzebać liści, resztek zeschłej trawy lub ścierniska, właściciel podrzuca im trochę słomy, aby nie zginęło z głodu. Zresztą wszystko włóczy się samopas po okolicznych lasach, krzakach i polach, wyjadając jak szarańcza, co spotka na drodze. Wskutek tego zwyczaju, czy nadużycia—nie wiem, jak nazwać—nikt tu oziminy nie sieje, a na wiosnę gdy chce zasiać na kawałku gruntu kukurudzę lub owies, okala go pło-

tem, aby go ochronić od trzody i bydła. Stąd pretensye, jeśli rząd zamyka pastwiska na swoich gruntach lub na oddanych kolonistom, mającym zwyczaj siać oziminę i nie oddawać gruntu na pastwę cudzego bydła. Zanim więc te pretensye i im podobne nie zostaną usunięte, grunta rządowe leżą odłogiem i wyglądają jak dżungle indyjskie lub z głębin Afryki, znane nam z rycin lub fotografij.

Część takich dżungli, oczyszczonych z sąsiedzkich pretensyj, otrzymali koloniści w Celinowaczu. Każda rodzina posiada 12 do 18 morgów.

Na dany znak kołatką, zawieszoną na drzewie, zbiegli się nasi rodacy. Trudno opisać ich radość, łączącą się z płaczem, na widok polskiego kapłana — na wieść, że ich przyjechałem wyspowiadać, pocieszyć, dzieci przygotować do pierwszej spowiedzi. «Zostańcie z nami na zawsze — wołali biedacy — umieramy bez księdza!». Gromadnie stanęliśmy przed maleńką drewnianą kapliczką, jakby altanką z desek. Tu po raz pierwszy do nich przemówiłem o celu mego przybycia i porządku misyi. Ponieważ głębokie wody nie pozwalały na gromadne przybycie tutejszych kolonistów do parafialnego kościoła w Windhorście, więc ułożyłem się z nimi, że najpierw zaopatrzę potrzeby duchowne Polaków z kolonii niemieckiej, następnie do nich przybędę. Tymczasem kazałem zebrać dziatwę do obszerniejszego ciepłego mieszkania i zapowiedziałem dla nich naukę po obiedzie, na jaki mnie zaprosił kneź kolonii Grzegorz Papik, Bukowińczyk z okolic Gura-humory. Poczciwa gosposia, knezini, jak umiała i co miała najlepszego, zastawiła na stole, a na deser podała słodkie mleko!...

Po uczcie żabrałem się do katechizowania dzieci, przyczem udział brali także ich rodzice. Nawiedziłem jeszcze parę domów niosąc słowa pociechy strapionym i chorym—a iluż tu chorych na febrę — dzieci od niej wyżółkłych, jak cytryna! Nie zapomnę wizyty u biednej niewiasty, której mąż gdzieś daleko poszedł za zarobkiem, a ona pozostała z dwojgiem dzieci, drżała na całem ciele, gorączkując od febry, wyschła, z zapadłemi oczyma, blizka śmierci, bez żadnej nad sobą opieki, bez żadnego lekarstwa! Do apteki parę mil drogi, lekarza w okolicy niema. Pragnęła się wyspowiadać, aby przynajmniej być spokojną, gdy śmierć zawita w progi jej domu.

Słońce zbliżało się ku zachodowi, gdy opuszczałem kolonię. Już noc zapadła, gdy stanąłem w Windhorście.

Nazajutrz czuję, że głos zachrypnięty i ledwie mogę go z piersi wydobyć — a tu dopiero początek pracy! Przekonałem się, że w podobnych wypadkach nie wiele trzeba na siebie uważać, a więcej mieć ufności w pomoc Bożą. Zachrypniętym głosem przed i po mszy dwie nauki powiedziałem do licznie zgromadzonych Polaków w parafialnym windhorstowskim kościele, przygotowałem ich do spowiedzi, która miała się zaraz rozpocząć po południu. Kilka szklanek herbaty, mej nieodstępnej towarzyszki w ciągu całej podróży, usunęło chrypę i ze spokojem o zdrowie mogłem słuchać spowiedzi z małą przerwą do godziny 12 w nocy. Po krótkim spoczynku i wczesnej mszy św. znowu miałem naukę i słuchałem spowiedzi do południa, a garnęli się do niej nietylko Polacy, ale i Niemcy, nawet Bośniacy. Wielką radość sprawiły naszym rodakom książki polskie, jakie rozdzieliłem między wszystkich, umiejących

czytać, a nadto dziełka kilkotomowe lub większe i droższe pozostawiłem dla wspólnej polskiej biblioteczki. Znalazł się między nimi zacny gospodarz, który dom swój otworzył na polskie zebrania, gdzie ci nawet będą mogli korzystać z książek, co czytać nie umieją, bo w niedziele i święta odbywa się u niego obecnie głośne czytanie. Umie on i polskie pieśni zanucić i chórem kierować, gdy potrzeba zachodzi.

Zakończywszy prace około Polaków w Windhorście, zaraz tegoż dnia (10 marca) wyjechałem po południu znaną już drogą po wodach i błotach do Celinowacza. Lud wyszedł naprzeciw. Zgromadziliśmy się w umówionej izbie jednego ż kolonistów, gdzie zaraz przemówiłem do zebranych dzieci, tak, aby i starsi obecni mogli się przygotować do Sakramentu pokuty. Po nauce, ponieważ już się ściemniało, odesłałem dzieci i niewiasty do domów, a mężczyzn zatrzymałem, którzy byli już przygotowani do spowiedzi św. Czas z nimi zeszedł mi do północy. Na nocleg wyznaczono mi jedną z najlepszych izb, jakie się znajdowały w kolonii. Pomimo tego niesłychane było zimno, zwłaszcza, że mróz wziął na noc, a ściany mej sypialni tak były filigranowe, że mogłem przez szpary doskonale powtarzać sobie ćwiczenia astronomiczne, jakim się przed laty oddawałem w Rzymie. Nad rankiem nieco zasnąłem, lecz silne pukanie do drzwi przypomniało mi, że całe zastępy czekają na spowiedź. Dziwnie Pan Bóg w takich razach pomaga. Prawie wcale nie czułem znużenia, gdy od 5 rano słuchałem spowiedzi do 11 w południe bez przerwy, następnie mszę św. miałem z kazaniem zastosowanem do okoliczności. Lud nie płakał, lecz ryczał tak, że w końcu i mnie z oczu łzy się polały, choć nie jestem skłonny do ich wylewania. Wszyscy słabsi,



Kmet bośniacki.

przedewszystkiem dzieci, niewiasty i starcy najpierw się spowiadali i przystąpili podczas Mszy św. do Komunii św. Silniejsi mężczyźni musieli czekać ze spowiedzią do popołudnia, a potem dalej ze mną wyruszyć, aby nazajutrz w innej miejscowości przystąpić do Komunii św. Słońce około południa zajaśniało, więc mój konfesyonał urządziłem pod starym dębem wśród lasu, i słuchałem spowiedzi, dopokąd konie nie zajechały, aby mię odwieźć do trzeciej kolonii polskiej Milewać nazwanej. Lecz przedtem należało pokrzepić swe siły. Zaproszono na obiad. Menu było następujące: zacierka na mleku, pierogi z serem, ser z chlebem, a na deser gorące mleko z masłem! Co mogłem, jadłem, apetyt i poczciwe serca moich gospodarzy najlepszą ze wszystkich były przyprawą.

Na odjezdnem rozdałem między kolonistów polskich książki i zawiadomiłem ich, że wobec świadków złożyłem w ręce proboszcza na budowę ich kaplicy około 300 zł. Radość była niesłychana. Skorzystałem z tej chwili, aby wsiąść na wózek i uciec przed lamentami poczciwych ludzi, że już ich opuszczam.

Do Milewacza jechaliśmy wśród siół serbskich i muzułmańskich blisko 3 godziny. Towarzyszyli mi w drodze ciż sami dwaj knezie z Celinowacza i Milewacza, Papik i Rochaczek, którzy nieodstępnymi towarzyszami moimi byli od chwili mego przyjazdu w Kozary. Rozmowa nawiązała się o tutejszych stosunkach z tubylczą ludnością. Zarówno ze Serbami jak Muzułmanami nasi rodacy przyjazne utrzymują stosunki, co im łatwo przychodzi, ponieważ patrzą na nich, jako na ludzi wyższej kultury. Co prawda, niewiele potrzeba do tej wyższości. Uprawa roli u tubylców jest na stopniu możliwie najniższym. Pomijam okoliczność, że nie

mają odpowiednich narzędzi rolniczych, ale nawet swoją osochą nie umieją uprawiać roli. Sam widziałem, że zwykle cztery woły zaprzęgają nawet do jednej brony, przyczem zajęte są co najmniej cztery osoby: dwu poganiaczy, trzeci naciska bronę, czwarty nią kieruje. Roli nigdy nie nawożą, lecz mając dosyć gruntu pod uprawę, po zbiórce jednorocznej zostawiają odłogiem przez dwa, nawet trzy lata. Kartofli w tej okolicy wcale nie znali, dopiero nasi koloniści nauczyli, jak je mają sadzić, zbierać i jeść. Proso tubylcy tłukli w stępach i z tej masy tłustej placki wypiekali. Bardzo się dziwili, gdy im pokazano jagły i sposób przyrządzania kaszy na mleku, co bardzo zasmakowało Bośniakom. Tatarki czyli hreczki wcale nie znali. Z wielkiem niedowierzaniem patrzyli na jej uprawę, lecz później dopiero uznali, jakiem jest dla rolnika dobrodziejstwem. Prócz kukurudzy i owsa, mało kto co innego sieje; gospodarstwo mleczne prawie zupełnie zaniedbane. Gdy Bośniakowi potrzeba deski, bez wahania całe stare drzewo zetnie, a po zdobyciu kawałka potrzebnego, resztę pozostawia marnie w polu. Siana nie zbierają, jak u nas na początku lata, lecz w jesieni, gdy ukończą zbiory, wskutek czego dobrej paszy nie mają. Do pługa i brony używają tylko wołów, koni używają tylko do zaprzęgu: w razie potrzeby łapią w polu arkanem, zaprzęgną do wozu i pędzą cały czas galopem, wskutek czego koń po jednem użyciu często dychawicy dostaje.

Pod względem duchowym kompletne opuszczenie. Nie mówię już o muzułmanach, u których życie moralne i duchowe opiera się na kilku zewnętrznych praktykach i Ramazanie: mieszaniną nocnych bachanalij ze ścisłym postem za dnia, ale o Serbach... Zarówno Muzułmanie jak Serbowie bośniaccy wielu oddają się

gusłom i zabobonom, mają jednak wielką ufność w siłę wody święconej, i dlatego udają się po nią do katolickich kapłanów, aby jej użyć jako prezerwatywę od złego.

Po trzygodzinnej jeździe, przybyliśmy do trzeciej polskiej osady w Milewaczu. Wypadało nam jechać bardzo stromą górską drożyną. Dla ulżenia koniom szliśmy piechotą, gdyż nasze rumaki ledwie pusty wózek zdołały wyciągnąć. Był projekt, że przyjadę konno krótszemi ścieżkami, lecz w braku siodła, musiałem wlec się wózkiem i drogi przyczynić. Cała kolonia wyległa na moje spotkanie, zkąd spodziewano się mego przybycia. Nawet małe dzieci wyszły z domów i parę godzin czekały, czy się nie okaże na horyzoncie spodziewany wierzchowiec. To też osadę znalazłem prawie pustą, i dopiero po chwili na dany znak, lud zbiegł się i otoczył mnie kołem. Powtórzyły się wzruszające sceny powitania i radości na widok polskiego kapłana. Gromadnie udaliśmy się do gospodarza mającego największą izbę, gdzie zebrawszy około siebie dziatwę w obecności ich rodziców i starszego rodzeństwa, przygotowywałem do spowiedzi św. Już noc zapadła, gdyśmy się rozeszli. Dla mnie przeznaczono mieszkanie w innej stronie kolonii, kilku mężczyzn towarzyszyło mi wśród ciemności, których wcale nie rozpraszała latarka ze świecą łojową. Wśród błota, krzaków i spinania się po górach, dotarliśmy do chałupki, gdzie był osobny pokoik nawet już otynkowany, przygotowany na moje przybycie. Po missyonarskiej wieczerzy kilku mężczyzn prosiło mnie o spowiedź; było już po północy, gdy zgasiłem światło i mogłem zasnąć. Nazajutrz rano już o 5 przybyła dziatwa, aby po raz pierwszy przystąpić do Sakramentu spowiedzi. Między

innemi dziećmi przybył trzyletni chłopaczek. Dzień przedtem składał przedemną egzamin z całego pacierza i wielu rzeczy z katechizmu, teraz stanął w kąciku i ciągle patrzał na mnie, nie chcąc ani kroku odstąpić. Pytam go, czego chce: spowiadać się — odpowiedział; trudno było dysputować z malcem; pobłogosławiłem go, z czego bardzo był ucieszony i dopiero wtedy dał się zaprowadzić do swej matki.

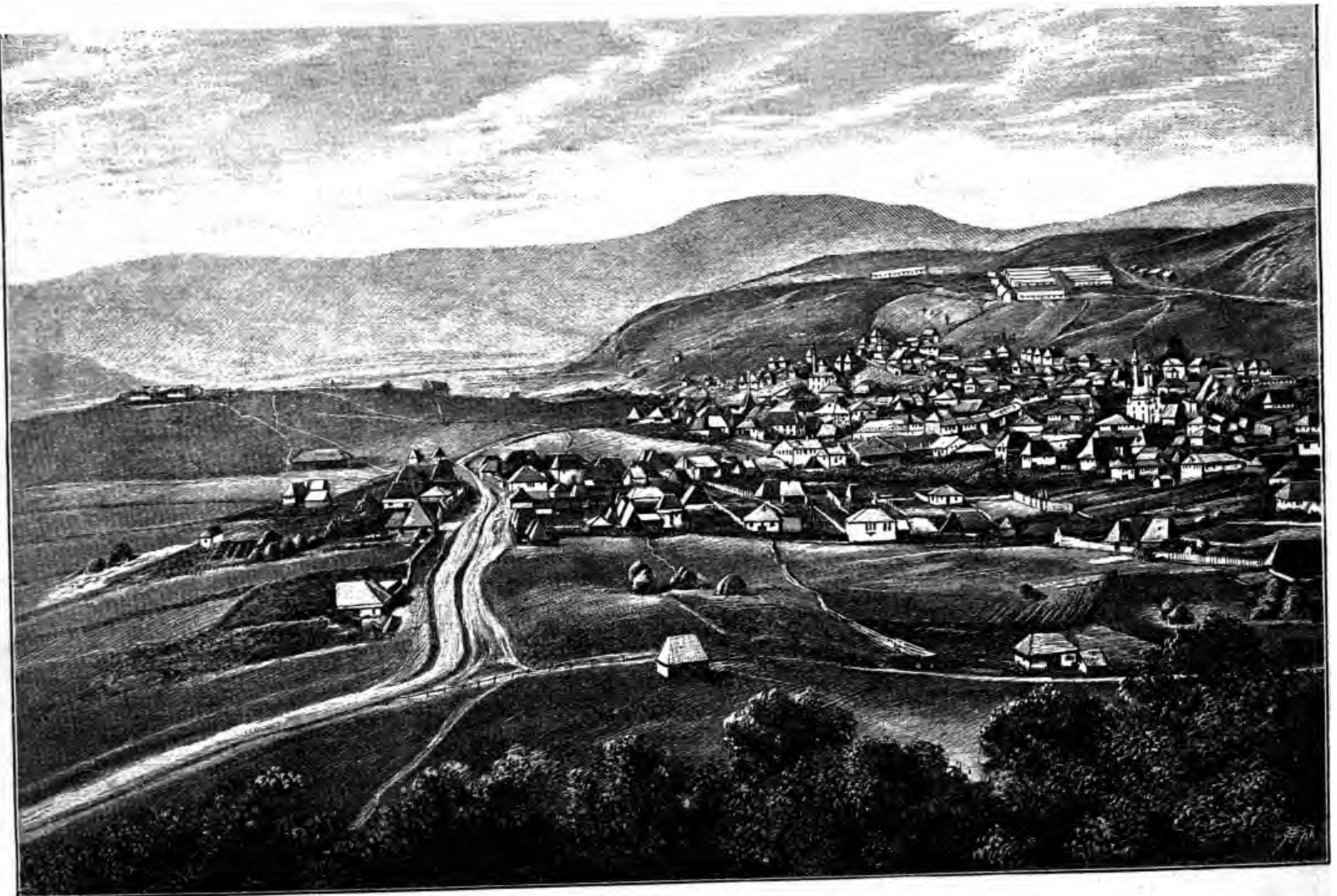
Około południa, po wyspowiadaniu znacznej części ludzi, udaliśmy się do kapliczki, wprawdzie maleńkiej, drewnianej i jeszcze niewykończonej, ale w której już można Mszę św. odprawić. Lud śpiewał pobożne pieśni polskie, dziwnie miłem echem rozbrzmiewające wśród dzikich lesistych pagórków — do niedawna pogańskiej ziemi. Po nauce, na której wszyscyśmy się spłakali, rozdałem na pociechę polskie książki treści religijnej. I tutaj więc będą mieli jaki taki pokarm duchowy w braku żywego słowa Bożego. Radziłem kolonistom, aby wystawili trwalszą, z kamienia i cegły kaplicę, w kształcie prezbyteryum, do którego później, w miarę potrzeby, możnaby dobudować nawę. Na pierwsze wydatki zostawiłem im paręset złr., a sami obiecali po ukończeniu wiosennych robót, zająć się wyrabianiem cegły, zwożeniem kamienia pod przyszły dom Boży. Projekt podobał się naszym rodakom i znalazł poparcie u odpowiedniej władzy.

Koloniści w Milewaczu pochodzą z okolic Niska w Galicyi, tylko kilka osób z gubernij rosyjskich. Wszystkich razem jest tu rodzin około 40, z tych tylko 16 otrzymało grunta od rządu, reszta znajduje się w wielkiej nędzy i wyczekuje swej cząstki, jeśli pozwolenie przyjdzie ze Sarajewa. Na usilne prośby, abym ich ratował i wstawił się za nimi u władz, poleciłem

zrobić spis rodzin, które w koloniach polskich jeszcze nie otrzymały gruntu, skąd pochodzą, ile osób każda rodzina liczy, ile mają kapitału i t. d., i gotowy dokument, stwierdzony przez miejscową władzę ze sobą zabrałem. W Sarajewie wręczyłem go p. radcy Mikuli, szefowi departamentu bośniackich kolonij, a zarazem po udzieleniu odpowiednich informacyj, otrzymałem zapewnienie, że sprawę rozdziału gruntów przyspieszy, o ile od niego będzie zależało. Niestety cała sprawa dotychczas (21 września) jeszcze nie została załatwioną.

Podobnie jak w Celinowaczu, tak i w Milewaczu, chociaż okolica jest górzysta, grunta są dobre, lecz osadnicy jeszcze wiele mają do karczowania lasów i zrębów. W sąsiedztwie dużo jest gruntów muzułmańskich. Właściciele pragną sprzedać swe posiadłości, nie chcąc być w sąsiedztwie chrześcijan i to cudzoziemców. Bardzo dobre ziemie są na sprzedaż po 15 do 20 złr. za morgę. Również wiele jest jeszcze gruntów rządowych, przeważnie lasów, które również mają być rozdane lub sprzedane kolonistom. Przedsiębiorczy rolnik nawet z małym stosunkowo kapitałem mógłby piękny folwark zakupić, a zarazem znacznie podnieść polską osadę. Jeżeli wszyscy koloniści, którzy się spodziewają gruntów, przychylną otrzymają ze Sarajewa odpowiedź, Milewacz ma przyszłość przed sobą. Przemysłowiec, handlarz drobnym towarem, rzemieślnik ma otwarte pole do zarobku, chociażby tylko między swoimi.

Z Milewacza czyli Milewackiej Kozary do czwartej i ostatniej kolonii polskiej Mahowliani i Bakinci drogę miałem bardzo piękną. Dzień sobotni (12 marca b. r.) przyniósł ze sobą wiosenną pogodę. Promienie słońca niewidzialną swą siłą wydobywały z pod ziemi stor-



Widok na miasto Plevlje w Nowym-Bazarze.

czyki, pierwiosnki, fiołki i inne najrozmaitsze kwiaty, których bogactwem mało który kraj jak Bośnia może się poszczycić. Lasy i gaje ożywiły się wesołym śpiewem drobnego ptactwa, a z bagnisk i stawków dolatywało żegotanie żab, jako zapowiedź ze snu budzącej się wiosny. Jechałem konno w towarzystwie kilku mężczyzn, którzy częścią z dewocyi, częścią dla odbycia spowiedzi, ze mną spieszyli do Mahowliani. Droga była jeszcze turecka t. j. mniej odpowiednia do kołowej jazdy. Co chwila wypadało zsiadać z konia, gdy się wspinał na spadzistą górę, lub przepływał rzekę, wijącą się wśród pól i łąk. Podróż była bardzo romantyczna, a od dzieciństwa przyzwyczajonemu do konnej jazdy bynajmniej nie przykra, lecz w każdym razie komunikacyę w tych okolicach wygodną żadną miarą nazwać nie nie można. Opieka rządu okupacyjnego do tych stron widocznie jeszcze nie dotarła.

W polu widzieliśmy roboty już rozpoczęte: u muzułmanów zasadza się głównie na ogrodzeniu płotem całego pola, jakie ma uprawiać, ażeby bydło, trzoda i konie, plądrujące po wszystkich stronach, zasiewów wzrastających nie zniszczyły. Ile w tym czasie zniszczy Turek drzew na polu i ile wytnie w lesie leszczyny lub młodych grabów, łatwo da się obliczyć. Tyle pracy i szkody w lesie wyrządza na czas krótki, bo niebawem zostawi tę ziemię ugorem, a inny kawałek będzie ogradzał. Dotychczas prawie wszyscy kmiecie czyli wieśniacy, posiadający grunta, nie są absolutnymi właścicielami ziemi, lecz tylko dzierżawcami wieczystymi. Trzecią część zbioru, najczęściej *in natura*, kmet musi oddawać begowi, który również niema ani piędzi ziemi wyłącznie swojej, lecz wszystkie grunta są jego i dzier-

żawnych kmetów. Nie jest więc tutaj tak łatwo wyzwolić chłopa, jak było u nas przez zniesienie pańszczyzny.

Po dwugodzinnej jeździe wśród okolicy o nizkiej kulturze dostaliśmy się do włoskiej kolonii Mahowliani. Postęp widoczny na każdym kroku. Najpierw drogi bardzo dobrze zrobione, choć wśród okolicy pagórkowatej; mieszkania w znacznej części piętrowe, murowane, ubranie mieszkańców tutejszych dostatnie, nawet podobno za bogate w stosunku do dochodów. Gdy tu Włosi przed 16 laty przybyli, zastali dżungle podobne, jakie widzieliśmy w Celinowaczu lub w Milewackiej Kozarze, obecnie cała okolica zamieniła się w starannie uprawne pola i plantacye winnej latorośli, jedyne w całej Bośni, wyjmując naturalnie Hercegowinę. Wina udają się im dobrze, lecz są słabe gatunki. Jednak pomimo konkurencyi win węgierskich i dalmatyńskich, znacznie lepszych od miejscowego, zbyt jego jest wielki. Na tutejsze stosunki kolonia włoska ma się bardzo dobrze materyalnie i duchowo; ma swojego proboszcza, kościółek, włoską szkołę dla dzieci, utrzymywaną przez zakonnice zgromadzenia »Najświętszej Krwi Zbawiciela«. Jeszcze przed zachodem słońca przybyłem do mieszkania proboszcza ks. Gabla, rodem z Tyrolu. Świątobliwy staruszek z upragnieniem wyczekiwał mego przybycia, gdyż nie mógł sobie dać rady ze spowiadaniem Polaków, a jeszcze mniej z Rusinami. Pomimo naglącej pracy nie pozwolił mi wieczorem na rozpoczęcie misyjki, gdyż chciał, abym nieco wypoczął. Natomiast nazajutrz ułożyliśmy piękne nabożeństwo dla Polaków, a także dla Włochów, aby i oni coś skorzystali z obecności obcego kapłana, skoro w ich kościele miało się odbywać polskie nabożeństwo.

Niedziela 13 marca była pełna miłych przygód. Od świtu Polacy spowiadali się; podczas Mszy św. pobożne pieśni śpiewali, w końcu usłyszeli kazanie w swoim ojczystym języku. Po polskiem było włoskie nabożeństwo: ks. proboszcz Gabl miał sumę, ja powiedziałem kazanie. Tak jak na polskiem nabożeństwie wielu było Włochów, tak również na włoskie przyszli też Polacy. Uważałem, że obydwie narodowości dobrze ze sobą żyją i świadczą sobie sąsiedzkie przysługi. Po kazaniu naturalnie, jak zwykle bywa, każdy chciał się przed nowym księdzem spowiadać; toż zajęty byłem Włochami aż do południa.

Wtem dają mi znać, że przyszła deputacya Rusinów, których poleciłem przez knezia zaprosić do siebie na poufną rozmowę. Zjawiło się sześciu chłopów, a na ich czele w baranicy Wasyl Tymczow, około 40 lat mający. Wywiązała się bardzo interesująca rozmowa. Hardy przewodnik apostatów począł uzasadniać, dlaczego przyjęli »serbską wiarę«: 1) ponieważ ona dawniejsza jest i prawdziwsza od łacińskiej, mianowicie co do pochodzenia Ducha Świętego; 2) kalendarz juliański jest starszy od gregoryańskiego, więc lepszy; 3) nabożeństwo odprawia się podobnie jak w ruskiej cerkwi po słowiańsku; 4) święta swoje mogą w tym samym czasie obchodzić, co w Galicyi.

Było rzeczą widoczną, że pop serbski napompował Wasyla kontrowersyami, jakie zachodzą między wschodnią schizmą a Kościołem katolickim, poznałem również, że nie jakaś złość, lecz ignorancya wytworzyła w nich upór, i pewna obawa, aby nie utracili tego, co uważali za lepsze. To też z całym spokojem i największą miłością począłem do nich przemawiać, wykazując ich błędne mniemania. Kilka faktów histo-

rycznych, dotyczących schizmy Focyusza, jakie im przytoczyłem, i wytłumaczenie konieczności zmiany kalendarza juliańskiego, wskutek lepszego poznania systemu słonecznego, zachwiało upornych Rusinów. Błędnem okiem spoglądali na siebie, nie wiedząc, co mają odpowiedzieć.

Dalszych nabojów w obronie schizmy serbskiej widocznie nie mieli w zapasie. Na ich wiele mówiące milczenie dodałem, że przechodząc do cerkwi serbskiej, przestali być tymi samymi Rusinami, co byli dawniej, że zapierają się wiary swoich ojców i dziadów, a ich krewni i znajomi w Galicyi, nie mogą ich odtąd uważać za swych braci, lecz za odstępców wyklętych ze św. Cerkwi ruskiej.

Na to Wasyl z innymi zawołał: »Myśmy byli Rusinami i Rusinami zostaniemy, a nie damy się spolszczyć!«

Łatwo było im wytłumaczyć, że tu nie o spolszczenie chodzi, lecz o zachowanie wiary św. Chodzenie do łacińskiego kościoła, spowiadanie się przed łacińskimi księżmi, a nawet przyjmowanie Komunii św. pod jedną postacią jest im dozwolone, gdzie niema ruskich księży.

Zauważyłem, że moje słowa były dla nich nowością, zwłaszcze, gdy dodałem, że przyjmowanie Komunii św. w łacińskim kościele pod jedną postacią, nie przerobi ich na łacinników i Polaków. Zaproponowałem im więc, aby w tym względzie dla większej pewności zapytali się swego dawnego biskupa w Galicyi. Wówczas jednogłośnie zawołali po rusku: »Napiszem do księdza biskupa przemyskiego, a co on powie, tak zrobimy.«

Niezmiernie ucieszyła mnie ta ich decyzya. Zaraz zaadresowałem kopertę i przylepiłem marki na list rekomendowany, jaki niebawem rzeczywiście napisali. Za ich fatygę, że do mnie przyszli, wręczyłem każdemu ruskie dziełka treści religijnej i sporo zeszytów *Missionara* wydanego przez OO. Bazylianów we Lwowie, co wszystko umyślnie dla nich wziąłem ze sobą z Krakowa. Wśród wielkiej radości rozstaliśmy się ze sobą. Niektórzy obiecali przyjść nazajutrz do św. spowiedzi i dotrzymali słowa. Zdarzyła się przytem zabawna scena. Między przybyłymi znajdowało się kilku chłopaków 20—22 letnich, słabych na piersi. Z obawy, aby nie umarli zanim przyjdzie spodziewana odpowiedź X. biskupa, bardzo ich zachęcałem do spowiedzi. Pomimo nalegań i próśb, nic wskórać na nich nie mogłem, zawsze odpowiadali, że zaczekają na list X. biskupa. Dopiero, gdy jasno wytłumaczyłem, co ich czeka w razie śmierci, skoro dopuścili się apostazyi, i radziłem, aby nie odwlekali póki czas pojednania się z Bogiem, jeden z nich ze łzami w oczach odezwał się: »Nie mogę spowiadać się, bo będę miał grzech.«

Na to odpowiedziałem: »Ja grzech twój biorę na siebie, tylko się spowiadaj.«

»*Koly tak, to dobre*« — odrzekł chłopak i poszedł za mną do konfessyonału.

Po spowiedzi uszczęśliwiony namawiał towarzysza, aby poszedł za jego przykładem, mówiąc: »Widzisz, że ja się wyspowiadałem, i nic mi się złego nie stało, zrób i ty tak samo.«

Gdy siedziałem przy obiedzie z X. Gablem, uradowanym z powodu pomnożenia parafii przeszło 30-tu Rusinami, o których myślał, że już są straceni dla św. wiary, dają mi znać o ciężko chorej wdowie Polce.

Mieszkała ona w sąsiedztwie Machowliani w osadzie zwanej Bakinci. Przed dwoma tygodniami straciła męża



W. Opat OO. Trapistów w Mariastern pod Banialuką w Bośni.
(Zob. str. 48 i nast.).

na zapalenie płuc; umarł bez Sakramentów św., bo nie było, ktoby go wyspowiadał. X. Gabl zaopatrzył

mnie na drogę w rozmaite wiktuały, abym w drodze nie ustał; kilku polskich kolonistów ofiarowało swoją asystę; chłopak wziął zapaloną latarkę i wyszliśmy w drogę z Najświętszym Sakramentem.

Dzień był prześliczny; ani jeden obłoczek nie zaciemniał jasnego horyzontu. Szliśmy krótszemi drogami przez pola, lasy i krzaki na przełaj dobre 1 1/2 godziny. W nowej chacie siedziała sparta na poduszkach jeszcze młoda niewiasta z dziecięciem u piersi z wyrazem smutku i boleści na twarzy, obok niej leżała 11-letnia córeczka, również słaba, jak matka, na zapalenie płuc. W chacie było chłodno i głodno. Wprawdzie po kątach znajdowały się surowe wiktuały, lecz nie było komu rozniecić ogniska, przygotować jadła, podać nawet szklankę zimnej wody gorączkującej wdowie i jej słabym dzieciom. Po opatrzeniu chorej św. Sakramentami zwołałem okoliczne dziatki, aby wraz z córeczką wdowy przygotować do pierwszej spowiedzi. Bardzo przydały się przyniesione wiktuały; mogłem zaraz zaspokoić głód opuszczonej rodziny, a gdy się zeszły sąsiadki, wyjednałem obietnicę, że kumoszki będą kolejno usługiwały chorej.

Nazajutrz, 14 marca, gdy ukończyłem me prace około Polaków, poświęciłem kilka godzin Włochom i tegoż dnia po południu wyjechałem końmi do Banialuki. Ks. proboszcz Gabl odprowadzał mnie pieszo aż do granic swej parafii, od czego w żaden sposób nie dał się odwieść. Gdy chwila rozstania nadeszła, on ukląkł i chciał mi do nóg upaść, lecz ja go uprzedziłem i klęcząc uściskaliśmy się wzajemnie. Kilkunastu chłopów, którzy nam towarzyszyli, na widok tej niezwykłej a czułej sceny, rozpłakali się rzewnie. I mnie łzy radości w oczach stanęły, że nad tym opuszczonym zakątkiem

winnicy Pańskiej czuwa świątobliwy starzec i wymowniejszym nad słowa przykładem przyświeca swojej parafii.

Noc zapadła, gdy przybyłem do stolicy północnej Bośni, trzeciego z rzędu miasta co do liczby mieszkańców w tym kraju, rezydencyi okręgowego starosty, prezydenta sądu, a nawet biskupa rzymsko-katolickiego.

X. Biskup Markowić należy jeszcze do starej daty bośniackich Minorytów, którzy dobrze pamiętają ucisk Kościoła pod panowaniem tureckiem. Wykształcony i sympatyczny biskup zawczasu zaprosił mnie do siebie, do niego więc zajechałem. Bardzo był ucieszony przebiegiem sprawy z Rusinami w parafii mahowliańskiej i zaraz polecił mi w tym względzie napisać do X. biskupa przemyskiego Czechowicza.

W chwili, gdy te słowa piszę, otrzymałem wiadomość z Bośni, że Rusini już się zupełnie pojednali z Kościołem i bez trudności uczęszczają na nabożeństwa i do Sakramentów św. w parafialnym kościele łacińskim.

W pobliżu Banialuki wśród niemieckiej kolonii w Celinowcu, znajduje się spora garstka Rusinów z Galicyi, złożona z 16 rodzin. Gdy przed paru laty zjawili się w tych stronach, dla zachowania rytu słowiańskiego, postanowili przyłączyć się do serbskiej cerkwi. Lecz spotkał ich zawód. Oto pop serbski obawiając się takich niepewnych owieczek, a może i dla innych powodów, aby mu to za złe nie wzięto, oświadczył Rusinom, że są katolikami i dlatego nie chce ich przyjąć do swojej cerkwi. Rusini nie mając wyboru, zdecydowali się uczęszczać na nabożeństwa do katolickiego łacińskiego kościoła i tamże przystępują bez trudności do św. Sakramentów.

W Banialuce zastałem wiele rodzin polskich urzędników. Do niedawna w sądownictwie byli sami Polacy, tak, że na posiedzeniach podobnie jak i w Dolnej Tuzli używano języka polskiego. Skorzystałem z tej sposobności, aby odprawić z naszymi rodakami rekolekcye przed wielkanocną spowiedzią, a byłem bardzo zbudowany z panów urzędników, którzy i raniej wstawali, aby naukę usłyszeć i wprost z bióra wieczorem gromadzili się w tymże celu w kościele.

Zresztą prawie w każdem mieście lub miasteczku podczas dalszych moich podróży po Bośni i Hercegowinie zastawałem Polaków nieraz na wysokich stanowiskach. Sarajewo pod tym względem pierwsze miejsce zajmuje. Gdy w bieżącym roku podczas postu dawałem w bośniackiej stolicy rekolekcye dla polskiej inteligencyi, zbierało się panów urzędników do 50 w seminaryjskiej kaplicy, pań zaś około 30 przychodziło na konferencye do pięknej sali »Córek Bożej Miłości«. A przecież nie wszyscy mogli brać udział w tych duchownych obrzędach. Ci, co dobrze znają stosunki w Sarajewie, opowiadali mi, że Polaków można tam liczyć do tysiąca osób z rozmaitych stanów. Cyfra nie wydaje mi się przesadzoną, skoro na polskich kazaniach w czasie postu bieżącego roku miewałem w dniach powszednich nieraz z górą 200 osób. Szkoda, że dotychczas niema w całej Bośni i Hercegowinie ani jednego polskiego kapłana. X. arcybiskup sarajewski Stadler bardzo nad tem ubolewa, lecz jeszcze nie mógł znaleźć odpowiedniego kandydata. Co prawda, długo takiej potrzeby nie będzie, gdyż młodsza generacya polska już biegle włada językiem bośniackim i łatwo znajdzie opiekę duchową w miejscowym klerze. Być może, że Polacy rozrzuceni w Bośni zleją się z miejscową ludnością. Czy

dlatego ich praca dzisiejsza dla naszego narodu jest straconą? Sądzę, że nie. Najpierw tradycye narodowe nie łatwo się zacierają, powtóre lepiej, że Polacy niż Niemcy lub Węgrzy biorą udział w kształceniu kultury Bośniaków, bo są im bliższym i zdrowszym dla nich pierwiastkiem.

Po uroczystem nabożeństwie i polskiem kazaniu w seminaryjnym kościele, już na samem wyjezdnem ze Sarajewa, odwiedził mnie X. arcybiskup Stadler i proponował, abym się zatrzymał na święta w Bośni, gdzie tyle pracy a pracowników nie wielu. Niestety, nie mogłem zadość uczynić jego życzeniom, na jedno tylko zgodziłem się, iż jeszcze przez dni parę, dzielących mnie od Wielkanocy, będę nawiedzał miasta miejscowe, rzucając niewód na dusze. W Niedzielę Palmową opuściłem stolicę Bośni, zatrzymałem się dla Polaków w Trawniku, a dnia następnego wieczorem stanąłem w Doboj, malowniczem fortecznem miasteczku, położonem nad brzegami Bosny. Nazajutrz rano zboczyłem koleją do Dolnej Tuzli, stolicy północno-wschodniej Bośni, niegdyś zwanej Usorą. Kolej wiła się nad brzegami Sprecy wśród labiryntu skał. Coraz częściej dostrzegam kominy fabryczne, dające dowód, iż tu przemysł kwitnie. Bogate kopalnie węgla, odnalezione i eksploatowane tuż pod samą Tuzlą, rokują całej okolicy wzrost dobrobytu mieszkańców. W kopalniach znajduje zarobek wielu Polaków i innych cudzoziemców. Zarząd fabryczny postarał się dla nich o budowę tanich i wygodnych mieszkań, których całe szeregi stojące obok linii kolejowej, nadają zupełnie odmienny i nie napotykany w tych stronach charakter miasteczka górnego Szląska. Sama Dolna Tuzla należy do znaczniejszych bośniackich miast. Wprawdzie cyfra

mieszkańców nie wiele przechodzi 8000, lecz przemysł i handel jest bardzo rozwinięty, i tędy przechodzi z całej wschodniej Bośni na Brčkę do Węgier, Serbii i Turcyi. Jest też Tuzla rezydencyą starostwa okręgowego i powiatowego, sądu, dyrekcyi skarbowej, na której czele stoi p. Albinowski, serbskiego metropolity, komendy brygady wojskowej. Z katolickich zakładów, prócz nowego kościoła parafialnego, pozostającego pod zarządem dwu Ojców Minorytów, jest wielka szkoła dla dziewcząt, utrzymywana przez »Córki Bożej Miłości«, najlepsza w całej okolicy.

Katolicka parafia tuzlańska ma za sobą ciekawą przeszłość. Niegdyś istniał tu konwent OO. Minorytów z kościołem Św. Piotra Apostoła. Wskutek prześladowania tureckiego, OO. Minoryci byli zmuszeni w r. 1690 wraz z 3000 parafian pod wodzą generała wojsk cesarskich Perčinlja na drugim brzegu Sawy szukać schronienia. Muzułmanie zniszczyli kościół, a jego wieżę zachowali, ponieważ miała zegar. Po 9 latach OO. Minoryci odkupili od muzułmanów swój konwent i na nowo objęli parafię. Wówczas Turcy zobowiązali proboszcza aby im płacił 1000 florenów haraczu za dzwon będący na wieży dawnego kościoła Św. Piotra, pomimo, że służył tylko do wybijania godzin, i zarówno wieża, jak dzwon i zegar, należał do mahometan. Taki stan trwał aż do r. 1858, t. j. do czasu, aż piorun zapalił prochownię pod wieżą i wysadził ją razem z zegarem w powietrze. W owym czasie (r. 1682) w Gradovrh, należącym do konwentu tuzlańskiego, O. Bernardyn Galia gwardyan został ścięty mieczem przez Turków, a O. Łukasz tamże żywcem spalony.

Dla muzułmanów, tworzących większość ludności, znajduje się tutaj wyższa konfesyjna szkoła *medreza.*

Wszedłem do niej z mym przewodnikiem muzułmaninem. Budynek wielki, lecz »soby« zwyczajem tureckim małe. W nich zastałem dorastających chłopaków boso i w bieli po siedmiu na tapczanach siedzących z wyrazem wielkiego upodlenia.

Naprzeciw szkoły w samym środku miasta wznosi się nowa *Behrambeg-dżiamia* w stylu arabskim. Wnętrze jej tem się różni od innych tego rodzaju świątyń muzułmańskich, że się znajduje po lewej stronie rodzaj wielkiej ambony, której nigdzie przedtem w meczetach nie widziałem. Pomimo przedstawień mego towarzysza islamity, wszedłem do jej wnętrza i na szczyt minaretu, zkąd doskonale mogłem objąć okiem położenie miasta. Charakter jego tylko w połowie muzułmański. Dzielnica nad rzeką składa się z mieszkań tureckich, lecz boczne ulice gęsto zasiane europejskimi budynkami i kamieniczkami. Tuż przy dżiamii dawniej stał zamek. Po okupacyi zburzono go, a materyał użyto do budowy rozmaitych domów; miejsce uporządkowano, ustawiono pośrodku obelisk i nazwano placem Br. Appela. W dali za miastem widzę szyby salin miejscowych, od których Tuzla swe miano otrzymała, gdyż *tuz* po turecku sól się nazywa.

Przybyłem w te strony zupełnie niespodziewanie. Nie miałem nikogo znajomego, nawet żadnej rekomendacyi, a jednak w krótkim czasie, jaki był do mej dyspozycyi, należało wyszukać i ściągnąć Polaków do wielkanocnej spowiedzi. Pierwsze kroki naturalnie kieruję do proboszcza, mieszkającego nie przy kościele, lecz daleko za miastem przy maleńkiej drewnianej kapliczce. Niestety, nie zastałem go w domu; natomiast w służącej poznaję typ polski. Gdym ją w ojczystym języku zagadnął, rozpłakała się z radości i zaraz po-

biegła zawiadomić swe znajome o przyjeździe polskiego kapłana. Po drodze wstępuję do apteki. Jakżeż zdziwiłem się, gdy właściciel i subjekt byli Polakami, niestety. . żydami, pomimo tego najchętniej obiecali dać znać innym o mem przybyciu. Właściciel cukierni, od lat kilkunastu mieszkający w Tuzli, jest również Polakiem. W starostwie także znalazłem rodaka, a potem cały szereg wyższych i niższych urzędników. W ciągu dwu godzin wieść się rozeszła o przybyciu z Krakowa polskiego kapłana wśród polskiej kolonii, a już po południu tego samego dnia i nazajutrz rano, cały czas miałem zajęty spowiedziami polskiemi. Była to ostatnia moja improwizowana praca wśród naszych rodaków w Bośni. Jeśli Bóg dozwoli, rozpoczniemy ją na nowo w najbliższym poście, o co z rozmaitych stron usilnie proszono.

Z Tuzli wyjechałem końmi w samo południe dnia 6 kwietnia. Droga prowadziła na *Siminhan,* gdzie się znajduje warzelnia soli. Zabudowania są zupełnie nowe, lecz urządzenie bardzo pierwotne. Rurami sprowadzają z Górnej i Dolnej Tuzli wodę słoną, mającą 31% soli, do zbiorników; następnie ją filtrują i wpuszczają do wielkich izb wyłożonych blachą, a ogrzewanych węglem kamiennym, tuzlańskim. Ropa solna ogrzewa się do 58° C. Już zanim woda dojdzie do tej ciepłoty, na jej powierzchni tworzą się małe kryształki solne, a wszelkie brudy osadzają się na dole. Gdy woda wyparuje, sól zbierają, jeszcze raz suszą, następnie ręcznemi prasami ubijają ją w cegiełki 5 kilowe i wywożą na sprzedaż. Sól tutejsza wydała mi się bardziej czystą od sprzedawanej u nas w topkach.

Z Siminhanu jechaliśmy na *Górną Tuzlę,* położoną wśród gór. W całej okolicy kultura rolna, a zwła-

szcza sadownictwo, stoi na wysokim szczeblu. Chaty wieśniaków i budynki gospodarcze świadczą o zamożności kmetów, a piękne sady drzew śliwkowych, zajmujące znaczne obszary ziemi, również dobrze mówią o staranności gospodarzy. Handel śliwkami odbywa się w tych stronach na wysoką skalę. Dość powiedzieć, że w ubiegłym roku sprzedano ich w samej Brče za 7 milionów złr., z czego powiat tego miasta dostarczył śliwek za 6 milionów.

Z Górnej Tuzli dostaliśmy się serpentyną w lasy bogate, dawniej schroniska rozmaitego rodzaju złodziei i rabusiów. Dziś tą okolicą jedzie się bezpiecznie, gdyż posterunki żandarmskie gęsto utworzono. Skończyły się wreszcie góry i lasy, wjechaliśmy w najbogatszą bośniacką okolicę zwaną Possawina. Piękną nie jest, lecz tak urodzajną, iż tylko okolice południowych Węgier mogą się z nią równać, a nawet ma korzystniejsze od nich położenie, ponieważ nieco wyższe brzegi Sawy od strony Bośni, nie dozwalają na wylewy, którym ulega strona węgierska. Przy zachodzącem słońcu i później przy pełni księżyca Possawina przypominała mi widoki Podola. Oko obejmowało takie same stepy rozległe, lecz rzadziej zaludnione. Begowie tutejsi należą do najmajętniejszych w Bośni, również i kmiecie. *Mustafa beg Fadil Pašić,* były prezydent Sarajewa, przed kilku laty posiadał w tej okolicy 40.000 morgów ziemi, które jednak nie przynosiły mu więcej dochodu jak 20.000 złr., t. j. 50 centów od morgi, pomimo, że gleba jest najlepszą. Wskutek niewielkiej stosunkowo ludności, wiele roli leży odłogiem, a jej cena bajecznie niska. Mórg najlepszej ziemi płaci się jeszcze dzisiaj po 18 złr, średniej po 5 złr. Rzecz dziwna, że mało znalazło się kapitalistów katolików, którzyby chcieli skorzystać z do-

brej sposobności taniego nabycia gruntów. Lepiej umieli ją wyzyskać Żydzi niemieccy lub węgierscy, którzy zaraz po okupacyi dostali się w te strony jako szynkarze i kramarze. Przyszli do Bośni prawie bez centa; dziś posiadają po 2000 i 3000 morgów doskonałej ziemi.

Noc była, gdy przyjechałem do Brčki. Miasto liczące niespełna 5000 mieszkańców, w znacznej większości muzułmanów, leży nad wysokim brzegiem Sawy, dostatnio i schludnie wygląda. Wszystkie domy są murowane, kilka pięknych kamienic piętrowych, obszerne i liczne sklepy z najrozmaitszym towarem. Bardzo wspaniale wygląda cerkiew serbska, jedna z najpiękniejszych jakie widziałem w całej Bośni i Hercegowinie. Kościołek katolicki a raczej kaplica, może pomieścić zaledwie 200 osób. Nad ludnością katolicką miasta i sąsiednich miast należących do parafii, pracuje w kościele i szkołach ludowych dwu kapłanów świeckich, jednych z pierwszych, jakich wydało seminaryum sarajewskie X. Arcybiskupa Stadlera.

Brčka, było ostatnią miejscowością bośniacką zwiedzaną podczas dwu podróży po okupacyjnym kraju. Mostem 755 metrów długim, rzuconym przez Sawę, dostałem się na brzegi Slawonii i dalej koleją na bogate lecz monotonne stepy węgierskie. Przebyłem kraj niejednokrotnie zroszony krwią chrześciańskiego ludu, miejsca zapasów cywilizowanego Zachodu ze spogańszczonym Wschodem. Przez okupacyę Bośni i Hercegowiny i te kraje ocknęły się z letargu, i dla nich zawitała jutrzenka dni pogodnych. Mamy nadzieję, że ona nie zgaśnie jeśli przynajmniej tyle starań dołoży rząd okupacyjny do podniesienia prawdziwej wiary i moralności ludu, ile sprawił już dzisiaj dla jego materyalnego dobrobytu.

SPIS RZECZY.



ROZDZIAŁ IV.

ROZDZIAŁ V.

ROZDZIAŁ VI.

ROZDZIAŁ VII.

ROZDZIAŁ VIII.

ROZDZIAŁ IX.

ROZDZIAŁ X.

ROZDZIAŁ XI.

ROZDZIAŁ XII.

ROZDZIAŁ XIII.

ROZDZIAŁ XIV.

ROZDZIAŁ XV.

ROZDZIAŁ XVI.



SPIS RYCIN.




N. W. Ch. B.

